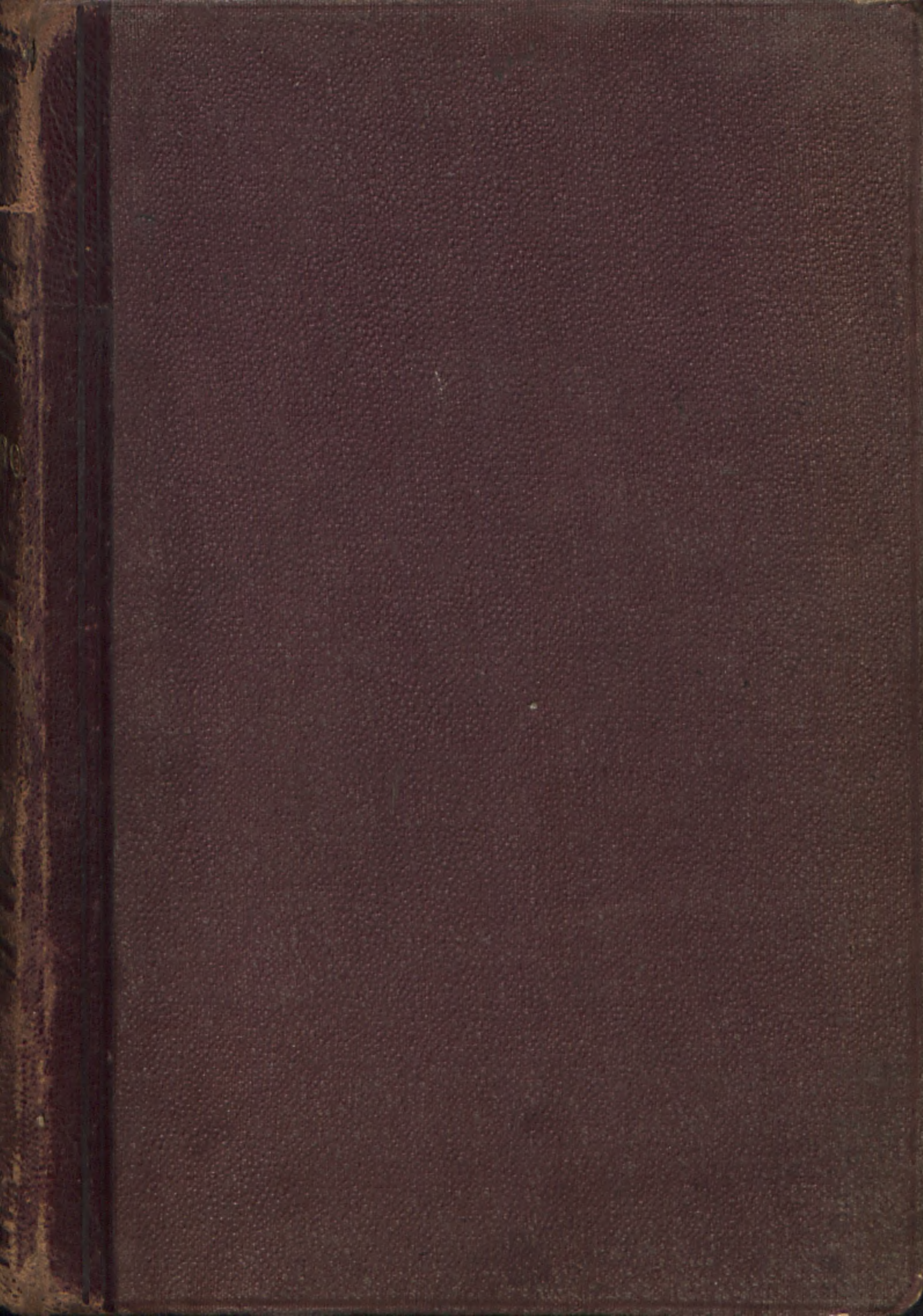


O STYLU.

TEORYJA
STYLU POLSKIEGO

NAPISANA

przez

Józefę Kamocką

b. Nauczycielkę Gimnazyjum Żeńskiego i Wyższych Zakładów Naukowych w Warszawie.



WARSZAWA.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

1875.



Дозволено Цензурою
Варшава 25 Февраля 1875 г.

w Drukarni Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych.

Czcigodnemu

D-r F. K. SKOBLOWI

Professorowi w uniwersytecie Jagiellońskim

Wielkiemu Miłośnikowi i gorliwemu Stróżowi czystości polskiego języka

z uczuciem najwyższego szacunku i poważania

maleńką swą pracę

poświęca

AUTORKA.

PRZEDMOWA.

Przed kilkoma laty, gdy zapragnęłam stanąć przed młodém pokoleniem jako nauczycielka nietylko żywém lecz i pisaném słowem, powzięłam zamiar w *Listach* do „*Przyjaciela Dzieci*" przeznaczonych, sposobem lekkim i łatwym całe piękno języka naszego wykazać, a wytknąć główne błędy przeciwko niemu w potocznéj popełniane mowie.

Chwila przykrego wrażenia postawiła mię na téj drodze wprzód, nim sobie zadać mogłam pytanie, czy dojdę do celu takim niesystematycznie prowadzonym wykładem, który jeszcze ścieśniał się i urywał niezależnemi odemnie względami; ale też mimo życzliwéj zachęty—prędko uczułam sama, że nie jestto to, co ja od siebie polskim dzieciom dać chciałam i cofnęłam się zaraz dlatego jedynie, aby coś, choć bardzo skromnego, ale gruntowniéj obmyślanego—złożyć im późniéj w ofierze.

Przyjęcie doznane przez pierwszą część Nauki języka—urzeczywistniło najdroższe moje marzenia, i zaszczycona przyznaném mi prawem nauczania umiłowanego przedmiotu, ośmieliłam się w dalszym ciągu, coś więcéj o nim powiedzićć.

Z wycofanych *Listów* wybrałam to, co było w teoryi stylu do powiedzenia koniecznem; uzupełniłam, uporządkowałam i znowu nie jako literacką rozprawę, —ale jako prosty kurs szkolny, ułożony według własnych swoich pojęć, a oparty na zasadach za najgruntowniejsze uznanych, dla użytku młodzieży oddaję.

Jakkolwiekbądź sądzić kto o tém może, nie moja to rzecz przecież wysuwać się naprzód z jakąś nową teoryją nauki, a nawet iść zbyt pochopnie za prądem w tylu odmiennych kierunkach za nowością dążącym; choć z piórem w ręku—przedewszystkiem jestem tylko kobietą i nauczycielką, i sądzę: że i jako kobiecie, i jako nauczycielce przystało mi zarówno na poparcie słów własnych—mieć po za sobą słowa, powagę nauki w *całym* już kraju mające.

Nietylko więc nie myślałam i *teraz* o wystąpieniu z czémś nowém, ale nadto: opuszczam rozmyślnie wszystko co uważam za mniéj potrzebne dla młodzieży żeńskiéj, a co w obszerniéjszych ramach i w więcéj naukowym charakterze postawiłoby pracę przeznaczoną dla kilkunastoletnich dziewczynek, jakie zwykle w zakresie czteroklasowym się uczą.

Chciałam ją mieć, powtarzam—tylko szkolnym kursem, i pragnęłam tak do znanych mi i potrzeb i pojęć uczących się zastosować, aby w krótkim, ale zupełnym zarysie dać w nim wszystko,—cotylko do poznania ducha języka i sztuki pięknego nim władania potrzebne, resztę już więcéj pobieżnie i *dodatkowo* tylko traktując. Dlatego też rzecz o prozie i jéj rodzajach—dotknięta o tyle jedynie, o ile to było niezbędném dla dania pierwszych o niéj pojęć w punktach najprzystępniejszych i koniecznych wiadomości o *celu* i *warunkach* pism, będących w rękach młodzieży.

Jak ze względu na przeznaczenie méj pracy nie chciałam téj części rozwijać szerzéj obok teoryi stylu, tak znów skrępowana obowiązkami powołania mego, nie miałam dotąd czasu opracowania jéj w ten sposób, by z niéj osobny, wyczerpujący dział naukowy utworzyć. Może Bóg pozwoli, choć późniéj,—obszerniéj, gruntowniéj tego dokonać, a co dziś mogłam zrobić w chwilach na mój spoczynek skąpo mi zostawionych, to i dziś z dobrą wolą a ochotném sercem oddaję na usługi młodzieży w imię tych pocieszających mię słów, iż wiele ten zrobił—kto zrobił tyle co mógł.

W pierwszéj za to części nie poprzestałam na saméj teoryi pięknego wypowiadania swych myśli; wiem z doświadczenia, że jak w życiu całém—tak i w nauce tożsamo—dobry przykład więcéj podobno od głoszonéj zasady przekona; a że o książki odpowiednie nie wszędzie i nie każdemu jest łatwo, chciałam więc zaradzić trudności, jaka się nieraz samym uczącym nasuwa w wyszukaniu wyjątków stosownych i do uczenia się ich na pamięć i do ćwiczenia stylu jak najwierniejszém naśladowaniem ich w piśmie, i każdą zasadę odpowiednim przykładem poparłam. Na tychto przykładach z dzieł najpierwszych naszych pisarzy zebranych buduję moje nadzieje, że pod ich osłoną rzucone drobniuchne ziarenko własnéj pracy mojéj wyda choć jeden kwiateczek, choć jeden plenny kłosek na ukochanéj mi niwie, i że młodzi *prawdę* słów moich ukochają w *pięknie*, jakiém ją odziewają mistrze naszego języka, a przez *nie* rzetelne *dobro* swe znajdą.

Józefa Kamocka

Pisałam w Warszawie dnia 5 Lutego 1875 r.

Wstęp.

O Sztuce pisania.

Człowiek kocha piękno,—bo w piersi jego żyje dusza nieśmiertelna, która z samego źródła piękności istnienie swe wzięła, więc je zna, tęskni za niém—i ku niemu kieruje wszystkie skłonności swoje. Ztądto pochodzi, że wszystko co piękne, ma dla nas niepojęty urok, że tego piękna szukamy naokoło siebie,—że się niém radzi otaczać jesteśmy,—że jego wpływowi ulegamy częstokroć bezwiednie, i że w niém rozkoszy dla swego serca i dla swych zmysłów szukamy. Ztąd także wynika, że nie wystarcza człowiekowi proste zadośćuczynienie potrzebom codziennego życia, i że jeżeli każdą z nich pragnął owiać wyższego uroku powabem, tém więcéj dbał o ten urok, gdy mu szło o wyrażenie swych własnych myśli i uczuć. I niedość mu było powiedzieć do drugich: kocham cię;—słuchaj mię; zawierz mi; choć te wyrazy myśl jego jasno już wyrażały, bo własne uczucie porywało go i skłaniało do chęci przelania w nich tegoż uczucia. Więc kiedy kochał,—kiedy był uniesiony jakiémbądź uczuciem, kiedy pragnął zapewnić sobie nad innymi przewagę, to starał się, aby wyrazy jego nietylko były zrozumiałe i jasne,—ale aby pieszcząc ucho słodkiemi i łagodnemi dźwięki wdzierały się przez nie do duszy i budziły w niéj rzewne uczucie; by ciskając gromy wzburzonych namiętności i myśli, piorunem uderzały w serce, i niém do gruntu wstrząsały; by błyskawicą prawdy przenikały do rozumu innych i dla jego przekonań zjednać ich potrafiły. Stosownie więc do własnego uczucia, człowiek tworzył sobie ową mowę tak wdzięczną a rzewną, co jest językiem matki do dziecięcia, modlitwą słabéj istoty do Boga, wylaniem przywiązania jednego do drugiego serca; i ową mowę, co się stawała bronią podbijającą całe massy ludu pod władzę jednego człowieka,—i ową—która ciemnym—była światłem prawdy i do źródła wiedzy,—do cnoty i do Boga ich wiodła.

Nie wszyscy jednak ludzie są obdarzeni ową piękną zdolnością tworzenia takiéj mowy: bo nie licząc już tych, co nie umiejąc swych własnych myśli powiązać logicznie, nie umieją także zdać z nich sprawy nikomu, jest bardzo dużo takich, co z sercem pełném uczucia, z głową bogatą w gruntowną nawet naukę, tak są—albo niezasobni w słowa, albo w ich układaniu niezręczni, gdy o ustne wypowiedzenie ich idzie, że urywaną i niegładką mową, ani połowy moralnych swych zasobów na korzyść swoją ni drugich wykazać nie umieją, i zająć, a témbardziéj przekonać nie mogą w niczém nikogo.

Są inni znowu, co z głębokiém uczuciem i żywą wyobraźnią łączą jeszcze takie bogactwo myśli i wyrazów, że lada drobnostka, która ich zajmuje chwilowo, i dla innych także staje się przedmiotem silnego nieraz zajęcia; bo gdy są prądem własnych myśli porwani, to wtedy słowa płyną im lekko, swobodnie i bez namysłu żadnego, i życia nabierają w ich ustach, i owładają całą istotą słuchaczów i stają się chwilowo panami ich uczuć i uwagi.

Więc własném doświadczeniem przekonani ludzie,

jak nieopowiedziany wpływ na umysł i na serca piękna mowa wywiera, dążyć także poczęli do wydoskonalenia swojéj i utworzyli nawet w tym celu osobną naukę, *retoryką* (od wyrazu *retor* mówca) nazwaną, ażeby *sztuką* zdobyć ową tajemnicę podbijania serc i umysłów bliźnich, którato tajemnica była przyrodzoną własnością ludzi wyższego umysłu,—wielkiego serca, lub namiętności głębokich. I poczynili różne nad mową uwagi; ułożyli przepisy i zasady, które stosowali do owych naturalnych wzorów, a lubo sztuka przyrodzonemu darowi nie wyrówna nigdy, lubo nawet w dawniejszych czasach zbytecznie polot myśli krępowała, narzucając jéj swoje prawidła, to przecież nawet dziś, gdy stanowczo za główny warunek dobrego pisma i mowy położono gruntowność myśli i jasność w ich wyrażeniach, znać nam tę sztukę wypada dlatego: abyśmy przy wielkich od natury zdolnościach idąc za własnego serca natchnieniem, nie przekroczyli granic swobodzie téj wytkniętych, lub przy ich braku—w nauce téj nietylko kierownika dla siebie, ale i takie wzory znaleźli, do którychbyśmy przy dobréj woli i usilności nagiąć i podług nich urobić własne swoje wyrażenia mogli.

Dziś—nauka ta nie ścieśnia bynajmniéj uczuć naszych ni myśli; nie każe im się koniecznie w takiéj lub owakiéj formie przedstawiać; nie wymaga wyszukanych wyrażeń do ich określenia, i nie *przepisy* swoje, ale *wykształcenie naukowe* i *estetyczne* daje im za podstawę jedynie.

Pierwsze — przynosząc zasoby z różnych umiejętności zebrane, przygotowuje umysłowi bogaty do obrobienia materyjał, bez którego i najwyższy talent nic dokonać nie może;—drugie da nam środki ku temu, byśmy ten materyjał w tak ponętne urabiali formy, żeby one pociągając czy to oko, czy to ucho bliźnich, działały na ich duszę i zapewniały nam wpływ przeważny nad niemi.

Maleńkie dziecię chętniéj rączyny wyciąga do choćby cierpkiego—lecz rumianego jabłuszka, niż do soczystéj—ale szarawéj barwy gruszki; a dowodząc tém najlepiéj, że *piękno* jest najpierwszym przewodnikiem instynktów i usposobień jego, tłomaczy zarazem, dla czego rozum chętniéj poddaje się ciepłemu duszy wpływowi aniżeli zimnym pewnikom nauki i dlaczego tylko jéj tchnieniem owiany, rozwinąć się może ku prawdziwéj korzyści i chwale społeczeństwa całego.

Otóż nauka estetyki uczy nas właśnie czuć i poznawać to *piękno* i otwiera przed duszą naszą całe jego skarby; a nie dlatego tylko, aby ona niemi własne swe umilała życie, ale aby się w nie dla dobra bliźnich stroiła, wabiąc ich swym urokiem i wiodąc tém łatwiéj do Boga, z którego wszystko co tylko piękne wypływa. Więc kształcić i rozwijać pojęcie tego piękna, jestto kształcić duszę a uszlachetniać serce, ku wyższym celom dążenia jego kierować i trafiać na źródło najwyższych umysłowych rozkoszy.

I w obec wielkich korzyści naukowego wykształcenia, stokroć jeszcze wyższe estetycznemu przyznać należy; bo jeżeli pierwsze otwiera człowiekowi wszystkie skarby wydoskonalonéj wiedzy, to drugie uczy w nich szukać i znajdować Boga; jeżeli nauka nasz własny rozum bogaci, to estetyka daje środki do jéj zużytkowania na chwałę Bożą i pożytek bliźnich. Ludziom, którzy przy gruntownéj nauce i dar słowa posiadają jeszcze, dostaje się zwykle najpiękniejsze stanowisko w kraju—najpiękniejszy udział w pracy ogólnéj na świecie. Tacyto jako znakomici mówcy—najwyższą, bo moralną potęgą wpływają na czyny i przekonania współbraci;

jako utalentowani pisarze—przyczyniają się do rozpowszechnienia oświaty i umoralnienia obyczajów; jako zdolni profesorowie, budzą życie ducha i myśli w młodych pokoleniach,—a w zwykłém nawet towarzyskiém życiu łatwiéj od innych pozyskują ludzi dla siebie pięknėm wysłowieniem, które jest zawsze starannego wychowania dowodem.

Na takiéj podstawie rozwijający się umysł nie troszczy się wiele o formy i przepisy stylu; w sobie ma naukowych materyjałów zapasy, a poczucie piękna uporządkować i należycie wydać je nauczy.

Że dwie drogi do tego celu prowadzą: jedna objaśniająca nam po szczególe główne zasady i główne cechy piękna,—a druga praktycznego z niemi oswajania się przez przestawanie z ludźmi w ten sposób wykształconymi i czytanie dzieł napisanych przez tychże, obie więc te drogi zestawimy razem, abyśmy na żywych przykładach najpierwszych naszych pisarzy lepiéj pojęli to, co sztuka—właściwie ich naśladownictwem będąca, za piękne i stosowne w mowie i piśmie uznała.

O STYLU.

Wypowiadać myśli swoje według zasad logiki jest koniecznością dla każdego, kto chce być zrozumianym przez drugich, a takiéj logiki w porządkowaniu wyrazów i zdań uczymy się z pierwszéj części nauki języka, to jest: z gramatyki i składni.

Że jednak nie wystarcza to człowiekowi, aby był tylko *zrozumianym*, że swoją mową pragnie on zniewolić, przekonać i wzruszyć, więc mając już wyrobioną logiczną jéj stronę, to jest: układ wyrazów i zdań odpowiadających wymaganiom rozumu, zajmuje się żywo i formą w jakiéj wypowiada swe myśli, stara się o jéj piękno działające na wyobraźnią i na serce drugich, a wskazówkę do schwycenia tego piękna znajduje w drugiéj części nauki języka,—nauką stylu nazwanéj.

Styl—(nazwa pochodząca od łacińskiego *stylus*) oznaczał niegdyś narzędzie na jednym końcu zaostrzone dla rycia niém liter na korze drzewnéj lub tabliczkach napuszczonych woskiem, a na drugim spłaszczone dla zacierania ich w razie potrzeby; dziś oznacza on *sposób* jakim wydajemy swe myśli i inaczéj *wysłowieniem* go zwiemy.

Rodzaj tego wysłowienia jest przerozmaity i zależy: od stopnia wykształcenia, od siły i kierunku uczucia,

od wrodzonych zresztą zdolności piszącego i z tych względów starożytni dzielili styl na *prosty* czyli *naturalny*, *średni* czyli *ozdobny*, i *górny* czyli właściwiéj mówiąc *wzniosły*.

Stylem naturalnym zwali owo wysłowienie, co malowało myśli i uczucia dokładnie, ale nie podnosząc znaczenia tychże bynajmniéj;—co oddawało je jasno, ale tak po prostu i bez żadnych upiększeń, że wcale innych nic wymagało warunków, prócz znajomości przedmiotu i gramatycznych zasad języka.

Stylem średnim czyli ozdobnym wyrażali się tacy, co obok znajomości obranego przedmiotu i języka w jakim opowiedzieć go chcieli, posiadali jeszcze i piękny, przyrodzony dar słowa, co umieli za pomocą porównań i przenośni ubarwić i ożywić rzecz każdą, jednėm słowem ci,—co nietylko umysłowo ale i estetycznie wykształconymi byli.

Styl zaś wzniosły, właściwym był ludziom wielkiego ducha i serca, którzy z tego źródła czerpiąc myśli głębokiego znaczenia, własnėm uczuciem porwani mimowolnie prawie stosowali do niego i wysłowienia swoje; bo to co piękne, szczytne i święte było w pojęciu, nie mogło się w prostéj, pospolitéj formie przedstawiać, i wymagało zarówno wyrazów jak i wyrażeń takich, kóreby odpowiadając *rzeczy*, w niezwyczajnéj postaci przedstawiały to,—co przechodziło po-za zwyczajności granicę. Co tylko więc najwspanialszego w ozdobach i porównaniach wynaleźć można było, co tylko najsilniéj mogło uderzyć umysł a poruszyć serce, co najwyżéj ducha podnieść było w stanie, wszystko to składało się na odmalowanie tego, co z wyższego świata czerpane, było nieskończoności pojęciem.

Oprócz takich podziałów stylu, rozróżniamy dziś

i inne jeszcze rodzaje ze względu na indywidualność pisarza, na charakter narodów, na przedmiot mający się opisać, a także i na epokę, która właściwą sobie cechą każdy ten rodzaj znaczyła.

Co do pierwszego względu indywidualności pisarza wiemy dobrze wszyscy, że jak mimo ogólnego podobieństwa zewnętrznéj postaci, człowiek jeden od drugiego różni się szczegółowemi rysami, tak i moralnie uważani, nawet mimo jednych i takich samych darów umysłu i serca, różnią się między sobą małemi odcieniami, lub innemi tychże przymiotów barwami.

Różnicę rysów dostrzegamy własnėm swojėm okiem; różnicę usposobień, uczuć i myśli człowieka, on sam odsłania nam w swéj mowie.

Im kto był wyższych zdolności i głębszego uczucia, tėm więcéj styl jego różnił się od innych,—i wtedy odmiennym—sobie tylko właściwym *sposobem* czyli *stylem* myśli swe w pismach swoich malował, kładąc na nich wybitną cechę usposobienia swego; a od takiéj cechy osobistości czyli indywidualności styl i język takiego pisarza—jego nazwisko przybierał, jako to: styl Reja Skargi, Górnickiego, Naruszewicza, Krasickiego, Kraszewskiego, Kremera, i innych.

Każdy z nich był człowiekiem podniosłego ducha, ale każdy z nich był w innych warunkach życia postawiony, więc też i myśli jego inną barwę i kierunek obierać musiały i inną drogą go wiodły do wspólnego im celu—służenia Bogu i ludziom.

Co do drugiego względu na charakter narodów, to najprzód zrozumieć potrzeba: że naród cały—to niby człowiek zbiorowy,—tychże samych warunków do

życia swego wymaga co i pojedynczy, a więc: geograficzne położenie kraju, klimat, roślinność miejscowa jaka za pokarm mu służy, rząd jakiemu ulega, instytucyje polityczne i naukowe z jakich korzysta, składają się na wyrobienie charakteru jemu właściwego szczególnie. I jak pojedynczy człowiek, i tak cały naród ma swoje osobiste przymioty i wady, swoje własne uczucia i myśli, swoje zapatrywanie się na rzeczy i swoje o nich pojęcia i sądy, i tak samo jak pojedynczy człowiek w odpowiedni swemu charakterowi sposób wypowiada swoje uczucia i myśli, a sposób ten czyli styl znowu swą nazwę od nazwy narodu przybiera.

I tak styl francuzki odpowiednio do charakteru narodu będzie żywy, lekki, żartobliwy, pełen igraszki dwojakiego znaczenia wyrazów.

Angielski, Szwedzki poważniejszy w treści, oględniejszy w malowaniu i uczuć i myśli.

Niemiecki sentymentalny. Styl lakoniczny zwięzły, treściwy, właściwy ludom rycerskim jak: Rzymianom i Grekom, w krótkich zdaniach a nieraz pojedynczych wyrazach wydawał myśli wielkie jakiemi sławne jest owo Horacyjuszowskie „*umrzeć*,“ i owo: „*przyjdź i weź*“ —i jak to upomnienie: „*z nią albo na niéj*“ jakiem matka Spartanka żegnała syna, dając mu tarczę na boje. Styl wschodni, [1]) w którym odbija się całe bogactwo

1) Przykłady takiego stylu znajdują się w powieści Zyg. Krasińskiego *Agay-Han*, w której on sam, jako syn Wschodu—tak opowiada o swych rodzicach i kraju: „Na rożańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysiąców go słuchało; tyle dyamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa—blada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust rożanych—matka moja . . . Namioty ojca, jak fale wielkiego morza bieleją na stepach kiedy Azarela wezwie do boku. Stada koni hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby simimum wiry. Złote ostrza spis, tleją przy jego na-

przyrody kolebkę świata otaczającéj i tryska poezyja, jaka wykarmiła i rozkołysała człowieka w krainie cudów i piękna. Pełno tam jaskrawych porównań, przenośni, fantazyi; u nas w prozie używany jest tylko jako tłomaczenie lub naśladowanie mowy wschodnich ludów, którym jest ona właściwą. W naszych ustach byłaby przesadą rażącą i śmieszną, bo odpowiednio do usposobienia naszego, do tego co nas otacza, i co wewnątrz nas żyje, styl polski jest w wyrażeniach dobitny i jędrny; w określaniu myśli treściwy i zwięzły, uczuciem i pojęciami wzniosły,—a w porównania i w poetyczne obrazy w właściwych miejscach—bogaty.

Wreszcie ze względu na przedmiot styl najliczniejszym przemianom podlega; bo jakkolwiek niema przedmiotu tak obojętnego, któregoby własném uczuciem ożywić się nie dało, i niema tak prozaicznéj nauki, przez którąby promyk piękna przedostać się i ubarwić jéj nie mógł, to jednakże uważając na cel, w jakim przedmiot ten podnosimy, stosować doń wypada wysłowienie swoje bacząc na to,—czy on do serca, czyli téż tylko się do umysłu odnosi. Inaczéj się więc pisze rzeczy naukowe, płynące z rozumu, — a inaczéj — chwytane z życia ludzkiego i czerpane z serca; inaczéj się obrabia przedmioty przeznaczone dla osób wyższego

miocie w nocy jak zbiór gwiazd na straży przy świętéj jego głowie; a mnie dziecku, zmiatają kurz z drogi czoła Hanów i Paszów; powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmią u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wsród chmur z kadzideł w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle—drogiemi kamieniami, a kwiaty—motylów kochanki, piasek złotem połyska i każde źdźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze.“

W listach Józefa Kremera przytoczone są wyjątki z pieśni perskich, w których poeta tak maluje noc:

„Noc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczęściorodna jak młodości

już wykształcenia,—a inaczéj —gdy chcemy nieumiejętnych nauczyć;—inaczéj jeszcze nareszcie, gdy albo sam przedmiot, albo własne usposobienie nasze pobudza nas do wesołych lub smutnych,—do spokojnych i słodkich,—lub gwałtownych i pełnych goryczy wyrażeń. Stosując więc styl do tych potrzeb myśli i pobudek serca, rozróżniamy w nim następnie: styl u r z ę d o w y,—n a u k o w y,—w rzeczach odnoszących się do umysłu przeważnie; h i s t o r y c z n y,—o b r a z o w y,—p o e t y c z n y,--w pismach malujących świat zewnętrzny i życie nas otaczające;—l i r y c z n y,--p a t e t y c z n y,—s a r k a s t y c z n y,--k r a s o m o w c z y, w którym się świat czysto duchowy względnie do naszego uczucia odbija, a każdy z nich odpowiednich sobie warunków i przymiotów wymaga.

I tak: styl, s ą d o w y, a d m i n i s t r a c y j n y, i u r z ę d o w y w ogóle, w raz na zawsze stanowczo przyjętéj formie wypowiada rzecz główną dobitnie, zwięźle, bez żadnego względu na piękno i harmoniją. Idzie w nim głównie o g r u n t o w n o ś ć zasady i j a s n o ś ć twierdzenia, a więc żadne stylu ozdoby miejsca tu miéć nie mogą, jako odrywające uwagę od tego, co ją g ł ó w n i e i j e d y n i e zajmować tylko powinno.

Styl n a u k o w y czyli d y d a k t y c z n y ma na celu

błogi wiek. I ptaszek śnił, i rybka w wodzie spała snem, a umilkły nawet spracowane wieści dzienne. W świecie całym, w téj przedziwnéj altance Bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z okiem otwartém chodziły po niebie. Noc ukradkiem uniosła baczność czujną i milczały dzwonów zawiązane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiałych miecze, a maki zasypały grodowéj straży oczy. Jeszcze nie wzywają minaretów głosy na modlitwę Panu!

W téj nocy wdzięcznéj spoczywała na łożu Sulejka, miodousta, snu słodycze pokryły jéj oczu narcyzy. Dziewica użyczała wezgłowiu włosów wonnych fale, a łoże ustroiła postacią, jakby zwojem wdzięcznym róż.“

również przekonanie rozumu, więc nim przeważnie zajęty, ogranicza się także na jasném wypowiedzeniu swych zasad i logiczném ich uporządkowaniu, ale jest staranniejszy pod względem dobrania i szykowania wyrazów, przez co o wiele gładszym i harmonijniejszym się staje. Np:

—..„Woronicz i Niemcewicz doczekali się najświetniejszego rozwoju literatury narodowéj, kiedy poezyja polska zajaśniała całém gronem jenijuszów poetycznych.

Zwrócono myśli i uczucie do ojczystych progów: zrozumiano, że tylko rozwój narodowéj literatury może być głównem w położeniu naszém pytaniem, a jego rozwiązanie okazało potrzebę wielkich sił i żelaznéj pracy, głównie w gałęzi polskich dziejów. I nagle, w krótkim lat przeciągu, ogromne skarby przeszłości pojawiły się tak dla historyi jak literatury, nieznane dotąd, z pleśni niepamięci dobyte.

Historycy i badacze objęli nietylko dzieje królów panujących ale dzieje swego narodu, żywot domowy, stan umysłowości. Uczczono gruzy wielkich grodów i zamków, jak ruiny *Odrzykońskiego* zamku uwieńczone najpiękniejszemi wspomnieniami. W silnych zarysach wystąpiła stara *przeszłość*; po raz pierwszy może ukazała poważne swoje oblicze dotąd tajemnicze i obce.

Ci co zbierali nieznane dotąd pieśni ludu, podania i pamiątki ludowe, szli za natchnieniem Bożém: przeczuwali, że gdy postawią na jaśni umysłowéj skarbnice ludu, obudzą dlań większe współczucie. Od kiedyż-to głos większości rozległ się w kraju za ludem? Wtedy nabrał siły i rozgłosu, gdy zbieracze zaniedbanéj literatury kmiecéj, przechowanéj *żywem słowem* jedynie, pokazali ją narodowi, a ten poznał i zajrzał bliżéj w to serce ludu, pełne rzewnego uczucia, szlachetności i prostoty szczeréj a ukochanéj. Oni-to, za wykradzione skarby z pod wiejskiéj strzechy, zjednali dla niéj cześć i obudzili myśl praw obywatelskich dla ludu.

Nie zgłębiliśmy należycie téj niepiśmiennéj literatury naszego plemienia, bo tak tu, jak w każdéj gałęzi, tylko pojedyńcze poświęcenia przyciśnione chudobą, a częściéj ubóstwem działały. Wiele jeszcze pracy i trudów zostało do przełama-

nia, zanim zdobędziemy cały skarbiec literatury ludowéj: tych pieśni licznych jak ptaki naszéj ziemi,—tych powieści i podań które każde gruzy, zwaliska, kopce, kamienie, rzeki i jeziora, urokiem swoim osnuły, cudownością lub przestrachem ubarwiły.“

Literatura Wójcickiego tom 4. st. V.

Styl historyczny oprócz powyższych przymiotów już i innych także wymaga, bo daje obraz życia, bo sprężynami opisywanego działania są ludzie obdarzeni uczuciem, a działanie to miało źródło w ich bohaterskich cnotach lub namiętnościach nagannych. Stosownie więc do faktów opowiadanych musi być obok powagi stylu i żywość obrazowania; obok prostoty i naturalności—dobitność i zwięzłość; obok zwięzłości wyrażeń,—rozmaitość uczucia i myśli. Np:

—„Już czterdzieści i pięć dni oblegali Muzułmanie Wiedeń, z którego cesarz Leopold oddalił się do Linzu, i już opanowało Niemców zwątpienie, gdy król Jan Sobieski przybył w 20,000 rycerstwa. Objąwszy zaraz naczelnictwo sił połączonych, sprawił Sobieski wojsko do bitwy poruczając prawe skrzydło hetmanowi Jabłonowskiemu, a lewe księciu Lotaryńskiemu. Sam dowodził środkiem. Nazajutrz dnia 22 Września 1683 o świcie słuchał Sobieski mszy świętéj i modlił się z podniesionemi rękoma ku niebu. Poczém pełen ufności w pomoc Bożą siadł na swego bułanego konia i przejrzał szeregi. Widząc że w obec nieprzyjaciela niemal sześć razy liczniejszego Niemcy chwieją się, Sobieski przywołał ze swoich wiarusów rotmistrza chorągwi pancernéj i pokazując mu z daleka świecącą gałkę na namiocie Wezyra, rzekł: „Tam waszmość z towarzyszami swoimi dotrzesz i uderzysz kopijami w ten namiot.“ Dzielny rotmistrz wysunął się z garstką walecznych, kazał im kopije nastawić do kłócia i z okrzykiem: „Jezus! Maryja!“ rzucił się na Turków, którzy jak rój pszczół otoczyli chorągiew. Tuman kurzu wzbił się nad rycerzami i raz po raz tylko chorągiew z białym orłem zabłysła, a Sobieski żegnał walczących relikwią krzyża świętego i wzywał Boskiéj pomocy. W pół godziny wrócił rotmistrz do króla, straci-

wszy zaledwie kilkunastu rycerzy, lecz narobiwszy wielkiego zamieszania wsród Turków. Niemcy wydali okrzyk podziwienia i w serca wszystkich wstąpiła otucha zwycięztwa.

Wtém—Sobieski dał znak do bitwy i rozpoczął się wszędzie zacięty, srogi bój. Sobieski był wszędzie pomiędzy pierwszymi, za przykładem niegdyś Machabeuszów modląc się i walcząc. O godzinie piątéj z południa już Turcy na głowę pobici poszli w rozsypkę, zostawiwszy na pobojowisku ogromne mnóstwo trupów: cały obóz a z nim niezmierne bogactwo dostały się w ręce króla. Nazajutrz po bitwie Sobieski wjechał uroczyście do Wiednia na czele wojsk sprzymierzonych. Lud cisnął się, aby widzieć Obrońcę i płakał z radości. Matki unosiły dzieci swe do góry pokazując im Sobieskiego. Król Jan prosto zmierzał do kościoła i tam zaśpiewano: Te Deum laudamus.“ Poczém wszedł ksiądz na ambonę i zaczął mówić od tych słów Ewangelii „Był człowiek posłany od Boga, któremu imię było Jan.“ Oczy wszystkich zwróciły się na Sobieskiego; wszyscy uważali w nim zbawcę zesłanego przez Pana Boga. Chorągwie zdobyte na Turkach przesłał król Jan Papieżowi Jnnocentemu XI z temi słowy: „ Przybyłem, widziałem, a Bóg zwyciężył.“

z Hist. oblężenia Wiednia.

Styl obrazowy jest mniéj więcéj: wiernem lub pięknem malowaniem postrzeganych przedmiotów i uwag poczynionych nad niemi. W wiernem obrazowaniu—piszący nie ubiega się wcale a to, aby rzecz przedstawić ze strony samego tylko piękna, lecz pokazując nam ją taką, jaką jest w istocie, choćby nawet niepowabną wcale, już przez to samo zajmującą ją czyni, iż ją tak żywo naszéj wyobraźni przedstawia, jakobyśmy na nią własnemi oczyma patrzyli.

Np.—„Nad drogi poleskie nie znam nic straszniejszego, chyba poleskie karczmy. Ah! wszystkie pięć zmysłów i drugie pięć, gdyby je miał człowiek, cierpiałyby męczarnią najwyrafinowańszą w tych jaskiniach swędu i niechlujstwa.

Już widzę, jak się podróżny z daleka cieszy, gdy mu powiedzą, że będzie wkrótce karczma. Wygląda on, niepokoi

się, i widzi nareszcie światło błyszczące z daleka przez okno pobite, pozaklejane, pozatykane. Stój!—Dach się chyli, komin wali, wjazd zawalony błotem, stajnia bydłem, wozami i saniami. W izbie dymią okropnie fajki poleskie, słychać gwar głuchy pijackiéj rozmowy. Pytasz o osobną izbę; żydzi ci się w oczy śmieją.

Rad nie rad, ciemno, błoto, późno, słota, wchodzisz do jedynéj! Ah! pod nogami twojemi plączą się bachury, gęsi, kury, błoto; głowa twoja zawadza o lichtarz siedmioramienny wiszący u pułapu, a kapiący łojem; w nos twój wpada zapach gorzałki, dymu fajek, swędu właściwego żydom, kwasu, czadu łoju, dziegciu i błota; uderza o uszy twoje gwar pomięszany beku dzieci, krzyku kur, kaczek, gęsi, żydówek, brzęku kwart i pieśni chłopskich. Na dobitkę w jednym kącie żydzi rżną kozę wśród izby; w drugim szpektor uczy dziecko, ponuro powtarzając: geher! Uciekasz do alkierza! W alkierzu na betach i piernatach żydzi mieszą bułki i lokszyn, wisi kolyska, stoi stół kulawy, włóczy się kotka z kociętami, skaczą kozy po ławach, zawala drogę worek z owsem, w kącie śmierdzi rzepa i brukiew, a w drugim leży kupa kartofli. Ani sposobu! Gdzież ja będę nocował!.. myśli biedny podróżny. Żyd—jako bardzo przebiegły, wybiega naprzód do stajni zobaczyć, czém podróżny przyjechał. Od tego zależy przyjęcie. Jeżli parą końmi, niekrytym wózkiem, a żyd ma kilkaset rubli, traktuje podróżnego *de puissance en puissance, en égal*; kładzie ręce w kieszenie, pluje, zapala fajkę, (tu wszyscy żydzi fajki palą) i chodzi w czapce. Jeżli konie zaprzężone w szwarc,—z trochę większą dystynkcyją;— jeżeli jedziesz ze dzwonkiem,—największy respekt; jeżli masz kocz i brykę,—wypędza chłopów i oczyszcza ci pierwszą izbę. Daje ci świecę chorą, leżącą na bok w lichtarzu; gospodyni zamiata stoły i ławy fartuchem, podłogę posypują piaskiem. Ale któż cię wybawi od całéj historyi naturalnéj wijącéj się po ścianach jakby naumyślnie do obserwacyi; od smrodów, któremi już ściany przesiąkły; od krzyku z sąsiedniéj wylatującego izby, bachurów, kotów, żydów, szpektora i t. d.“

Ig. Kr. Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy.

Nic tu niema p i ę k n e g o; owszem—rzeczy opisywane mimowolną przejmują odrazą; a jednak tego rodzaju obrazki, jako odbijające prawdę codziennego życia, nadzwyczaj zajmują w powieściach i w opisach podróży, bo urozmaicając i równoważąc wrażenia wyższém wywołane uczuciem, dają niejako wytchnąć naszéj myśli, lot jéj skierowawszy ku ziemi. Styl taki—wymaga niepospolitego dowcipu, żywości wyobraźni i wielkiéj bystrości umysłu w chwytaniu nasuwających mu się przedmiotów, i czynieniu trafnych nad niemi spostrzeżeń.

W p i ę k n é m obrazowaniu już więcéj w z g l ę d n a, to jest odnośna do naszego usposobienia prawda się maluje; bo jeżeli nie podnosimy znaczenia jéj wyżéj nad rzetelną jéj wartość, to przynajmniéj zakrywamy lub pomijamy starannie odwrotną stronę jéj piękna w ten sposób, że cały obraz nietylko już na wyobraźnią, ale i na serce oddziaływa mocno, miłém je przejmując wrażeniem.

Np.—„Była-to pustka po-za wsią; cztery tylko ściany w ruinach i gruzie; po jednéj z nich wyższéj i wznioślejszéj poznałem rozwaliny kościoła, którego tylko szczyt podparty grubszemi szkarpy nad wzgórzem ożynami i tarniną porosłém panował, a na nim chwiał sie jeszcze stary krzyż żelazny, do którego przyparte było gniazdo bocianie. Po okopconych od ognia ruderach, których deszcze obmyć nie mogły, znać było, że ta ruina nie obaliła się powolnie, ale płomieniem pożartą została.

Ludzie zamiast podnieść dom Boży, dali mu upaść i nie wskrzesili staréj, poczciwéj Ojców modlitwy kamiennéj; kilka krzyżów drewnianych, kilka mogił podnoszących się nad grzbiet ziemi, kilka drzew starych współczesnych kościołkowi wiejskiemu ubierały to miejsce smutne, zdziczałe i ciche.

Z pagórka, na którym wznosił się kościołek nad urwiskiem i płynącą u stóp jego rzeką, wzrok sięgał w dal ogromną po-za drugi brzeg wody, na lasy, sioła, pola i dwory. Pięknie tu było choć smutno. Słońce zachodzące złociło szczyt upadłéj

budowy, a bocian klekotał na gnieździe, wróble układały się do snu w krzakach bujnie zarosłych do koła; para krówek chudych powoli schodziła z paszy na grobach ku chatom w dolinie.

Ostatni promyk słońca złocił jeszcze przez chwilę krzyżyk żelazny, odbijał się w wodzie rzeczułki, potém zgasł nagle i mrok szary począł się rozsuwać po ziemi. Patrzałem na ten obrazek z uczuciem, gdy wśród powiększających się ciemności, zadzwoniono w dolinie na *Anioł Pański* i echo poniosło daleko po rosie odgłos dzwonka wiejskiego. Anioły lecące w powietrzu się zatrzymały i modliły za poległych...

Mogiły Kraszewskiego.

Styl poetyczny jest także piękném obrazowaniem, ale już podniesioném do najwyższego stopnia tego piękna, co już nietylko z opisywanych przedmiotów, ale wprost z duszy piszącego wypływa. Polega on na umiejętnem użyciu przenosni, porównań, na idealizowaniu rzeczy podpadających pod zmysły, na chwytaniu związku, jaki może zachodzić pomiędzy światem ducha a światem materyi i wymaga wysokiéj poetyckiéj zdolności jaką się odznaczają w swych pismach Ig. Kraszewski, Zyg. Kaczkowski, Gabryela, Józef Kremer—i ten ostatni tak maluje nam noc.

—„Znasz te ciche, święte noce, gdy natura obchodzi uroczysto nabożeństwo swoje, gdy księżyc poświatą drżącą marzy po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem szytych i zagląda srebrném spojrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mruga na szczytach grodów starych, gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą nizką, drży w rosy kropelce na liściu zawieszonéj, Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, otulone tajemniczą fantazyją nocy zasnęły i marzą, stając się jakby własném widmem swojém, a tłumy skoczne iskier srebrnych pląsają w potoku; więc i on śni o kąpiących się w nich rusałkach cudnych i przez



sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiane obłoki, co niewiedzieć zkąd przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącéj ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapomina o troskach i znojach dziennych—i śpi.“

Listy J. Kremera.

Styl liryczny cechuje się głównie głębokiém a smutném uczuciem; nie poetyzuje, nie obrazuje nawet, nie szuka porównań ani ozdób, a jest tylko wylaniem duszy, lub tęsknoty serca, któremu ulżyć potrzeba jest koniecznie. Do tego rodzaju stylu, już nie talentu, ale tylko zdolności wiernego oddania głęboko pojętéj boleści potrzeba i taką odznaczyli się w swych pismach: Zyg. Krasiński,—J. Ig. Kraszewski,—Ks. Antoniewicz, tak opisujący ostatnią noc w swym własnym domu spędzoną.

—„Coraz bardziéj ciemnieć poczęło; światło w domu błyszczało przez szyby; wróciłem już późno i w tym domu przechodząc przez długi rzęd pokojów widziałem jakby rozwiniętą uroczemi obrazami całą przeszłość, całą młodość moją. Pomodliłem się przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa w domowéj kaplicy i lżéj mi się zrobiło na duszy.

Tak wszystko pusto i głucho było w około . . . wszystkie głosy radości i żalu ucichły,—wszystkie drogie osoby, których posłyszane kroki radość niegdyś przynosiły sercu, już znikły; sam zostawałem ze wspomnieniem mojém, z boleścią moją, z przeszłością moją! . . U nóg mich leżał brytan ulubiony Zosi, nie przeczuwając, że jak stracił panią, tak wkrótce pana swego straci; on w późny wieczór, gdym z sąsiedztwa powracał, radosném wyciem oznajmiał Zosi siedzącéj przy robocie w późną noc, przybycie moje. Biedny brytan! nie miał już komu oznajmiać przybycia mego!.. wkrótce nie będzie miał i powitać kogo . . . I mignął się przez szyby okna blask latarni; poznałem to światełko, wiernéj, poczciwéj klucznicy wracającéj z krowiarni, jak niegdyś za czasów Zosi; i weszła do pokoju;—rzuciła się do nóg moich i łzami zalana nie mogła

nie przemówić . . . ścisnąłem jéj rękę na ostatnie dobranoc!— Przesiedziałem tę noc; chciałem usnąć, ale nie mogłem; . . . chciałem się modlić, ale nie znalazłem słów, tylko—łzy! . . . I ranek zaświtał. Nie mając dość siły, aby się żegnać ze wszystkiemi domownikami, wsiadłem na wózek: jeszcze raz zwróciłem oczy na ten dom; pożegnałem tę wioskę i wszystko znikło z oczów moich: ale nic nie zginęło w sercu mojém. Żyje ta pamięć w głębi duszy, a jeżeli ją poruszę, to chwilka po chwilce, uczucie po uczuciu tak żywo powraca, jakby ten przeciąg czasu był jednym tylko snem ciężkim.“

Liryzm taki—jako owoc uczucia, tak dalece nie od wyrazów, ale od ducha, jaki z nich wieje zależy, że najprostszy, powszedniemi, z ust ludu wziętemi, a nawet śmiejącemi się wyrazami skreślony obrazek, schwyci przecież za serce tym smutkiem, jaki płynie z głębi samego przedmiotu, mimo barwy wesołéj jaką mu słowy dać chcemy. Za przykład tego może posłużyć ustęp z powieści Kraszewskiego, [1]) w któréj pana umierającego z tęsknoty za ojczystą ziemią, chłopak jego, również za nią tęskniący,—tak mówiąc o powrocie, słodkiém marzeniem do snu na wieki kołysze.

—„To jakbym ja widział, proszę Jegomości, rzekł Maciek, Dalifur wyleci z łysą głową, bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się.. Murzynowska w szafranowéj chustynce.... Stefanek boso,.... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. Pan! pan! pan nasz!.. A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu, wszędy radość.. wesele. Nazajutrz—wójt ze starszymi idzie powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił.. drzewa szemrzą: pan.... bociany krzyczą: pan.... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha!—Tylko stary indyk napérzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku bełkocząc, a ja go po czerwonym nosie... masz trutniu!.

1) Pól—Dyable Weneckie

Maciek tak się zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazyja. Pan śmiejąc się zakaszlał mocno, musiał na ławce przysiąść, pełną krwi chustkę odjął od ust... Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powlókł się do łóżka... Caritta siadła przy nim, zdawał się jéj nie widzićć.... Maćkowi kazał obrazek Najświętszéj Panny i szablę powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy niekiedy łzy mu poszły z pod powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcał.

. . . .

I dalej:„—Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

—A która *tam* godzina? zapytał Konrad.

—O! już słonko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak; bydełko powróciło z paszy; Pukało obszedłszy obory, idzie, Zdrowaśki mrucząc, na folwark do wieczerzy... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebanii księżyna odmawia brewijarz....

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

—Mów, mów, co ci się tam więcéj śni!

—Ano, już chyba więcéj nie wiem, rzekł Maciek; żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany do snu posiadały. Burek chodzi i burczy... cicho! cicho!. tylko od młyna turkot, słychać jak tam koła szumią i turkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... Na Anioł Pański dawno przedzwonili,

—A we dworze? spytał Konrad.

—Pustka Panie.

—Zegar idzie?

—O ten to się nie zająknie pewnie!

—Która godzina? począł Konrad...

—Ciemno dobrze... ino nie wiem, dodał chłopak czegoś przelękły, czemu oni nie wracają?

—Mów o Robninie, poprawił go Konrad.

—Może świece zapalić?

—Tak, dobrze, słabym głosem zawołał Konrad, przed N. Panną zmówimy litaniją... Ale spojrzno, czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie....

—Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę; dziwnie mu się blado wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie

dreszcze i trwogę w duszy. Nadstawił ucha, myślał, że posłyszy plusk przybijącéj do brzegu gondoli, ale—cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego; podniosły się ciężko powieki.

—Maćku, rzekł, co *tam* w domu?

—Śpią, Panie.

Chłopak przysunął się do łóżka; chudą, kościstą rękę dobył z pod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

—To dla ciebie, rzekł, abyś miał o czém powracać do domu.

—A mój Panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

—Weź rzekł, i daj mi rękę; taki dziękuję ci.... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł; pokląkł przy nim.

—Co się ty tam trwożysz? począł Konrad, niema czego. Jam zdrów! mnie już dobrze,—tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie; zaśpiewaj co naszego,... po cichu,... ja się zdrzemię...

Maćkowi nie na śpiew się zbierało: oczy ocierał i modlił się; Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się,—spojrzał na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem.—Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli Bożej; jeżelibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej: jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe,... ludzie inni,—serca dobre,—ale inne, o! nie nasze!.. Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli.

Tam lepiéj,—nawet z samotnością i nędzą... porzuć swego starego, albo go weźmij z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

—Zrozumiałeś? spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

—Co tu łzy pomogą, wyszeptał chory, nie masz jeszcze czego płakać.—to babska rzecz... wstydź się.

A po chwili znowu spytał. Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają?—wszak na dworze pogoda?

—Pogoda, panie.

—Świeci księżyc?

—Jeszcze nie wszedł.

—Tu nie taki księżyc jak u nas...

—Tak, u nas piękniejszy, potwierdził Maciek.

I było potém milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli, ale oddech coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słychać już nie było... Bo nie było już i duszy Konrada na świecie.“

Styl p a t e t y c z n y równie jak i liryczny wypływa z smętnego zawsze uczucia, ale różni się od niego wyraźną chęcią poruszenia i wywołania tegoż uczucia w drugich, kiedy styl liryczny przeciwnie jest tylko własnego usposobienia odbiciem.

Stylu takiego używa się w mowach, kazaniach, osobliwie też pogrzebowych, dla rozrzewnienia słuchaczów jak np. w tym wyjątku z kazania księdza Skargi mianém na pogrzebie Anny Jagiellonki.

„Tak się królestwu wszystkiemu, stanom jego, domownikom i poddanym wszystkim zachowała, iż słusznie nad śmiercią jéj płakać i onéj żałować winni jesteśmy. Żałujcie kapłani Boży i wszystek stan duchowny, iżeśmy obrońcę wiary i stanu naszego życzliwą dobrodziejkę stracili! Żałuj królestwo wszystko! ostatniego potomka królów twoich pogrzebasz, którzy cię na ręku jako mamki i piastunki nosili i sławę twoją i pokój i pożytki rozmnożyli, i za dobre twoje umierać chcieli, w których krwi i następowaniu jednego po drugim, nadzieja twoja dobra zostawała. Jagiellonów szczątek i ostatek już poległ! Ozdoba twoja i korona głowy twojéj spadła! Królewska córa, królewska żona, królewska w siostrzeńcu matka tobie odeszła, która cię w przygodach i zachwianiu podźwigała i podejmowała! Żałuj miłościwy królu drugiéj matki twojéj! jedna cię urodziła człowiekiem, druga królem: jedna cię wychowała, druga ozdobiła i wyniosła i w prawéj macie-

rzyńskiéj miłości z tą co urodziła, zrównała! Płaczcie też domownicy, nie pani, gospodyni, ale matki swojéj, która was jako dzieci swe miłowała, o wasze krzywdy się zastawiała, was pilnie opatrowała i nikogoż na testamencie, aż do najmniejszego kuchcika nie zapomniała! Córki polskie i białogłowy wszystkich stanów płaczcie! Utraciłyście matkę, która złote szaty strojom waszym dawała! Miałyście płci swojéj wielką ozdobę i pociechę; córki wasze wychowywała i wyposażała; wszelkiéj radości przyczyną wam była. O jakiemiż łzami tę utratę swoją ugasicie! Płaczcie sieroty, wdowy i ukrzywdzone niewiasty! miałyście gotową ucieczkę i pomoc w trwogach i dolegliwościach waszych. Płaczcie klasztory i szpitale! odeszła wam dobrodziejka, do któréj oczy wasze obrócone były, która was odziewała, broniła, karmiła! Płaczmy wszyscy, iżeśmy utracili królową i matkę naszą, do którejśmy mówić one słowa mogli: „Tyś była chlubą narodu naszego; tyś uweselała poddane twoje, tyś była ozdobą ludu twego! Tyś była przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego; z ciebieśmy mieli nietylko pomoc i uweselenie ale i zbudowanie. Tyś cnotami swemi zamknęła Jagiellońską krew i domowi twemu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swojem dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając“.

Stylu patetycznego używa się także czasami, dla wyrażenia politowania nad czémś, co bynajmniéj nas samych nie martwi i wtedy ton mowy wyraźnie niezgodny z uczuciem, jest tylko dowcipu wynikiem, a styl taki nazwę: patetyczno-żartobliwego przybiera: np.

—„Każde bióro redakcyi, to skalpel doktorski, to gabinet anatomiczny, to rzeź niewinniątek!. . . Zwiedziłem je, poznałem i o bogi! . . . widziałem na własne oczy straszną tajemnicę ich życia! . . . widziałem, jak się zapełnia ich numer, jak się zrastają członki w jeden tułów, jak je płatają, wydymają i kształcą; patrzałem jak klassyfikowały się artykuły, jak na skinienie redaktora jedne z nich sadowiły się w szpaltach, drugie czekały na miejsce, a wiele dlatego tylko wyciągnięto z koperty, ażeby natychmiast skazane zostały na śmierć! Wyznaję wam, nie chodziło mi o te artykuły, co wsparte powagą imienia jakiego literackiego arystokraty z dumą pierwsze zabierały miejsce, ale o te wzgardzone a ubogie, o tę dziatwę niegłośnych ojców, którą wyprawiono z domu z nadzieją, że je tam ocenią i pokochają sercem! . . . Nie bez rozrzewnienia patrzałem na taki niefortunny kajecik, jak leżał w rozpaczliwéj postaci, na wznak, na redaktorskim stoliku i z tłumu otaczających go współbraci wszystkiemi swojemi wykrzyknikami, jak żołnierz ranny wołało o pomstę do Pana Boga; wołał: „dobijcie, kto w Boga wierzy!“ I mimowalnie myślałem wtedy: biedny autorze! może myśl poczciwa, serce kochające podały ci pióro do ręki... Pisałeś, ciesząc się nadzieją, że cię pojmą i ocenią ludzie. Spaliłeś świec kilka;—nie dospałeś w nocy—wyskrobałeś żydki starannie; stawiłeś litery czytelne i opatrzyłeś je we wszystkie znaki pisarskie, ażeby żadna drobnostka nie zepsuła effektu całości, przeczytałeś to wszystko wroszcie dwadzieścia razy i teraz liczysz dnie i godziny, ażali rychło ujrzysz to ukochane twe dziecię w płaszczyku drukarskim przemawiające do ludzi! . . . A tu je zimny wyrok spotkał i skazał na śmierć! . . . I rzekłem w duchu; O zaprawdę! . . . okrutni to muszą być ludzie ci: szanowni Redaktorowie! Teki ich,—to cmentarze, zapewne nie mniejsze od Powązkowskiego!“

Listy z podróży. Padalicy. Tom 1 str. 114

Styl sarkastyczny pełen goryczy, ironii, wynika z uczucia zniechęcenia, rozczarowania i niewiary we wszystko co dobrém i zacném zowie się na świecie. Dowodzi on takiego bolesnego stanu duszy, w którym się tylko złe spostrzegać już umie, dlatego też jako dobry uważać go można wtedy jedynie, gdy chwilowo, jako postać mowy użyty, służy pisarzowi do zręcznego wypowiedzenia ludziom przykréj prawdy życiowéj, lub wykazania im, jakiém to wielkiém kalectwem duszy jest owo usposobienie do takiego rodzaju mowy i pisma wiodące. Do jednego i drugiego celu,

użył Kraszewski stylu sarkastycznego w Fragmencie *Abracadabra*, z którego jest następujący wyjątek:

—„Trafiliśmy już na delirium i gorączkę, w której gadał z niesłychaną szybkością i wymową . . . professor i ja jak wkuci zatrzymaliśmy się na progu.

—Nie! wołał, nie zmożesz mię siło niszcząca . . . jestem młody, mam wolę potężną, mam przyszłość . . . zwyciężę! . . . Czuję przed sobą życie . . . muszę je zdobyć. Zajrzę na dno téj wielkiéj tajemnicy, któréj znam tylko zadanie a rozwiązania nie pojmuję.

—Wszystko głupstwo! dodał po chwili; na dnie wszędzie człowiek ze swoją maluczkością i dzieciństwem . . . w każdym bohaterze siedzi w kątku kawałek błazna i trochę smarkacza . . . Ot, ot, zdaje ci się, żeś w nim schwytał wyższą istotę, a już się wyślizga i przedzierzga w małoletniego roztrzepańca. Zaczyna jak prorok, kończy jak szewc pijany; . . . doskonale śmieje się z głupstw cudzych, a swoje ma za całkowicie usprawiedliwione! . . . toż samo w życiu i nauce, a wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawki, a *on* wielkie X nieznane dlatego, by trójkę Platonowską dopełnić.

—Co mi pan mówisz, ofuknął się z cicha professor, on chyba udaje delirum, on nie deliriuje. . . .

—To być nie może, zbliż się pan, rzekłem.

Lekarz usiadł przy łóżku ostrożnie i z cicha, ja stanąłem za nim i tak dywagacyj jego, w których jeszcze był związek i przytomność, słuchaliśmy.

Drag się rozśmiał.

—Widzę, rzekł, nie, nie, nie jesteśmy tak źli, jak się zdajemy; ród ludzki składa się tylko po większéj części z cieląt ze skrzydłami udających anioły, i cieląt z rogami, któreby rade za djabły uchodzić . . . przecież cielę cielęciem . . .

Zamilkł podśmiewając po cichu.

—Nikogo, rzekł, żywéj duszy . . takie przeznaczenie moje, nigdy nie mieć nikogo, być wykarmionym z łaski, rzuconym na łaskę losu i sierotą zostać na zawsze. . . a pokazać, że wola wszystko zastąpić może, zwycięży i przemoże wszystko . . . Nie znałem ani ojca, ani matki, ani serca . . . i nie potrzebuję ich; miłość zmiękcza, rzecz babska, na nic się nie

zdało kochać . . . Pokraję świat w kawałki i zjem go po trosze . . . może téż przy téj operacyi dobędę się do jego serca i zobaczę co bije na dnie.

—Biedny człowiek! . . . rzekł professor z litością . . . Kto wie co go czeka, to organizacyja potężna . . . ale w piersi pusto, zaschło serce, straszny człowiek.“—

Styl K r a s o m ó w c z y używa się w mowach sejmowych, kaznodziejskich, sądowych, akademickich, których celem jest wygłaszać prawdy religijne i moralne; strzedz porządku i dobra publicznego, bronić niewinnych i uciśnionych, gromić występki i zbrodnie, oddawać sprawiedliwość zasłudze i cnocie, zachęcać do postępu we wszystkiém, co piękne i dobre na ziemi. Podstawą takiego rodzaju stylu jest: prawda, sprawiedliwość, miłość Boga i bliźnich. Wzniosłe i silne uczucie duszy, żywa wyobraźnia i wrodzona łatwość wysłowienia są jedynemi, prawdziwemi zaletami tego rodzaju stylu, jakim się odznaczyli kaznodzieje: Piotr Skarga, Birkowski, St. Orzechowski, T. Młodzianowski, P. Woronicz, Piramowicz, Antoniewicz, Prusinowski i inni—a jako mówcy: Hugo Kołłątaj, Lud: Osiński, St. i Ig. Potoccy, Niemcewicz i t. d. Przykładem takiego stylu jest wyjątek z mowy St. Orzechowskiego na śmierć Zygmunta 1-go *)

„Umarł nasz Król. Przebóg! rycerze, cóżem to wyrzekł? mógłżeli umrzéć ten, którego świetna, którego prawdziwie królewska cnota, jeszcze niżeli doczesny zawód odprawił, już obdarzyła była nieśmiertelnością? Nie umarł zaiste, na lepszy świat z tego lichego, wyzuwszy znikomą postawę, przeniósł się. Tam domierzył, dokąd sobie całém życiem torował drogę, a wiekiem świątobliwie spędzonym otworzył wnijście. Oddalił się od nas,—w ciężkim nas po sobie żalu zostawił, o-

*) Tłomaczenie Maks. Ossolińskiego z łacin

krył nas tą grubą żałobą, w któréj oto w obliczu jego martwych zwłok na tym tu uroczystym pogrzebie stawamy. Jemu samemu nie ubyło nic, okrom nikczemnéj ciała osłony. Osiągnął nieskończoną wieczność; przemijające dni zamienił na jestestwo żadnym przygodom nie podległe. Nie nad jego losem, którego już wspanialszego, szlachetniejszego używa, rozrzewniać się należy. Myśmy ponieśli stratę okrutną; śmierć nie jemu, ale nam życie wydarła.... Wasze łzy, wasza to nieuhamowana rozpacz świadkiem są, żeśmy wszystko z nim postradali. Nie jego niedola nas trapi, szlochamy nad własném nieszczęściem. Utraciliśmy, rycerze, nie pana, albowiem— kiedyż nam jego berło ciężyło? ale najsprawiedliwszego króla i dobrotliwego ojca. Czterdzieści jeden lat temu królestwu panował, a w czémże nie zostawił po sobie przykładu skromnego i zawsze słusznością prowadzonego władzy używania? albo jakąż nas łaskawości, szczodrobliwości, ludzkości pamiątką nie obdarzył? Spojrzyjmyż na kościoły: podźwignął, utrzymał, zachował wiarę świętą przodków naszych. Spojrzyjmy na kraj: on go ojcowską miłością pielęgnował, wewnętrzną i zewnętrzną pomyślnością uszczęśliwiał, ozdobił w pokoju, wsławił, orężem rozszerzył, zaszczycił swoją mądrością i walecznością. Był to król,— którego zaiste upłynione wieki nie widziały, potomne się nie doczekają.“

O wewnętrznych stylu przymiotach.

Najgłówniejszemi przymiotami naszego wysłowienia do jakiegobądź rodzaju stylu je zaliczamy są: jasność i stósowność zależne od myśli; i naturalność, zwięzłość, poprawność, i harmonija zależne od wyrażenia. Łączyć się one z sobą powinny koniecznie, jeżeli chcemy aby myśl wypowiedziana była zrozumiałą dla umysłu drugich i dźwięczną się dla ich ucha wydała.

Jasność.

Z pomiędzy wyżéj wymienionych przymiotów, jasność jest najpierwszym i tak dalece niezbędnym warunkiem stylu, że gdyby wszystkie inne oprócz niego znalazły się w mowie czy w piśmie, to jeszcze braku tego jednego tylko, zastąpićby wcale niemogły.

Człowiek mówi dlatego, aby drugim ludziom odsłonił swe myśli i uczucia, więc mowa jego powinna być jasną jak przejrzysty kryształ, przez który promień słońca z całą łatwością przenika. Gdybyśmy szkło okien naszych w najpiękniejsze wzory pomalować kazali, a dali jéj tło ciemne, nieprzepuszczające światła

zupełnie, to szkło owo celowi nie odpowie bynajmniéj, bo nietylko, że zasłoni, zamiast odsłonić przedmioty nazewnątrz domu będące, ale nadto, kładąc tamę światłu, nie da nam wcale dojrzéć i owych wzorów kunsztownych. Mowa tak samo: jeżeli przez nią światło myśli nie przebije się jasno z powodu źle dobranych, i źle uszykowanych wyrażeń i pomięszania pojęć, nie odpowie ona również swojemu celowi,—i żadne ozdoby wy, dać się w niéj nie mogą; każdy więc piszący do tego najprzód usilnie dążyć powinien, aby go zrozumiano bez żadnéj trudności, i dlatego potrzeba, aby zastanowiwszy się nad tém co chce wypowiedziéć, więcéj o dokładne przedstawienie rzeczy—niż o jéj upiększenie się starał.

Np. Praca największym wdziękiem jest życia, istotną miarą wartości, użyteczności człowieka; nietylko jest cnotą ale i szczęściem; bogate—wielu uciech z pracy wypływających nie znają. Znaż która z nich tę roskosz nieocenioną utrzymania siebie, dostarczenia potrzebom życia swego własną, godziwą pracą? pojmujeż która, jakie miłe, jakie chlubne uczucie serce człowieka napełnia, kiedy, spojrzawszy na siebie, koło siebie, pomyślawszy o bycie, o szczęściu swojém, powiedzióć sobie może: „Panie! łaska to Twoja, ale praca moja.“

Praca jest źródłem wszystkich uciech; patrz tylko na uczciwego rękodzielnika, który wstawszy rano idzie do pracy; twarz jego wesoła, wejrzenie śmiałe, szanuje się sam, bo czuje swą wartość. Odejmij pracę, spoczynek będzie męczarnią duszy i zniszczeniem ciała. A kiedy jeszcze z téj własnéj pracy wypłynie sposób podania ręki rodzicom, krewnym, bliźniemu w potrzebie, wtedy ta rozkosz z niczém porównać się nie da. Zapewnić sobie własną pracą byt uczciwy i przyjemny, jest to dać dowód najoczywistszéj wartości osobistéj; i wyznaję, że jeżeliby komu z dóbr ziemskich chełpić się dozwoloném było, to nie tym, którzy majątek w spadku po rodzicach dostali i opływają w dostatkach bez żadnego naprzód łożonego mozołu, ale tym, którzy własną, mozolną; a godziwą pracą do obfitości doszli.

O powinnościach kobiet. Hofman.

Jasność stylu dwóch tylko warunków wymaga: gruntownéj znajomości przedmiotu, o którym mówić chcemy i znajomości języka w jakim opowiadać go mamy.

O znajomości przedmiotu.

Znać przedmiot,—jestto nietylko zbadać go do gruntu w najdrobniejszych jego szczegółach,—i własną myślą objąć całość jego, ale nadto—umiéć tę całość podzielić logicznie na części ułatwiające zrozumienie przedmiotu i wydać je w piśmie takim porządkiem, jakim one w pojęciu rzeczy następują po sobie. Zrozumiawszy więc rzecz jakąś dokładnie, należy uchwycić jéj wątek i od początku do końca, jakoby nić jednę snuć ją naturalną wypadków lub wrażeń koleją, dzieląc znów mowę czy pismo na części, które zowiemy: *okresami.*

O okresach.

Podział mowy i pisma na części czyli okresy wynikł ze względu na słaby umysł człowieka, który potrzebuje jakiegoś ułatwienia do pojęcia tego, co ogarnąć i zbadać dobrze pragnie, a zarazem--z potrzeby zaokrąglenia myśli w pełne życia, urozmaicone i harmonijne całości.

Każdy okres, czyli mały oddział mowy zawiera w sobie jedną myśl główną uzupełnioną przez zdania podrzędne, które oddzielnéj myśli nie stanowią wcale, ale obliczone na zdobycie czyjegoś przekonania lub serca następują po głównéj i w ścisłym są z nią stosunku, jak w tym okresie naprzykład:

„*Pisma*, w których się pożytek łączy z przyjemną zabawą, w których są zatrudnione rozum, imaginacyja i serce, *stają się rozkoszą życia* i zachęcając do czytania, *rozszerzają oświecenie* nawet między klassą tych ludzi, którzy nie mają ani dość ochoty, ani dość sposobności oddawania się naukom.

Słowacki.

Z czterech zdań składających ten okres — jedno tylko jest głównem; trzy inne choć nie są konieczne, łącząc się jednak z głównem—wykazują wartość *pism*, więc znaczenie myśli w niem zawartéj podnoszą i niezbędnie do zaokrąglenia jéj są potrzebne.

Dwie główne myśli z osobnem rozwinięciem wtedy tylko w jednym okresie są dobre, kiedy ich zestawienie ze sobą wybitniéj różnicę, podobieństwo lub skutki czegoś wykazuje, jak w następującym wyjątku to się pokaże:

„Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linija między Galicyją a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyzna tego grzbietu, rodzielają dwa narody, dwa klimata.

Od północy dolina Kościeliska, urocza rozmaitością i całym wdziękiem wiosennéj prawie świeżości; od południa także dolina do Węgier już należąca, téj saméj prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych rozmaitości, któremi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczéj jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły.

Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna,—na Węgierskiéj ślady dogorywającego lata: po pierwszéj błękitnieją, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonniejsze kwiaty; na drugiéj zaledwie gdzieniegdzie żółty jaskier; tam porywa, odświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieją.“

Podróż do Tatrów. Goszczyńskiego.

Okresem, w ogóle — nazwać można każde zdanie zupełnie skończone jak np. to: „*Szczerość i prawda najrzadsze z cnót ludzkich*“ (Kraszewski) ściśléj się jednak tłomacząc: przez okres rozumiemy taki układ zdań, że one dzielą się na dwie połowy: w jednéj wnioski, lub przyczyna, w drugiéj twierdzenie lub skutek się mieszczą i tworzą *poprzednik* i *następnik*, które mogą stać w odwrotnym do siebie porządku. np: „*Trudniéj zapomnieć niżeli darować, bo to pierwsze już nie od naszéj woli zależy.*“[1]) (Feliks Ornis) „*Kto tylko tego szuka, co jest łatwém, nigdy tego, co jest wielkiém nie znajdzie.*“[2]) (St. Potocki.)

Najzwyczajniejszym sposobem łączenia takich części w całość jest użycie spójników: bo, więc, że, ponieważ, gdy, dlatego i t. d. i zaimków względnych: który, jaki, co, kto, czyj, i tak daléj.

Np. „Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, *kto* im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać: pieniądz, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia.“

Gabryela.

„W obecnym składzie społeczeńskim nieszczęśliwi bywamy częściéj przez dobre przymioty, niż wady; *albowiem* każdy nadużywa dobréj naszéj strony, a złéj nie rad zaczepia.“

Siemieński.

1) Skutek i przyczyna 2) Wniosek i twierdzenie.

Sposób takiego łączenia jest dobry—ale pewnym warunkom zadość uczynić musi, szczególniéj — gdy zaimkami, zdania wiązać się mają bo *jasność* i *dobitność* mowy wymaga: aby zaimek względny, następował zaraz po rzeczowniku, który określić powinien a przynajmniéj zaraz po wyrazie przymiotnym, całość z tym rzeczownikiem tworzącym np:

„Spojrzawszy na ten świat *Boży*, *wśród którego* milijony ludzi kręci się, spotyka, krzyżuje i wzajem o siebie ociera; na żywot nasz społeczny, na stosunki nasze z istotami otaczającemi, co chwila zdumiewać się musimy *prawicy Bożéj*, *która* tak to wszystko urządziła, że każdy z nas przychodzi na naznaczone miejsce w danym czasie, każdy jest zarazem ofiarą i sędzią a *to czego* od swych współbraci doznaje i czém ich napawa, zawsze według najściślejszéj sprawiedliwości, nie ludzkiéj ale Bożéj, obrachowaném zostało.“

Kraszewski.

Ilekroć wbrew téj zasadzie zaimek względny odsuniemy daleko od należącego doń rzeczownika, po którym postawimy jeszcze kilka innych obojętnych mu całkiem, to myśl zupełnie niezrozumiałą się wyda, dla braku połączenia należących do siebie pojęć; a jeżeli jeszcze ostatni—obcy rzeczownik w innym jest jak zaimek rodzaju, wtedy zdanie i niezrozumiałém—i nieharmonijném się wyda: np.

„Potém Władzisław postanowił *im* kapłany, z Polski przywiodlszy, w swoich biskupstwach, *z któremi* przed się dosyć trudności mieli, niżeli z nich pierwsze bałwochwalstwo wybili.“

M. Bielski.

„*Ogień* zwali swoim językiem *Zync* za jednę *świętość*, *na który* kładli drwa kapłani ich.“

M. Bielski.

W pierwszym okresie zaimek *któremi* oddzielony trzema rzeczownikami od zaimka *im*, nie zdaje się zupełnie należéć do niego, a w drugim zaimek *który* przy rzeczowniku *świętość*, nietylko że myśl czyni niejasną, ale jeszcze razi ucho niezgodą rodzaju razem zestawionych wyrazów. Taka jednakże zgoda również byłaby tu niedobrą, bo zaimek—godząc się na pozór z rzeczownikiem najbliższym, myśl całą pozwalałby dwuznacznie sobie tłomaczyć: np.

„Ale powoli, gdy się z nim oswoją dzieci i rodzice jak wróble ze straszydłem, zaczyna się męka.... Zaczyna się od linijowania papieru na rejestra, od nudnych *deseników* dla *panienek*, *które* na zimno rysować trzeba.“

J. Kr.

Myśl tu dwojako obróconą być może, bo i *deseniki* i *panienki* jednako wyrysować można.

W okresach umiejętnie układanych, w miejsce spójników lub zaimków,—takiém połączeniem zdań może być sama myśl czyli związek logiczny, jaki pomiędzy niemi zachodzi i wtedy zdanie główne nie podrzędnemi ale współrzędnemi rozwijać się i uzupełniać będzie, nie tracąc wcale na jasności ani dobitności swojéj np.—

„W świecie Bożym nic kłamać nie umie krom jednego człowieka; wiele rzeczy łudzi, wiele istot uwodzi, jeden człowiek kłamie. Nic on nie stworzył krom tego, ale fałsz jest jego dziełem. Zwierzę jest zawsze tém czém jest, sobą; człowiek sam przebiera siebie, serce, uczynki, słowa swoje w barwy fałszu, on jeden zabija wiarę w to czém jest, nigdy prawie nie będąc szczerze sobą. Jedni kłamią dobre, drudzy złe, inni stwarzają z siebie nowych ludzi, mało jest takich co są jakiemi ich Bóg stworzył.

I. J. Kraszewski.

O warunkach okresu.

Niezbędnemi warunkami dobrze ułożonego okresu są jedność i całość.

W okresie dobrze ułożonym,—jedna jakaś myśl główna, powinna przewodniczyć wszystkim innym służącym tylko do jéj rozwinięcia,—i pod względem doboru i układu podrzędnych,—musi koniecznie powyższym odpowiedzieć warunkom.

1) Jedność okresu wymaga, aby tylko koniecznie potrzebne do wyjaśnienia myśli głównéj—znajdowały się w nim zdania, a nie było takich, które nietylko że łatwoby opuścić się dały bez uszczerbku myśli, ale jeszcze przeszkadzają do zrozumienia, najważniejszéj—i obchodzącéj najwięcéj np.

„Młodości porannéj wspomnienie, to zielnik stary, bo w niém wszystko przechowane z dawnych lat: co serce niegdyś ukochało, co szczęsna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknéj zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi, to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułomkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym.“

J. Kremer.

Okres ten ma jedność, bo z sześciu zdań, które go składają jedno tylko jest główne a pięć innych służy do wyjaśnienia—dlaczego wspomnienie *zielnikiem* jest w pierwszém zdaniu nazwane.

Jedność okresu rozrywa się wsunięciem myśli nawiasowych pomiędzy zdania uzupełniające czy określające myśl główną, bo wtedy uwaga zwraca się ku obcemu przedmiotowi, od tego jednego, który nas wyłącznie zajmować był powinien np.

„Ściany żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać, (cóż na świecie nie zdradza? nawet kołki.!!) ściany obwiódł przemyślny budownik przyżbą, która je trzyma i nie puszcza.“

Kraszewski.

Druga przyczyna rozerwania jedności okresu jest taki jego układ, iż koniec nie odpowiada początkowi, z powodu domieszania zdań—nie do głównéj odnoszących się myśli np.

„Tą (muzyką) się cieszy podróżny człowiek,—tą więzień w ciężkich okowach, nakoniec przyrodzenie samo (aby to każdy znał, iż muzyka jaka taka niewczasy ludzkie odpędza) nauczyło mamki śpiewać, aby śpiewaniem dziecinny płacz tuliły; bo wnet dziecię uspokoi się, uśnie i zapomni sobie przyzwoitego płaczu, który płacz natenczas dało nam przyrodzenie na znak, iż nędzny a mizerny żywot nasz ma być na świecie“

Łukasz Górnicki.

I w pierwszym i drugim przykładzie, okres nie ma jedności; w pierwszym—rozerwały ją dwa zdania nawiasowe, z których jedno nasuwa spostrzeżenie nad *ścianami* drugie nad *kołkami*; w następnym zaś znowu okresie, dwa zdania wsunięte pomiędzy dwa główne pojęcia: *przyrodzenie nauczyło*, rozłączają te pojęcia całkiem, a dwa ostatnie zamiast o muzyce, o znaczeniu płaczu nam mówią.

Całość okresu zależy na tém, aby myśl główna, tak była rozwiniętą i uzupełnioną, iżby już nie pozostawało do dodania nic, coby mogło wpłynąć na przekonanie drugich—np.

„To widzimy patrząc na drzewa, u których gałęzie zawzdy są do pniaka podobne, a jeśli się kiedy odrodzą, to tam nie przyrodzenie winno, ale ogrodnik niedbały. Także też się

dzieje i w ludziach, którzy około wychowania mają dobre gospodarze, niemal zawzdy są podobni tym, z których idą i częstokroć je przechodzą“

Górnicki.

Okres ten całości nie ma; bo niema w nim myśli odpowiadającéj ostatniéj — z okresu pierwszego. W tamtym były dwa zdania o *gałęziach*—podobnych i odradzających się od pnia,—więc w następnym okresie powinny były być także dwa—które za porównanie służyć miały, o dobrze i źle wychowanych ludziach mówiące.

Całości okresu nie będzie w takich jeszcze razach, gdy spójnik wtrącony jest pomiędzy pojęcie rzeczy a pojęcie jego przymiotu, lub zdanie główne—a skrócone przez imiesłów osobliwy, a po tym spójniku lub imiesłowie, nie będzie słowa odnoszącego się do głównego pojęcia lub zdania.

„Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszemi stopami rozesłanéj, lecz wyobraźnia, *jakby* nie wiedziała wcale, że kochamy każdy jéj zagon falujący po niwie, każdą jéj morgę odmienném zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą.“

Żmich:

Ten okres wzięty oddzielnie od poprzedzającego, który pozwala się domyślać, iż spójnik: jakby, z słowem nie wiedziała, daje tylko niepowszedni zwrot téj myśli, że: *wyobraźnia nie wie*,—nie będzie miał całości, bo wyobraźnia, jako pojęcie rzeczy, o któréj jest mowa nie ma wyraźnie o sobie wydanego sądu,—od jakiego ją spójnik oddzielił.

Nakoniec—okres odpowiadający dwom wyżéj wyjaśnionym warunkom,—musi być jeszcze stósownie do

myśli i uczucia podzielony znakami przestankowemi na części.

W żywéj mowie na oddanie wszystkich naszéj duszy poruszeń, mamy różne głosu odmiany, a w samym jego dźwięku takie są wybitne naszego uczucia objawy, że nie słysząc nawet wyrazów, po tonie jakim są wymówione, znaczenie ich rozpoznać jest łatwo.

Te zmiany głosu dziwnie piękną i przenikającą mowę naszą czynią i robią ją prawdziwém naszych wrażeń odbiciem, a bez nich, byłaby ona monotonną i barwy uczucia pozbawioną zupełnie.

Jeżeli więc wyrazy nasze piśmiennie wydawać musimy, wtedy czytającemu, znakami pisarskiemi, jak gdyby na migi dopełniamy tego obrazka myśli naszych, jaki w samych wyrazach byłby niedokładnym jeszcze; a od ich właściwego użycia nietylko ożywienie pisma, ale i jasność jego zależy.

O długości okresów.

Trudno jest stałą miarą oznaczyć długość okresów, bo dodanie większéj ilości zdań podrzędnych, zależy od potrzeby szerszego rozwinięcia myśli głównéj, dlatego ludziom uzdolnionym za najlepszą miarę długości, służy własne ich uznanie, i stósownie do przedmiotu pisma swojego i do wrażenia pod jakiém zostają, używają stylu peryjodycznego lub ucinkowego.

Styl peryjodyczny tworzy się z powiązania okresów długich, złożonych z wielu zdań, podnoszących dosadność zdania głównego. Używa się zwykle w mowach i pismach poważnie, z godnością, z największym ducha spokojem traktujących rzeczy; w opisach rozbie-

rających i zgłębiających jeden tylko przedmiot—lub jedno tylko uczucie.—np.

„Sposobić ludzi, wypuszczać ich na świat do posług towarzyskich bez dzielnej pomocy religii, nie dać im hamulca przeciwko rozwiozłości, zgorszeniu, złym namowom i podnietom, jest to wypchnąć ich bez steru i przewodnika na morze rozhukane nawalnością, pełne skał i zamieci.

Religija chrześcijańska, cała zajęta dobrem i niedolą człowieka, wystawia mu wielkie jego przeznaczenie, prowadzi do niego drogą cnoty, cierpliwości i zasługi; zasadza pobożność na usłudze nieszczęściu i na najtkliwszych obowiązkach ludzkości, urządza spokojność duszy, każe urazy darować, zapobiega srogiemu panowaniu zemsty i dumy, niesie radę w pomyślności a pociechę w dolegliwościach, krzepi upadających nadzieją i nie dopuszcza rozpaczy; na powściągnienie ambicyi i chciwości ostrzega o krótkości życia i radzi nie łudzić się znikomością rzeczy ziemskich.

W téj nauce prawdy, pokoju i pocieszenia zawarte jest prawdziwe zbawienie na ziemi rodu ludzkiego skojarzonego w związek towarzyski; obok miłości Boga nakazuje miłość bliźniego, wszędzie się w prostym języku tkliwości rozwodzi nad niedolą i cierpieniem współbraci, żeby zatrudnić czułość naszą, zmiękczyć ją widokiem nędzy i nieszczęścia i zaszczepić słodkie poruszenia ludzkości.

W téj religii Bóg zawiera przymierze z człowiekiem dla ratunku, ulgi i pociechy nieszczęśliwych: jestto ludzkość nakazana imieniem nieba; a niedola potrzebnych i cierpliwych przytulona pod jéj opiekę, dla zapewnienia spokojności cywilizowanemu towarzystwu.

Nie dziw więc, że Religija wytrzymawszy srogie prześladowanie w pierwszych zaraz wiekach zatamowała mordy, rozboje i pożogi walącego się państwa Rzymskiego; nie dziw, że zbawiła Europę, kiedy ją najechała i zalała dzicz narodów północnych i wschodnich; nie dziw nakoniec, że zawierając w sobie najdzielniejsze pomocy i pierwiastki cywilizacyi ludzkiej przyłożyła się najdzielniéj do dobra nauki, a z niemi do ucywilizowania Europy i postawiła tę część ziemi w pierwszym rzędzie chwały, mocy i świetności,“

Jan Śniadecki.

Styl ucinkowy wprost temu przeciwny, jest wysłowieniem się krótkiemi, urywanemi zdaniami. Używamy go zwykle wtedy, gdy mówimy lub piszemy pod naciskiem gwałtownego wrażenia: boleści, gniewu, zdziwienia, albo przerażenia;—gdy z swobodą, dowcipem, opowiadamy jakieś niezwyczajne przygody żywo nas obchodzące i spiesznie następujące po sobie;—gdy czegoś w przedmiotach naukowych dowodzimy śmiało i energicznie, a w ogóle: gdy mowa nasza jest wynikiem uczucia. Jakiemkolwiek ono byłoby, człowiek niém uniesiony nie myśli o zaokrąglaniu swéj mowy, ale wybucha prawie tém uczuciem, i wrażenia swoje maluje tak szybko, tak urywanie, jak one w jego sercu powstają i zastępują się wzajem.

Np. Debarkader Warszawski, mówiąc między nami, wygląda dość sobie pospolicie i w stosunku do wielu europejskich jest tém, czém stacyja pocztowa na partykularzu, któréj całym zasobem są dwie czwórki kalek i słupek malowany przed gankiem, w stosunku do stacyi pocztowéj wielkiego miasta. Na pół godziny przed odejściem pociągu, zaczyna się ruch przy debarkaderze. Dążą z miasta karety, kocze, dorożki, przyśpieszonym krokiem idą piesi podróżni, a wszyscy zaopatrzeni w rozmaite walizy, tłumoki, mantelzaki i węzełki. Wszelka indywidualność przestąpiwszy próg kantoru, zmienia się na numer; przyjmuje stempel, odbija się jak palant z jednéj strony na drugą, wreszcie grupuje przy drzwiach głównych prowadzących do galeryi i jak strzałka magnesowa zaczyna oscylować w jednym kierunku. Jndeks zegaru łowi się ciągle łokiem, a dzwonek uchem. Wtenczas warto jest przepatrzyć tę różnorodną grupę. Miasto zwykle przysyła tu wszystkiego po trosze, jakby próbkę każdéj klassy, typu, wieku słowem wszystkiego, co posiada i prezentuje na ulicy. Tu jeszcze panuje ruch wzmożony. Każdy zajęty, śpieszący się, chwyta bilet, przeciska się z paszportem, żegna się ze znajomym, siada, chodzi, przypomina, śmieje się, płacze, lub zamyśla. Widzisz tu doświadczonych i niedoświadczonych po-

drożnych. Jedni żegnają się łzami,—drudzy ze śmiechem, a inni z miną obojętną patrzą na zegarek i ludzi.

Wtém—zadzwoniono... otwarły się drzwi na galeryję i wszyscy posunęli się do wagonów zabierać miejsca. Wzmogło się stukanie drzwiczek;—okna unizały się w twarze rozmaitego wyrazu; jeszcze rozmowy,—jeszcze pożegnania,—jeszcze tu i owdzie dłoń spaja się z dłonią; wtém — ozwał się przeraźliwie świstek; silném, taktowém buchaniem natychmiast mu odpowiedział kocioł i cały szereg wagonów wysunął się z debarkaderu, pisząc w powietrzu jak fosforyczną zapałką ślad swéj drogi.“

Listy z podróży Padalicy.

Stylu **ucinkowego** używa się jeszcze przy wydaniu myśli głębokiego znaczenia, które tém mocniéj na wyobraźnią działają, tém wyższém tryskają uczuciem, im więcéj skrępowane urywanemi zdaniami, nie mogą się wypowiedzieć w całości. Takiego stylu przykłady łatwo znaleźć w dziełach *Zygm. Krasińskiego*, z którego: *Nieboskiéj Komedyi* jest następujący wyjątek:

„Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. Professor przystąpił i macał głowę twoją i wyrzekł, że masz zdolność do nauk ścisłych. Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił, i krzyknął: „będziesz pułkownikiem.“ Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nic wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąść nie chciała. Magnetyzer palcami ci wionął w twarz, długiemi palcami twarz ci okrążył i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. Ksiądz gotował cię do pierwszéj spowiedzi i chciał ukląc przed tobą jak przed obrazkiem. Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętemi duchami“.

Tak jeden, jak i drugi rodzaj stylu, choćby odpowiedni do **przedmiotu i uczucia**, może być dobrym i pięknym tylko w pewnych ustępach; bo **ucinkowy** zrobiłby mowę niegładką i urywaną, pozbawiając ją zaokrąglenia i wykończenia myśli, a **peryjodyczny** znużyłby umysł, zbyt długo do jednéj myśli go przykuwając. Zwykle też oba te rodzaje wzajem się przegradzają i wtedy dopiéro tworzą styl pełen rozmaitości, żywości, i harmonii.

Np. Wioska ta, byłato zwykła górska, uboga, nieintratna posiadłość. Ogromne obszary ziemi,—lecz pustéj; ogromne lasy, w których masztowe jodły, ale nikt nie kupował ich ani na klepki; dwór drewniany niewielki, zabudowania ladajakie, a lud w największém ubóstwie. Ale za to powietrze i woda jak samo zdrowie; lasy gęste i czarne jak puszcze amerykańskie; skały dzikie i straszne i oplecione zielenią tak cudnie, że wzroku od nich nie można oderwać; tu i owdzie widoki na Tatry—i Morskie Oko tuż blizko.—Morskie Oko ze wszystkiemi swojemi czarami i tajemnicami, nie mrużące się nigdy i rozmawiające przez wnętrze ziemi z ojcem swym oceanem, który je kiedyś w boleści wypłakał i zawiesił w Tatrach. Natura tu wszędzie tak chrobra, jak pierwszy dech przedstworzenny; wschody słońca jak jutrznie zbawienia, a zachody jak pożary miast wielkich, które zostawiają po sobie mgłę szafirową na górach. Wszystko tu piękne i wzniosłe, wszystko tu poetyczne i tak głośno przemawiające do duszy i serca, że trzeba być chyba głazem nieżywym lub drzewem, ażeby w obec takiéj natury nie rozkołysać swéj wyobraźni, nie rozbujać swych myśli, nie ożywić w swéj duszy ideałów poezyi i piękna. To też kto się nie może doczekać natchnienia w swoim własnym fotelu, tu niech ich szuka; a kto ich i tutaj jeszcze nie znajdzie.... ten niechaj powie: Amen—swoim poetyckim zachceniom.“

Bajronista Zyg. Kaczkowski.

O znajomości języka.

Znajomość języka nie na codzienném jego użyciu, ale na gruntownem zbadaniu go polega, bo mówić tém lub owém narzeczem, to nie jest znać je bynajmniéj, tak samo jak widziéć człowieka, jeszcze znajomością jego, nie można wcale nazywać.

Człowiek ma duszę, która jego czynom wyłączny charakter i właściwe znaczenie nadaje; kto nie pojmuje pobudek jego działania, ten widzi i słyszy go tylko, ale go nie zna zupełnie. Naród—ten człowiek zbiorowy, ma także duszę zaczarowaną w języku; kto słyszy i wymawia dźwięki, a nie wie, co je wywołuje i co się w nich odbija, ten nie zna wcale języka.

Józef Kremer ów mistrz słowa polskiego, mówi tak w tym względzie do tego: „co pragnie wygrywać pieśni z innego świata na sercach ludzkich i chce duchom władać i stać się ich panem“. „Naucz się własnego języka twojego, naucz się jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice, poznaj się z czarami jego potęgi, co w nim żyją zaklęte; umiéj z niego wskrzesić pioruny i burze, płacze i muzyki anielskie, jeżeli chcesz, by ci była talizmanem do potęg i uczuć, co śpią nieznane w topielach serc naszych! Tak jest! naucz się języka twojego; naucz się jego sumienia, ale pamiętaj, że tu głowa, że tu rozum nie wystarczy; przyłóż serce do serca twojéj mowy, bo tak jedynie uczujesz jéj tętno tajemnicze; pokochaj ją z duszy, jeżeli chcesz być od niéj kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potulną, jeżeli nie będzie powolną twoim myślom i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją znasz, że ją kochasz, nikt ci nie uwierzy.“ 1) Więc stósownie do

1) Listy Kremera tom. 2. str. 38.

tego zastrzeżenia, ażeby znać swój język, nie dość jeszcze jest wiedziéć, że on jest dziwnie bogaty i tajemniczy w swych skarbach, ale trzeba zbadać w czém się to bogactwo zawiera i jak tych skarbów ze względu na cechy i ducha języka, — na zasady gramatyki i składni, na czystość, właściwość i poprawność naszych wyrażeń używać nam wypada.

Bogactwo języka.

Bogactwo języka oblicza się: 1-sze, ilością brzmień; 2-gie: zasobem wyrazów malujących kilkorako,—jedno i toż samo pojęcie; 3-cie: łatwością tworzenia wyrazów pochodnych z pierwotnych; 4-te: obfitością ich form, a we wszystkiém tém, nasz język niewyczerpane skarby przedstawia.

I tak: 1-sze co do ilości brzmień, że żaden język nie wyrówna naszemu, dowodzi tego łatwość z jaką przyswajamy sobie mowę innych ludów, znajdując dla każdéj odpowiednie dźwięki, od najmiększych i najpieszczotliwszych, aż do najtwardszych i ostrych, kiedy wiemy dobrze z jaką trudnością przychodzi cudzoziemcom mowy się naszéj wyuczyć.

2) O zasobie wyrazów przekonamy się obliczywszy: że mamy ich nietylko po kilka na nazwanie jednego pojęcia, ale jeszcze po kilka, i kilkanaście nawet określeń, któremi prześlicznie to jedno pojęcie cieniować możemy. I tak toż samo znaczy: ciemny, ślepy, niewidomy; izba, stancyja, pokój, komnata; — prostactwo, nieokrzesanie, gburowatość; — wianek, wieniec, równianka, plecianka; — posag i wiano; — stołek i krzesło;

twarz, oblicze, lice, policzki, jagody; pęta, więzy, okowy, kajdany; kościół, świątynia, przybytek Pański, dom Boży; suknia, szata, odzież, ubranie.

Cieniując swoje miłe dla oka wrażenia mówimy, że ktoś jest miły, ładny, przystojny, udatny, nadobny, powabny, wdzięczny, piękny, śliczny, prześliczny, uroczy, zachwycający, cudny.

Malując to uczucie jakiém serce ludzkie obejmuje Boga, bliźnich, stworzenia i rzeczy, nazywamy je odnośnie do jego przedmiotu i stopnia: ulubieniem, upodobaniem, przywiązaniem, kochaniem, kochaniem się, umiłowaniem, uwielbieniem, a daléj: poważaniem, szacunkiem, uszanowaniem, czcią.

Sądząc o stanie rozwoju umysłowego drugich powiadamy, że są rozsądni, wykształceni, rozumni, naukowi, uczeni, mądrzy.

3) Jesteśmy bogaci w wyrazy bliskoznaczne, to jest w wyrazy: które do jednego pojęcia się odnosząc, nie stanowią przecież ani tożsamości, ani stopnia jego, ale różnicę jaką upatrujemy w niém pod rozmaitemi względami, a jaką widzimy nieraz i w rzeczach jednakich co do rodzaju, ale co do gatunku odmiennych. Np. Obowiązki swoje nazywamy: robotą, czynnością, działaniem, zajęciem, zatrudnieniem, pracą, i jesteśmy przy ich wypełnianiu: leniwi, niedbali, gnuśni, opieszali.

Miłe uczucie serca zowiemy: przyjemnością, zadowoleniem, ukontentowaniem, radością, weselem, wesołością, roskoszą, pomyślnością, szczęściem. Inne wiodące do lekceważenia i narażenia życia mianujemy: junakieryją, zuchowactwem, śmiałością, odwagą, męztwem, walecznością, bohaterstwem;—a jeszcze inne: litością, dobroczynnością, miłosierdziem; żalem, smutkiem, rozpaczą;—złością, gniewem, nienawiścią;—rozwagą, roztropnością, rozsądkiem, rozumem; — żywością, roztargnieniem, roztrzepaniem; użałamy się nad: brakiem, niedostatkiem, biedą, ubóstwem, nędzą; nad: jeńcem, więźniem, niewolnikiem i t. p.

4) Co do łatwości tworzenia wyrazów, to jest ona tak wielką, iż trudno nawet wyliczyć wszystkie wyrazy, jakie powstać mogą z jednego, za pomocą dodania lub zmiany jego końcówki:

I. Dla oznaczenia jednejże rzeczy, ale uważanéj odnośnie: do naszego uczucia z jakiém zapatrujemy się na nią, i do jéj gatunku, rodzaju, lub przymiotu.

II. Dla uformowania innéj części mowy.

III. Dla urobienia przez dodanie różnych przyimków lub przyrostków z jednego słowa kilku i kilkunastu słów z największą dokładnością malujących nam stan, cel, wzgląd, i kierunek naszego działania.

Tak naprzykład wziąwszy taki rzeczownik jak: dziecko, urobimy z niego pieszcząc się lub gniewając: dzieciak, dzieciaczek, dziecina, dziecinka, dziecineczka, dzieciusio, dzieciuchno, dzieciątko, dzieciąteczko, dzieciątusio, dzieciątuchno, dzieciuch, dzieciuszek, dzieciaczysko, dzieciuszysko, dziecisko, dziecczysko, i t. d.

Z przymiotnika mały pieszczotliwie się wyrażając mamy: malutki, maluteńki, maluteczki, maluchny, maleńki, malenieczki, macieńki, macienieczki, malusi, malusieńki, a mówią jeszcze: madziudzi, maciupulki, maciupuchny i t. d. a jakkolwiek język nasz spieszczeń tego ostatniego rodzaju nie lubi, niemniéj przecież, taka nieograniczona, i niewypowiedziana dowolność w ich użyciu, jego bogactwa i żywéj ruchliwości dowodzi.

I z powyższego rzeczownika dziecko: urobimy przymiotnik: dziecinny i dziecięcy; słowo dziecinnieć i zdziecinnieć; imiesłów: dziecinniejąc i zdziecinniawszy, zdziecinniały, i dziecinniejący, przysłówki: dziecinnie, dziecięco, po dziecinnemu, po dziecięcemu, i jeszcze nie wyczerpiemy wszystkich zmian, jakie ze względu na rodzaj, liczbę, i przypadek ze zmianą końcówki otrzymać z niego możemy.

Malując cel i wzgląd naszego działania ze słowa nied. robić mamy inne jak: dok. zrobić cobądź, dorobić do końca, dorobić się majątku, wyrobić jakiś materyjał, wyrobić się z pracy; przyrobić mienia, przerobić na coś innego, urobić z czego, podrobić sfałszować, nadrobić czegoś lub czém, wrobić jedno w drugie, odrobić zadanie, obrobić pole, zarobić na chleb.

Ze słowa nied. kopać, dok: skopać grunt, dokopać zagona, dokopać się do węgla, srebra, zakopać w ziemię, podkopać dla zachwiania, ukopać ziemniaków, wkopać drzewo, wykopać z ziemi, odkopać wydobyć na wierzch, okopać do koła, rozkopać ziemię, podkopać się pod dom, zakopać się na wsi

i t. d. a z każdego z słów takich drugie tyle mieć będziemy, gdybyśmy z nich urabiać słowa częstotliwe chcieli.

5) Również niewyczerpane skarby odmian tych wyrazów mamy w formach ich przypadkowania, innych dla rzeczowników, innych dla przymiotników, innych dla liczebników, innych dla zaimków osobowych, a innych dla określających, tylko rzeczowniki, rozróżniając jeszcze w tych ostatnich rzeczowniki: osobowe, zwierzęce, nieżywotne, i rodzaj tychże, dla zastósowania do nich według różnych zasad wszystkich wyrazów przymiotnych. Ztąd też gruntowne poznanie tych odmian i zbadanie ducha każdego pojedyńczego wyrazu jest rzeczą konieczną nietylko już ze względu na piękno, ale i na właściwość wyrażeń.

Właściwość ze względu na ducha wyrazów.

Duch wyrazu—jestto myśl, którą się w jego nazwie pojmuje i która domaga się odpowiedniéj temu pojęciu nazwy, pisowni, i właściwego w mowie naszéj użycia.

I tak: biorąc pod rozbiór niektóre z powyżéj przytoczonych synonimów (jednoznacznych wyrazów), możemy się z saméj ich nazwy dowiedzieć, że podarek jest darem mniejszéj od tegoż wartości; że upominkiem dopominamy się czyjejś pamięci; gościniec od miłych gości przyjmujemy;—Przechadzki używamy chodząc dla przyjemności i zdrowia; przejażdżki odbywamy wyjeżdżając za miasto; wycieczki robimy, z pewnego miejsca ucie-

kając w inne na chwilę. Obiad przypomina pogańskie objaty (ofiary, z których część bogom lub zmarłym udzieliwszy resztę przy wesołéj spożywano biesiadzie) zadowoleni jesteśmy, gdy się stanie zadość woli naszéj; tłomacząc bierzemy z cudzych myśli tło i motamy na niém własne swe wyrazy. Do dziwnie malowniczych doliczyć tu należy: nazwy miesięcy, dni w tygodniu i codziennego posiłku, którym o różnych dnia porach sił dodajemy ciału a także i nazwy kwiatów, z których słonecznik ku słońcu się zwraca; bławałek błękitny czyli bławatny wygląda w zbożu jakby modre oko i zowie się ztąd modrakiem; pierwiosnek, najpierwszy nawiosnę; przylaszczki przy lasach a poziomki, zbierają się po ziemi i t. d.

Z pomiędzy blizkoznacznych wybierając właściwe naszemu pojęciu, pamiętać należy: że czyni się coś moralnie, działa się umysłowo, robi się fizycznie, pracuje się ciężko głową albo rękami. Szczęście można czuć w duszy w obec braku pomyślności w materyjalnych potrzebach, a na odwrót, choć komu idzie wszystko po myśli, przecież nie koniecznie będzie szczęśliwym, gdy mu brakuje tego, czego duszą nie myślą wygląda prosto od Boga. Głębokie wesele serca, bynajmniéj zewnętrzną wesołością nie jest; roskosz duszy (np. przy modlitwie i dobrych uczynkach) może być bardzo nawet łzawą, i na smutku oparta, a z uciechą swobodną może nic nie miéć wspólnego. Uśmiercić znaczy rzucić pogłoskę fałszywą o czyjéj śmierci; zabić można trafem czy umyślnie,— moralnie czy fizycznie; zamordować odebrać życie w sposób gwałtowny i okrutny; zamęczyć—można za

dając długie i bardzo powolne cierpienia. Dziedzictwo przechodzi z rodziców na dzieci; spadek jest pozostałością po krewnych; spuścina—może być przekazem od obcych osób zupełnie. Litość jest rzewném współczuciem dla niedoli drugich; dobroczynność, dobremi czynami wspiera ich ubóstwo; miłosierdzie jest najpiękniejszym objawem miłości serdecznéj odnoszącéj się zarówno do duszy i ciała, do przyjaciół i nieprzyjaciół naszych. Trudno czyli z trudem przychodzi jakaś praca; ciężko jest iść z ciężarem. Biegać jestto iść bardzo prędko; skakać to podrzucać się w górę; lata się tylko na skrzydłach czyli lotkach i t. d. W potocznéj i naturalnéj mowie należy bardzo uważać na dobór takich wyrazów, bo każdy z nich jest jakoby farbą odpowiednią barwie téj rzeczy lub pojęciu, jakie odmalować chcemy i od dobrego zastósowania ich dokładność mowy zależy. Wprawdzie zamiana jednych na drugie służy nieraz za piękną mowy ozdobę; ale—że wszystko wtedy tylko jest piękne kiedy właściwie użyte, trzeba więc najprzód znać doskonale różnicę między temi wyrazami w duchu ich leżącą, zanim samowolném, odnośném do naszego uczucia użyciem, nietylko nie popełni się błędu co do właściwości wyrażenia naszego, ale i owszem, wykraczając przeciwko téjże, będzie się jeszcze wierniejszym w malowaniu naszych wrażeń i myśli.

Tak Odyniec w tłomaczeniu *Mazeppy* Bajrona ślicznie przypisuje skrzydła dzikiemu rumakowi, o którym mówi, że:

„Z mniejszym pędem pieniąca się fala
Z porohów Dniepru w dół z góry się zwala
Jak on wciąż pędził w niepojętéj sile.“

i ten pęd jego słusznie lotem nazywając, tak go nam pięknie maluje:

„Tymczasem daléj i daléj bez toru,
Koń mój, jak wicher, jak błysk meteoru,
Leci i leci: wsie, ziemia uprawna
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami w koło jak oko zasięga
Step równy, pusty, w końcu widnokręga,
Przeze mgłę tylko widać, że jak pasem
Sinych po bokach otoczony lasem.
Niedawno jeszcze ćma Krymskich Tatarów
Wracając z Polski z jeńcami i łupem
Dognana wpośród tych dzikich obszarów
Przestrzeń ich w koło zasłała swym trupem.
Oprócz ich mogił widzianych z daleka
Żadnego śladu ni dzieła człowieka.
My lecim, lecim. Już przeszedł wschód słońca
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach: lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć;—a koń chrapiąc z gniewu
Leci i leci. Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu
Leją się ze mnie. Chcę mówić modlitwy,
Próżno! koń leci....

Łatwo osądzić, że tu owa niewłaściwość jest właściwą, a więc piękną, mowy ozdobą, ale razić ona będzie nas bardzo: gdy nie pomyślawszy nad tém, że wyraz: okrutny znaczy brak miłosierdzia, straszny przerażenie, ogromny wielkość, okropny zgrozę, używamy ich bardzo często w ten sposób: że ktoś jest: okrutnie dobry, okropnie ucieszony, ogromnie blady, strasznie wesoły; albo gdy wbrew naśladowniczéj harmonii czyli wbrew zgodzie pojęcia z jego nazwą bierzemy szum za świst; łoskot za turkot, chrzęst za szelest, krzyk za

hałas, brzęk za dźwięk i nie dajemy tym sposobem dokładnego o wrażeniach naszych pojęcia.

Czystość języka.

Mimo niezaprzeczenie wielkiego bogactwa naszego języka, liczymy jednakże w mowie naszéj dużo bardzo wyrazów cudzoziemskich, któreśmy dla różnych powodów przyjęli już za swoje. Do pewnego punktu niema w tém nic nas krzywdzącego,—po-za oznaczonym zaś kresem każdy wyraz wykracza przeciw znajomości i ukochaniu języka.

Wyrazami obcemi, ale przyjętemi za własne są:

1) Łacińskie oznaczające pojęcia i rzeczy w kościele nam znane jak: Msza, Sakrament, Komunija, hostyja, ołtarz, monstrancyja, brewijarz, ciborium, alba, stuła, korporał, ombraculum, antypedyum, infuła, pastorał, relikwija i t. d.—bo weszły do naszego kraju wraz z językiem, w jakim się nabożeństwo naszego kościoła odprawia.

2) Wyrazy niemieckie znane w rzemiosłach i fabrykach, które weszły u nas w użycie z powodu, że przodkowie nasi, skromniejsze od innych mieli materyjalne potrzeby i oddani rolnictwu lub wojnie obywali się bardzo małą ilością rzemiosł niosących im niezbędne w życiu usługi, jakie im oddawali: szewc, krawiec, stolarz, siodlarz, puszkarz, płatnerz, cieśla, kowal i inni.— Późniéj dopiero skutkiem różnych narodowych stosunków dali u siebie cudzoziemcom mianowicie: Niemcom gościnność i zacząwszy korzystać z ich fabryk, przemysłu i usług dali prawo obywatelstwa

majstrom takim jak: ślusarz, rymarz, garbarz, szlifierz, dekarz, i inni, oraz i kramarzom sprowadzającym przeróżne narzędzia, z któremi do warsztatów weszła i terminologija niemiecka. Ztąd też pełno jest takich wyrazów jak: rygiel, obcęgi, cyrkiel, hebel, sznajdeza, gwint, bretnal, rajzbret, reiscejg, wirtel, mendel, szlafrok, szlafmyca, flaszka, sztyft, kartofel, sztelwaga. i t. d. ale i te i inne ludzie dobréj woli starają się teraz o ile możności usuwać.

3) Wyrazy francuzkie oznaczające rzeczy mody i zbytku, przyswojone ztąd, że począwszy od drugiéj połowy 16-go wieku zaczęliśmy coraz bliższe z Francuzami zawierać stosunki i wraz z Henrykiem Walezyjuszem, Maryją Gonzagą, Maryją Kazimierą i język ich wszedł także do naszego kraju. Przyjmowaliśmy chętnie zwyczaje, obyczaje i mody francuzkie i rzeczy do niéj służące, a z rzeczami takiemi przyjąć już wypadało koniecznie i wyrazy jakie je oznaczały; więc przyswoiły się u nas takie jak: salon, gabinet, kozetka, szezlongi, toaleta, konsola, portyjery, festony, żyrandole, kinkiety, lokaj, tapicer, froter, fryzyjer, pukle, ruż, blansz, puder, perfumy, galanteryje, bižuteryje, delikatessy, likwory, szodon, bonbonierka, i bardzo wiele innych z tego samego zakresu.

4) Wyrazy oznaczające nauki i sztuki piękne, które przyjęliśmy za swoje jak: Algebra, Botanika, Akustyka, Optyka, Psychologija, Matematyka, logika. Z architekturą przyjęliśmy pilastry, kapitele, gzymsy; z rzeźbą: kontury, arabeski; z malarstwem: alfreski, pejsaże, miniatury, ze snycerstwem; postumenta, biusta, statuetki; z poezyją: sonety, ody, ballady, epopeje, tragedyje, komedyje, dramat, poemat; z muzyką—oprócz nazw jéj rozmaitych rodzajów i nazwy instrumentów jak fortepian, melodikon, wionoczella, harmonijka, flotrowers, klarynet, organy i inne.

5) Wyrazy wschodnie[1]) na któreśmy pojęć odpowiednich nie mieli jak np: Sułtan, horda, seraj, harem, haracz, jassyr, sorbet, talizman, dywan, rydwan, surmy, nahajka, basałyk, janczar, wezyr, bisurman, kańczug, tyftyk, han, dziryt, dzida, kindżał, kurhan, kajdany, sandały, kulbaka i t. d. i wyrazy oznaczające rzeczy, których na naszéj ziemi ni w wodach naszych nie było jak: perły, szafiry, rubiny, turkusy, topazy, ametysty, chryzolity i t. d.

6) Wyrazy obce a zgodne z naszém pojęciem; bo jak z pomiędzy wyrazów powyżéj przytoczonych jest bardzo wiele takich, które są wspomnieniem smutnych z Turkami i Tatarami stosunków, jak są inne, które religija, nauki, sztuki, zbytek, i przemysł wprowadziły do nas, tak są znowu i takie, które z potocznéj mowy od Francuzów przyjęte, tak już do naszego pojęcia przystały, tak doskonale z ich dźwiękiem i ducha przyswoiliśmy także, że zrosły się już z wyobrażeniem jakie nam malują i nie myślimy przepolszczać takich wyrazów jak: honor, charakter, ceremonija, wegetacyja, polityka, klassa, interes, rezon, kaprys, ambicyja, rezolutność, wentylator, irytacyja, grymas, rezygnacyja, kom-

1) Najznakomitszy u nas filolog Jan Papłoński b. Pr. Un. War. obliczył do 80-ciu wyrazów wschodnich używanych dziś u nas. Patrz broszurkę: „O mowie i jéj początku.“

promitacyja, naiwność, effekt, lokator, (łaciński wyraz) kombinacyje, profil i nie rażą one w mowie, a nawet i piśmie bynajmniéj,

Dla wszystkich tych wyrazów—jako dla zabytków i pamiątek stosunków, jakieśmy z innemi narodami mieli, jesteśmy bardzo względnymi, bo drobny nieraz wyraz za kronikę narodu dla myślącego nad nim obstanie, i przesadą gorliwości o utrzymanie czystości języka byłoby chcieć przepolszczać wszystkie, jak się to z niektóremi bardzo dobrze udaje. W stosunkach prawnych, handlowych, przemysłowych, mogłoby to dać powód do zamieszania wielkiego; inne stałyby się dla nas wprost niezrozumiałemi jak: zachówki (conserwy) bokotwarz (profil) nocnia (kosmoroma).

Dotąd jest kres oznaczony użyciu cudzoziemskich wyrazów, po-za nim idą:

1) Słowa tworzone ze słów francuzkich przez dodanie im polskiéj końcówki jak: zrewanżować, deranżować, umiłować, zbulwersować, konsolować, kaptować, konserwować, adorować, admirować, suponować, zdegustować, komparować; ekskuzować, negować, imaginować, ignorować, dezolować, inwentować, aspirować i t. d.

2) Wyrazy takie jak: frukta, redyska, kuraż, siurpryza, abnegacyja, desiluzyje. gerlanda, ewenement, pejzaż, amatorstwo, koneser, prezent, danser, i t. d. które są prawdziwą krzywdą dla naszego języka, bo odzierają go z obrazowości i wdzięku wyrzucając już prawie zupełnie z potocznéj mowy naszéj takie śliczne jak: wianek, równianka, podarek, upominek, przechadzka, zamiłowanie, odwiedziny, niespodzianka,

rozczarowanie, krajobraz, i inne, w których tak jasno duch ich od razu przemawia.

Poprawność języka.

Jak językiem czystym nazywamy język wolny od wszystkich obcych to jest: cudzoziemskich wyrazów, tak poprawnym jest ten, który wyrobiony już z mowy pospolitéj i gminnéj, stał się językiem naukowym, literackim zwanym i jest już wolnym od wszystkich błędów sprzeciwiających sie zasadom—przez świat naukowy w mowie i piśmie przyjętym.—Za takie błędy uważa się:

1). Nieznajomość prawideł gramatyki. 2) Prowincyjonalizmy; 3). Archaizmy; 4). Neologizmy; 5). Wyrazy gminne, 6). Niedbalstwo wymawiania pojedyńczych wyrazów.

I. Błędami gramatycznemi w mowie są: 1) niewłaściwe końcówki dawane przymiotnikom rod. żeńskiego i nazwiskom kobiecym w przyp. 4.—np. czytałam Białę Różę p. Żmichowskę (białą, Żmichowską); 2) złe przypadkowanie rzeczowników zwierzęcych—i złe użycie zaimków np. zabili dwóch indorów i trzeba ich upiec (dwa indory,—je). Zrywam kwiaty, bo na nich lubię patrzéć (na nie); 3) niewłaściwe zestawienie słowa z liczebnikami głównemi np. dwudziestu chłopców po lekcyi — bawili się w gry (bawiło się).

II. Prowincyjonalizmy są to wyrażenia, pojedyńcze wyrazy, lub sposoby wymawiania, używane tylko w jednym zakątku kraju po których—jak po ubiorze—rozróżniać można pochodzenie mówią-

cych.—I tak: w jedném miejscu po *m* kładą zwykle *n*, a *i* i *y* w odwrotny sposób używają mówiąc: mniałem, mnięso, mniód, rękamy, nogamy, suchi, muchi, i t p.—W drugiém miejscu, na końcu wyrazów zamiast *ą* wymawiają dobitnie *om* np. byłam z mamom, piłam łyżeczkom, polałam się kawom.—Gdzie indziéj po *k* i *g* wyrzucają potrzebne tam *i*, lub kładą je po niém niewłaściwie zupełnie, naprzykład: kedy, sukenka, rękię, nogię, gięś i t. p. a jeszcze indziéj srebro śrybłem, a porcelanę—porcynelą zowią. Są to błędy prowincyjonalnego wymawiania, a wyrazów używanych w jednéj tylko stronie kraju jest bardzo dużo—jak np. nagłowić się; drewutnia, makutra, ciepać, ryczka, kopiarz, pyrki, młodzie, tamuj, to i owto, dytki, trojak [1]) znaczący 6 groszy) złasować; co zaś do wyrażeń całkowitych—to również jest wiele takich—jak: chodzić po żebrze, być rodziczką z jakiego miejsca; taki cię nie usłuchałam, nie wyładowała się na bal; widno, że jest dobra, gdy to zobaczysz, to ci się podoba [2]) i t d.

---

1) Dwa tylko wyrazy ziemniak i czeski miane za prowincyjonalizmy krakowskie, na śmieszność téj nazwy nie zasługują bynajmniéj, bo ziemniak jako wyraz polski, i od kartofla piękniejszy pierwszeństwo przed nim wszędzie mieć powinien, a czeski (6 groszy polskich, które w Warszawskiem dytkiem, a w Kujawskiém: trojakiem nazywają bez żadnego sensu jest zabytkiem panowania u nas Wacława króla Czeskiego (roku 1300) który wprowadził do kraju grosze pragskie czyli czeskie, wartości 6-ciu groszy polskich mające.

2). Słowo podoba jako słowo niedokonane—oznacza czas teraźniejszy; czas zaś przyszły maluje się albo czasem złożonym: *będzie się podobać,* lub słowem dokonaném: spodoba się, i taka jest między temi słowami różnica jak między: jeść i zjeść, robić i zrobić, krajać i skrajać i t. d.

III. Archaizmy są to wyrazy przestarzałe, wyszłe już z użycia z powodu, że jak każda nauka, tak i język kształci się, rozwija, i w coraz piękniejszéj formie się przedstawia, a ztąd téż bardzo wiele wyrazów przez zupełnie inne zastąpione zostały, albo téż na zasadzie zbadanego ich ducha, zupełnie co innego już znaczą. I tak Réj—wdzięk nazywa wdzięcznością, skazanie na karę zdaniem, łagodne nadobném, powagę postawą, pokrewieństwo powinnością, cześć poczciwością, piękne czystém.

Górnicki osobny bierze za osobliwy, ostry za bystry; postanowienie za ustatkowanie; okrutne za wielkie, zajrzenie za zazdrość.

U Kochanowskiego siła oznaczało wiele, piękność była gładkością, wydatność jasnością, zrządzenie zdarzeniem, mały, niepozorny podłym. Co do tych wyrazów, jakie wyszły z użycia, to jedne z nich dzisiaj byłyby już w mowie rażące, jak np: acz, przedsię, bokówka, dziewosłęb, kordyjał, dziewka, wacan, aśćka, sromać się, wzdy, zawdy rzekomo,—a inne niezrozumiałe zupełnie jak: starka, drzewiéj, nynie, lepak,—i t. d.

Jednak choć śmiesznie byłoby używać takich wyrazów w codziennéj mowie naszéj, ale przecież powinny one pozostać w całości w skarbcu naszego języka, bo piśmiennictwo nasze, obejść się bez nich nie może. Każda epoka narodowego życia tak odmienną cechą zaznaczoną jest w pamięci dziejowéj, że wspominając ją, musimy ją odgrzebać z pod ciężaru lat ze wszystkiém co ją cechowało, a więc i z tym językiem, który był jéj duszą, i jako farb—jedynie właściwych do jéj odmalowania musimy użyć tych samych wyrazów, w jakich ona

uczucia, myśli i pojęcia swe wyrażała.—Wtedy wydają się one stósowne i miłe dla naszéj wyobraźni i ucha i zastępowanie ich nowemi, naodwrót—śmiesznémby anachronizmem się wydało.

IV. Neologizmy czyli wyrazy nowoutworzone, są to wyrazy wchodzące w użycie bez koniecznéj potrzeby, niezrozumiałe dla wszystkich a tylko przez niektórych przyjęte jak: jaźń, um, udobrodziejstwować, nihilować, wszechuczelnia, fuzyja, (fusion) zaprzepaścić, suplować [1]) rzeczoznawca i t. d.

V. Wyrazy gminne są to wyrazy swojskie wprawdzie, ale używane tylko w mowie nieokrzesanéj, prostaczéj, jak np. zajmać się, trząchać, chlapać się, zaklapać się, kiepsko, przewalić, nazad, wtykać wrękę, rozdziawiać gębę, wyłazić it. p.

VI. Niedbalstwo wymawiania uderzające w wyrazach, w których zamiast ściéśnionego *é* słychać wyraźne *y* albo *i*; a zamiast podwójnego *k*—*t*, np. miętki syr, świży chlib, letka kobita, uliwny dyszcz, wyliczyć się z choroby, kródziéj, jezdem, zara, tera, trza.

Wszystkie te uchybienia—w uszach estetycznie wykształconych i znających dobrze język swój ludzi, są rażącemi niezmiernie. Wyrazy jakto już wiemy, są tylko formą zewnętrzną naszego uczucia i myśli, więc dają one najwierniejsze świadectwo o wykształceniu i wychowaniu człowieka, i odpowiednie czynią na słuchających wrażenie. Czytać wiele dzieł wzorowym językiem pisanych i uczyć się z nich na pamięć wyjątków, to najlepszy sposób zasmakowania w jego pięknościach i przyswojenia ich sobie.

1) Galicyjskie zm. *zastępować* patrz: O skażeniu języka: Dr. Skobla. Kraków.

Cechy języka.

Jak pojedyńczy ludzie różnią sie od siebie uczuciami serca i poglądami rozumu, tak i całe narody mają także właściwe sobie uczucia i odmiennie na świat zmysłowy zapatrując się, inaczéj i świat ducha pojmują, a więc nietylko, że swoje uczucia i myśli w odmiennych brzmieniach wyrażają, ale jeszcze te brzmienia czyli wyrazy odmiennym łączą sposobem, nadając im właściwe w swoim języku obroty. Ztądto każdy język ma swoją składnią zgody, rządu i szyku,—ma swoje wyrażenia, których niepodobna jest dosłownie w innym języku oddawać. W powitaniach i narodowych przysłowiach wybitne to jest bardzo i w każdém poznać można główny odcień charakteru lub uczucia ludu, który je uznał za prawdę. Jak więc pojedyncze wyrazy każą czystość języka, tak znowu zły ich układ zaciera cechę jemu właściwą, wprowadzając w użycie wyrażenia i zwroty właściwe obcym językom z jakich je przyjmujemy z prawdziwą krzywdą naszego.—Zwroty takie stósownie do tego z jakiego języka są wzięte, nazywają się: Galicyzmami, Germanizmami, Rusycyzmami, lub: Lituanizmami np.

Galicyzmy.	Po polsku.
Nie mogę jak tylko to przyznać.	Muszę to przyznać.
Okno daje na plac.	Okno wychodzi na plac.
Francuz strzela w powietrzo.	Polak na wiatr.
Pozuje na pana.	Udaje pana.
Dał mi dzień dobry.	Powiedział mi dzień dobry.
Schwyciłam reumatyzm katar.	Reumatyzm mię schwycił dostałam kataru.

Nie znam dobrze tę rzecz.	Nie znam téj rzeczy.
To jest na dziennym porządku.	To jest rzecz codzienna.

Rusycyzmy.

Biedni wspierani bogatymi.	Wspierani przez bogatych.
Dziecko ukarane matką.	Przez matkę.
Ja jego nie znam wcale.	Nie znam go wcale.
Udobrodziejstwowany.	Obdarowany.
Czy ty był w teatrze.	Czy byłeś w teatrze.
Jakby to nic było.	Bądź jak bądź.
Podaj mnie pióro.	Podaj mi pióro.
Więcéj tysiąca rubli.	Więcéj niż tysiąc rubli.
Pytałem u niego.	Pytałem go.
Odkryć szkoły.	Otworzyć szkoły.

Germanizmy.

Dostać gości na herbatę.	Miéć gości.
To daje do myślenia	To mię zastanawia.
Wpadać w słowo komuś	Przerywać mówiącemu.
Ktoś wypadł z równowagi.	Stracił równowagę
Sądzę się być w prawie.	Sądzę, że mam prawo.
Wychodzę z téj zasady [1].	Opieram się na téj zasadzie.

Lituanizmy.

Wziąłem czytać.	Zacząłem.
Co mnie zrobić.	Co ja mam zrobić.
Przez dzień.	Co drugi dzień..
Wszystko szedł przedemną.	Ciągle.
Więcéj—że nic tylko to.	Przecie więcéj nic.
Po formie	Formalnie.
Mnie można jeść.	Ja mogę jeść.
Powierzyć komuś	Zawierzyć.
Chciałabym gdyby przyszła.	Żeby przyszła.
Musi być jest.	Zapewne jest.
Głowa mi boli i Kaziowi to samo.	Mię i Kazia.

1) Czytaj: O skażeniu języka polskiego uwagi D-r. F. K. Skobla.

Cacki.	Cacka.
Wlazę do wagonu.	Wejdę.
Lisznia bułeczka.	Nadliczbowa.
Schyliła się szpilka.	Zgięła się.
Niech używa swobody nim jest dzieckiem.	Póki jest dzieckiem

Naturalność.

Naturalność — jestto piękny przymiot tak człowieka samego jak jego pisma i mowy i objawia się wtedy, gdy z całą swobodą i bez najmniejszéj przesady tak wydajemy swe myśli, jak one w naszém pojęciu powstały, i gdy bez żadnego wymuszenia płynące z ust naszych wyrazy malują wiernie prawdziwe nasze uczucia, nie podnosząc ich do wyższego nad rzetelny naszego wrażenia stopień.

Naturalność—dziwnym powabem umie pociągać ku sobie, i jednako zacnéj duszy jak i wysokiego umysłu jest cechą, bo jest odblaskiem prawdy,—prawdę zaś każdy kochać i szanować musi i szuka jéj skwapliwie we wszystkiém, a odczuje najłatwiéj, gdy mu się ona bez żadnych wymuszonych wyrażeń i uniesień przedstawi. W mowie ustnéj, taka naturalność jest koniecznym naszego wysłowienia warunkiem, a w piśmie ma urok wyższy nad wszelkie piękne ozdoby. Odznaczyli się nią w swych pismach: Brodziński, Rzewuski w P*amiętnikach Soplicy*, ks. Hołowiński, Ignacy Chodźko, a u Korzeniowskiego, Kraszewskiego i Kaczkowskiego nie brak też tego przymiotu np:

—„Nie doradzam ci moje dziecko—powtarzała mu matka nieraz, abyś nie słuchał tych, którzy rządzą dziś twoją głową i sercem. Oni wzięli tę ważną sprawę na siebie, do nich ona z praw i zwyczaju należy , oni téż zdadzą z niéj kiedyś ra-

chunek przed Bogiem. Ale przypomnij też sobie czasem i to, co ci mówiła zawsze i dzisiaj po-raz ostatni powtarza matka. *Ojcze nasz, Zdrowaś Maryja i Wierzę*, to tak małe napozór są rzeczy i tak je łatwo pamiętać! A więcéj nie mam nic ci do przekazania; to będzie twoja cała po mnie spuścizna. Lecz nie myśl moje dziecko, ażeby to była taka rzecz drobna, jak ci się może wydaje. Dziś jeszcze ty dzieckiem i masz opiekunów, którzy cię prowadzą jak dziecię na pasku. Oni myślą o tobie, wskazują ci każdą ścieżeczkę, na którą masz wstąpić, oni cię chronią ode złego. Lecz przyjdą czasy, w których się sam zostaniesz na świecie. Pokażą ci się tam wszystkie krzyżujące się z sobą drogi tego żywota,a wybór pomiędzy niemi będzie całkiem zależał od ciebie. Każda z nich, będzie ci się wydawać piękniejszą od drugiéj, przyjdą pokusy, niepewności i walki wewnętrzne na ciebie. Okażą się przeciwieństwa, ciężkie próby z dopustu Bożego, zasadzki ludzi złych i zazdrosnych, zawody, umartwienia, boleści.... Na to wszystko może znajdziesz ratunek w twoim rozumie, podporę i puklerz w twéj silnéj woli, a w samym sobie pociechę; a daj ci Boże! i życzę ci tego z całego serca.... Lecz kiedy to wszystko nie zechce skutkować, kiedy rozum twój odrętwieje, kiedy wola pod ciężkiemi ciosami się ugnie i upadnie, i kiedy dusza twoja w boleściach i zgryzotach omdleje, kiedy już wyczerpiesz wszystkie rady twych mistrzów i wszystkie mądrości twych książek i jeszcze nie znajdziesz pomocy, ni ulgi—przypomnij sobie wtedy twoją macierzystą spuściznę, a to ci pomoże. Ten jeden króciutki paciorek posłany do Boga z ufnością, miłością i wiarą, zastąpi ci wszystkie potęgi, którebyś mógł znaleźć na ziemi. Jedno takie pokorne i szczere westchnienie do Stwórcy rozpędzi wszystkie nieprzebyte tumany przed tobą, oświeci promieniem słońca twoją drogę na przyszłość, odejmie moc twoim nieprzyjaciołom a tobie powróci siły, i wolę, i rozum i wszystko to, coś stracił.“

Bajronista. Zyg. Kaczkowski.

W opowiadaniu rzeczy ubiegłych, w opisach miejsc zwiedzanych, taka naturalność niezmiernie zajmuje i rozrywa umysł, nie wymagając natężenia jego uwagi, jakiego sztuczniejsze piękno potrzebuje zazwyczaj, a do któréj — nie zawsze usposobionym być może. Przykładem takiéj znów naturalności opowiadania jest wyjątek ze „*Wspomnień* ks. Jełowieckiego:

—„Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych gdzie była taka jak my dziatwa. wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś, myślimy sobie: musi tam być wiele dzieci, ot będziemy się bawić; pytamy:

—„Papo! a wstąpimy tu?“

—„Wstąpimy.“

—„A dużo tam chłopców?“

—„Dużo.“

—„A jak się ten pan nazywa co tam mieszka?“

—„Gimnazyum.“

—Otóż masz!—Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma. Źle! ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta, paskudne;—prowadzą nas nazajutrz do szkół—szkoły brudne; po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

Wtém dzwonią; z milijon chłopaków wylatuje z klassy, i nuż w perowerty; wesoło krzyczą, i nam powesełało. Radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać im co to i my figlów umiemy, ale nie można; więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

—„Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?“
A nauczyciel łaciny i greczyzny, Jagiełło, nieproszony odpowiada:

—„Jak odbędziecie popisy.“

—„Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.“

—„Da się to widzieć.“

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu. Myślimy sobie: Ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się; popisaliśmy się doskonale.

Edwarda i mnie przyjęto do trzeciéj klassy, Eustachego do drugiéj;

Byłoto w Sobotę; w Poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie do pana Jagiełły; Niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W Niedzielę rano ojciec mówi:

—„No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad; a tam po obiedzie grzecznie się bawić.“

—„A są tam dzieci?“

—„Jest dziewczynka ładna i grzeczna.“

Poubieraliśmy się ślicznie. Ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z tęgą postawą, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy. W pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesoły starzec; byłto Szczeniowski, wówczas dozórca gimnazyum Winnickiego, dawniéj prezes jakichś sądów, jeszcze dawniéj poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnéj nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko poświęcał, lecz od niéj niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednéj ni o drugiéj. To też doczekał wesołéj starości co się nie smuci żadném nieszczęściem: bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka jéj sądu.

—„Przedstawiam ci moich chłopaków.“

—„Żwawe chłopcy; a to wnuczęta moje.“

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potém powtarzał; a kończąc ten wywód, znowu nazwał nas wnukami.

—„Kiedy my wnuki, to pan dziadunio!“

—„Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.“

Odtąd tedy jużeśmy nowego dziadunia, dziaduniem nazywali zawsze. Wprowadził nas do bawialnego pokoju; wskazał na żonę—„oto wasza baba“—wskazał na nas—„oto twoje wnuki“—więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka jak aniołeczek; stanęła, popatrzyła i schowała się. Znowu stanęła we drzwiach i już się nachyliła do pierwszego poskoku; na prawéj nóżce stoi; lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jéj nie zgubiła; rączki na wpół podniesione, jak gdyby do latania zrywać się miała; włoski jasnolite jeszcze nie spoczęły w pędzie, a błękitne duże oczki mówiły: mamo, zawołaj mnie! Matka dała znak, a dziewczynka błysnęła przez pokój; i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: — Ksawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców.“—Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, ze mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię. Powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom.“

Prostota.

Prostota stylu jest piękną zaletą wszystkich w ogóle pisarzy, a wielką zasługą ludzi poświęcających swą pracę dla dzieci—i mniéj oświeconych od siebie, bo potrzebuje zarówno głębokiego pojęcia przedmiotu jak i pamięci o tém, że nie dla popisu swego, lecz dla pożytku drugich pracuje. O naukowych rzeczach łatwiéj jest mówić z tymi, co jednako z nami ją pojmują, aniżeli dać o nich wyobrażenie, nie mającym go jeszcze zupełnie;—i żeby spopularyzować jaką naukę, trzeba nietylko znać ją dla siebie z gruntu, aż do najdrobniejszych szczegółów, ale trzeba umiéć zniżyć się do pojęcia tych, których z nią chcemy zapoznać, i umiéć uczynić słowo swoje jasném światłém, coby każdy z tych szczegółów wielkiéj całości objaśniało i odejmowało obawę niezgłębionych jakichś tajemnic. Każda prawda, gdy z trudem i mozołem pojmowaną być musi, męczy i zniechęca słabe umysły do siebie, a kto tę prawdę umie zrobić jasną i łatwą, kto umie tak ją wykazać, że nieobeznanym z nią wcale, zdaje się jakoby dobrze wiadomą rzecz przypominali sobie tylko, ten stokroć

większego dokonywa dzieła, niż ten, kto zadziwia i przygniata, (że tak powiedzieć można), ogromem swojéj nauki. Taką prostotą stylu odznaczali się wielcy kaznodzieje nasi jak: Skarga, Birkowski, Młodzianowski i znakomici uczeni, co wysoką naukę i wyjątkowe pedagogiczne zdolności na pożytek uczącéj się młodzi poświęcali i żywém piórem i słowem np:

—„Historyja jako nauka opowiada, jak żyli ludzie i narody przed nami, aby wskazać jak nam żyć należy. *Żyje—kto pracuje* nad rozwinięciem sił swego umysłu i ciała i zdobywa sobie dzielność, któréj używa na pożytek swój i innych ludzi, swoich bliźnich. Im działanie człowieka więcéj przyczynia się do dobra innych ludzi, tém bardziéj jest ludzkie, szlachetne, zacne, tém godniejsze wdzięczności, rozgłosu i sławy; człowiek taki jest znakomitą osobą, któréj życie opowiada historyja dla nauki i przykładu potomnych.

Ale *człowiek* ani mógłby się wykształcić, ani zdziałać coś ważnego sam, bez współudziału i pomocy innych; *nigdy też nie żył sam*, lecz *społem* z innymi ludźmi, którym pomagał w ich pracach i kłopotach i wzajem od nich doznawał pomocy. Takie pożycie spólne nazywa się *życiem społecznem*, a ludzie niém objęci: *społecznością*. Spólnie żyjąc, pracując, oświecając się, broniąc, ludzie łatwiéj osiągają swoje cele: wykształcenie, rozumne a zacne działanie i szczęście, azatém życie społeczne jest dla nich koniecznością i wielkiém dobrém.

Najpierwszą i najmniejszą społecznością jest *rodzina* np. Noe z żoną, synami i ich żonami; potém *ród*, do którego oprócz krewnych należeli słudzy i niewolnicy, zostając wszyscy pod władzą naczelnika rodu—ojca i rządcy czyli patryarchy; takim był Abraham, Izaak, Jakób.

Gdy ród coraz więcéj się rozrastał, tak, iż z niego oddzielne powstawały rody np. od synów Jakóba, takie rozmnożone rody nazywały się *pokolenia* np. dwanaście pokoleń izraelskich, a ogólny ich związek czyli społeczność, mająca też samą religiję, język, prawa i obyczaje, nazywała się *ludem*. Lud izraelski żywo czuł toż pochodzenie i wywodząc ród swój od Abrahama, był sobie jakby pokrewnym, chociaż stopnie tego pokrewieństwa były już bardzo dalekie. Współcześnie były i inne ludy na ziemi. Każdy z nich uważał się za najlepszy, inne zaś ludy nienawidził i starał się podbić pod swoje panowanie. Jeżeli mu się to udało, lub sam uległ, wtenczas do ludu jednego rodu przybywał lud drugiego rodu czyli *ród-na-ród*. Nieraz łączyło się tym sposobem kilka lub i wiele ludów. Związek między niemi utrzymywał wspólny najwyższy zdobywca, rządca i pan czyli *monarcha* (jedynowładca) a społeczność taka nazywała się *monarchiją* lub *państwem*, które nieraz zajmowało wielką przestrzeń ziemi np. perskie, greckie, macedońskie, rzymskie, bo narody pogańskie dążyły do panowania nad całym światem czyli do *monarchii uniwersalnéj*. Dopiéro po narodzeniu Chrystusa Pana, według Jego nauki ludzie uznani zostali za bliźnich, a państwa jakby za wielkie osoby, moralnie równe sobie i weszły z sobą w rozmaite przyjazne stosunki, z czasem nawet czuwać poczęły. aby państwa silniejsze nie uciskały słabszych, co nazwane zostało *równowagą polityczną*, a państwa tak ubezpieczone *wielką rodziną narodów*.

Wstęp do historyi. Wojciecha Grochowskiego.

Zwięzłość.

Zwięzłość mowy i pisma jest wynikiem gruntownéj znajomości przedmiotu; logiki w uporządkowaniu a wprawy w wypowiedzeniu swych myśli i zasadza się na krótkiém tychże wydaniu. W interesach i sprawach sądowych, w pismach naukowych i poważnych, przymiot ten jest niezbędnym, bo ułatwia prędkie ogarnienie całości przedmiotu, a język nasz wykształcony na łacińskich wzorach, w wysokim stopniu posiadać go może. Do takiéj zwięzłości stylu pomagają nam doskonale imiesłowy i różne sposoby skracania i łączenia w jedną całość zdań, któreby czyniąc okres zbyt długim, myśl główną w nim zaciemniły. Strzedz się jednak należy, aby wyrzuceniem zdań mogących się czyto do wy-

jaśnienia, czy to do ozdoby myśli naszych przyłożyć, nie uczynić mowy suchą i pozbawioną wdzięku, a zbytniem ich skracaniem, przez częste użycie imiesłowów tak jak wprzód rozwlekłością nie uczynić myśli zawiłą i nieharmonijną. Zbyteczne ubieganie się za pięknem w dzisiejszych czasach rzadszym już uczyniło ten przymiot, ale znakomitsi pisarze nasi jak: Kremer, Kaczkowski i inni umieją zwięzłość obok obrazowości zachować i odznaczył się nią także Szajnocha w swych *Szkicach historycznych*, Kraszewski w *Obrazach historycznych* i w wielu innych swych pismach.—Tak Szajnocha opisując o niewoli na Wschodzie powiada:

—„Zabliźniona od pewnego czasu rana pogańska, jak blizna na czole wojownika służy raczéj za jakąś poetyczną ozdobę naszéj przeszłości, niż za przedmiot badawczego zmierzenia jéj głębokiéj niegdyś boleści i historycznego znaczenia. Takiem zatarciem się szczegółowych rysów dawnéj niedoli i niewoli pogańskiéj ubywa coraz więcéj gruntu najważniejszéj chlubie historyi naszéj—to jest téj chlubnej a tak wdzięcznie przez wszystkie niegdyś narody uznawanéj zasłudze, iż w bramach pogaństw osadzeni, byliśmy calemu chrześcijaństwu tarczą i przedmurzem od barbarzyństwa. Puszczając bowiem w niepamięć nasze klęski tatarskie i tureckie, a lubiąc bawić się natomiast obrazami błogiéj doli i swobody praojców, widokiem ich wesołego niegdyś pożycia śród ciągłych uczt i zjazdów, zwad i sejmików, jakże fałszywe wyobrażenie czynimy sobie o możności i prawdzie owéj zasługi historycznéj!

Myślimyż bowiem naprawdę, iż to sejmikując wciąż, a ucztując i zwady brojąc byliśmy przedmurzem i tarczą Europie! Owe sejmiki i zwady ujęły wiele blasku naszéj przeszłości i przyszłości—a wielka zasługa obrony ludów zachodnich od grożącéj ze wschodu burzy pogańskiéj jak wszystkie wiekopomne zasługi w dziejach urosła z wielkich ofiar i wielkich cierpień. Krew w boju z pohańcami przelana, była tylko mniejszą częścią téj historycznéj ofiary naszéj; największą część zasługi około bezpieczeństwa chrześcijańskich ludów od

pogan, położyliśmy cierpieniem, łzami i niewolą tylu a tylu tysięcy współbraci naszych, dziesiątkowanych ustawicznie plagą pogańską.

Dlatego zapominając ich łez, ich więzów, ich galer, ich dziwnych nieraz przygód, zapominamy najistotniejszych świadectw naszego spełnionego w dziejach zadania. Zaiste— w najmniejszéj cząstce swojéj było ono zadaniem pomyślności i miłych wczasów. Naród nasz w wiekach minionych mógł naprawdę powiedzieć o sobie jak jego hetman: „Nie z roli ja ani z soli, ale z tego co mię boli urosłem.“ Mniéj więc o chlebie i soli, a bogdaj słów kilka o cierpieniu i poświęceniu.“

Powieść o niewoli na wschodzie. Szkice Szajnochy.

Zwięzłość taką, ludzie wysoko wykształceni, jasno pojmujący rzecz i piękno w jéj głębi zawarte, umieją zachować i w innych—przeważnie estetycznych—i uczuciowych pismach, bo każda myśl główna a piękna uwydatnia się więcéj, gdy obok niéj nie stoją inne odrywające myśl od niéj, i sama przez się działa ona wtedy na umysł i serce czytelnika; całe zaś pismo, prawdziwie *jędrném* i *dobitném* a więc i przekonywającém się staje.

Tak Ig. Kraszewski—mówiąc o istnieniu Opatrzności Bożéj na ziemi, dowodzi jéj w ten sposób,—że każde zdanie w tym przedmiocie rzucone, samo przez się jest ważném, i wydaje się nawet konieczném: a niéma pomiędzy niemi ani jednego obliczonego na *ozdobę* dla innych, bo *piękno* jest w duchu każdéj z nich z osobna—i z każdéj z osobna—tak jak i z wszystkich razem przemawia np:

—„Los, mówicie, człowiek, przypadek to zrządził, a aniołowie uśmiechają się niewidomie nad wami z słów waszych, bo niéma istoty tak strzeżonéj z woli Bożéj, jak człowiek. I krok jego każdy obrachowany—i każda myśl otoczona i każde udręczenie serca naprzód wypielęgnowane; a gdy wśród

dwóch wpływów, wola i dusza pójdą choć częścią za lepszém, ku Bogu, ku niebiosom, wszystko się tu rachuje i do kosza zasług waszych zanosi, i do skarbca waszego zamyka, by w dniu uroczystym powrotu utkało szatę zwycięzcy, dało mu listek do wieńca, klejnot na piersi....i o włos zbliżyło go do światłości niebieskich.

—Świat wasz, mówił dalej anioł, nie jest dziełem przypadku; patrz rzekł, wskazując na ziemię,—oto drzewo, które rosło wieków kilka, a na nim liść jeden rozwinęła ostatnia wiosna;·liść jeden ze stu tysiąców, które objadło robactwo i oberwały burze; biedny liść maluczki, co go ledwie oko dostrzeże. I zżółkł jesienną posuchą; oto na włosku już zawisł na gałęzi;—nareszcie przychodzi ostatnie dmuchnienie wiatru, porywa go, unosi i rzuca w przepływający strumień. Liść czekał tego powiewu, pada, przypatrz się.... W strumieniu tonęła mrówka, którą on przeznaczony był ocalić. Liść ten nie upadł przypadkiem, ale od wieków przygotowaną wolą Opatrzności, aby istotka biedna, którą dziatki czekały, dziatki głodne.... przezeń ocalona została.... Drugi liść gnijąc, podsycił kwiatek, który ocalił człowieka.... Mądrość przedwieczna wydała dąb ten przed stami lat, aby liść jego jeden mrówkę, drugi człowieka ocalił. Tak dzieje się tu wszystko—i niéma losu a trafu, jest—obmyślenie opatrzne;... ziarno niesione wichrem bez woli Bożéj nie pada; serce nie bije i miłość nie przychodzi, i zapomnienie nie okrywa całunem bez niego. Milijony jestestw ocierają się i spotykają z sobą, a wszystko tak obrachowano, aby każde przyszło w porę drugiemu karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną, aby wzajemnie wspierały się, osładzały, budziły.

Żadne spojrzenie nie leci bez woli Bożéj, ani przychodzi daremnie; żadne uczucie nie wyrasta w sercu bez przyczyny i bez skutku, i to—co ludziom zdaje się niczém w życiu,—jest czasem: wszystkiego nasionkiem.“

Mogiły str. 20

Harmonija.

Mowa nasza, jako dźwięk i odgłos duszy powinna mieć przymiot właściwy muzyce, to jest: h a r m o n i j ą i ś p i e w n o ś ć, bo tym sposobem większe ona wrażenie na drugich wywrzéć potrafi i przez zmysł słuchu, łatwiéj do serca się wkrada. I do muzyki tém mowa jest podobna,że jak w pierwszéj, pojedyńcze tony w takt, a takty w melodyjną całość się składają, tak w mowie pojedyńcze wyrazy w zdania, a zdania w dźwięczne dla ucha okresy szykować starannie należy. W melodyi muzycznéj brak jednego dźwięku, przełożenie lub przetrzymanie jednéj tylko nuty całą jéj harmoniją zepsuje i to samo w mowie: jedna nawet sylaba zamało albo zawiele użyta, jeden wyraz złym szykiem położony, już jest ze szkodą melodyi—jakoby dźwiękiem fałszywym.

Nie tylko więc d o b ó r ale i u k ł a d wyrazów ma tutaj wielkie znaczenie i pod temi względami wystrzegać się należy:

1) Wyrazów, co choć nie czystości, ani przyzwoitości języka, ale e s t e t y c z n e m u uczuciu przeciwne, rażą niemile muzykalne ucho jak np: *nazad*, *chlapać się*, *włazić* i t. d.

2) Umieszczania przy sobie wyrazów mających jednaki źródłosów, lub częstego powtarzania jednychże, które łatwo innemi zastąpione być mogą. Np: Nie rób na *złość* temu *złośnikowi*, bo tém jeszcze go bardziéj *rozłościsz*. *Oszczędność* jest podstawą dobrego bytu rodziny; bo kto tak *oszczędnie* umie się urządzić, aby codzień ze zwykłych swych wydatków choćby cokolwiek *oszczędził*, ten w najpotrzebniejszéj chwili, tak *oszczędzonym* groszem wybawić z kłopotu się może.

Są jednak wyjątki co do téj zasady w takich razach, gdy zestawienie dwóch jednegoż pochodzenia wyrazów, jednemu z nich większą siłę i wybitniejsze zna-

czenie nadaje. Tak Jul. Słowacki w Balladynie powiada:

„O biedny *kwiatku!* na toż ty się *kwiecił*,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie
Na czarnym koniu z uzbrojoną świtą!
Zbawiłbym Zbawcę—lub wyrąbał krocie.“

A Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* opisując ucztę na miejscu przebojem zdobytém—by lepiéj potęgę snu określić, tak dwa podobne do siebie wyrazy zestawia.

„Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać,
Lecz powoli zaczęli drzémać i poziéwać.
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci
Tak *Zwycięzców zwyciężył* w końcu sen—brat śmierci.“

3) Należy się wystrzegać umieszczenia po sobie kilku jednozgłoskowych i trudnych do płynnego wymawiania wyrazów np: N a s z g r ó d w i ł d z i ś l a u r n a t e n g r ó b.

4) Zbiegu wyrazów dwu lub trzy sylabowych miar, czyniących mowę monotonną i bardzo niemiłą dla ucha np: Miałam—zamiar—iść do—ciebie—lecz czas—słotny—mi prze—szkodził. Czytałam—dzień cały—ażebym—ci mogła—co prędzéj—odesłać twą książkę.

Przekładnia jaka służy naszemu językowi, niezmiernie wiele wpływa nietylko na harmoniją, ale i na dobitność mowy, dozwalając wyrazom malującym pojęcie głównie nas obchodzące takie miejsce naznaczać, na jakiém postawione dadzą się wymówić z naciskiem zwracającym na nie uwagę np:

„Patrz, rzekł anioł: (miłość macierzyńska) to *najwyższa najczystsza* miłość na ziemi, bo w niéj *największe* jest poświęcenie; *niéma* nad nią *świętszéj*, ani *trwalszéj*, ani *silniejszéj*; jedno serce *matki* tak kochać umie, jak *Bóg* kocha dzieci swoje; *jedna to miłość*, co nie rachuje na odpłatę, nie chce *nic* dla siebie, nie pragnie *chluby*, nie targuje się z *ofiarami*; *cicha*, *łagodna*, *niezmożona*, *wielka*, trwa *do końca*. Niewdzięcznością odpłacona *płacze*—ale *przebacza*; odepchnięta *powraca*; zdradzona *wzmaga się*, *życie* traci i z *za życia* jeszcze promienieje. Dlatego błogosławieństwo *matki* jest siłą *wielką*, a przekleństwo macierzyńskie *śmiertelném*.

Mogiły Kraszewskiego.

5) W szykowaniu wyrazów pamiętać należy, aby na końcu zdania nie kłaść wyrazów jednosylabowych i zaimka *się*, chyba w krótkiéj, urywanéj mowie, lub gdy tym sposobem dobitniejszą uczynić ją możemy, np: Nie ciesz się! Zawierz mi! Kółko rodzinne, to dla mnie cały świat! Wystrzegać się też potrzeba powtarzania jednychże wyrazów i z a i m k ó w w z g l ę d n y c h, czego można uniknąć, przez omówienie wyrazu lub skracanie zdań, bo takie powtarzanie wtedy tylko jest dobrém, kiedy jedno jakoweś pojęcie wybitniéj przez to malujemy, bynajmniéj harmonii mowy nie szkodząc np:

„Wiekuistém jest wszelkie ukochanie myśli *Bożéj*, prawa *Bożego*, obietnic *Bożych*. *Z kim* się choć raz podzielimy opłatkiem *wspólnéj* wiary w dobre, *wspólnéj* tęsknoty za sprawiedliwém, *wspólnych* nadziei zbawienia, *z kim* wymienimy słowo pokoju, wzajemnéj przestrogi lub zachęty ku poczciwéj pracy, *z kim* się aby w jednym szlachetnym połączymy zamiarze, aby w jednéj odmówionéj razem modlitwie, z tym i wieczność nas nie rozdzieli.“

Gabryela

Harmonija naśladownicza.

Oprócz harmonii melodyjnéj—jest jeszcze harmonija naśladownicza, wypływająca z doboru wyrazów zastósowanych do pojęć jakie malować mają, a w które-to wyrazy obfitym jest bardzo nasz język. Ma on albowiem wyrazy ostre dla wydania burzliwych,—a miękkie i pieszczotliwe dla słodkich i łagodnych uczuć, jak to pięknie wypowiada jeden z poetów—w tém określeniu naszéj mowy:

„Boć narzecze słowiańskie pozorem nie kłamie,
W każdym dźwięku myśl cała i ognista drzémie;
Jak gościnność w ich sercu, jak w boju ich ramię,
A tak tkliwa i rzewna jak całe to plemię.“

J. N. I.

W wysokim także stopniu posiadamy łatwość odtworzenia samém brzmieniem wymawianych wyrazów—wszystkich głosów żywych, lub pochwyconych w naturze, i naśladowania przerozmaitych dźwięków wydanych poruszeniem rzeczy, a takiemi wyrazami są: huk, grzmot, błysk, grom, świst, szum, szelest, chrzęst, brzęk, dźwięk, łoskot, turkot, tentent, pisk, ryk, wycie, hałas. i t. d.

Jest też to wielką zaletą piszącego i dowodem jego gruntownéj znajomości języka, jeżeli w opisach jakiegobądź rodzaju umie zachować zgodę między wyrazami a pojęciami jakie niemi odmalować pragnie, a szczególniéj w poezyi, — pięknie się takowa zgoda wydaje. Tak Odyniec w tłomaczeniu swojém malując *pogodę* samych łagodnych dobiera wyrazów, gdy mówi:

„O jak uroczy jest uśmiech pogody,
Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,
I głośne wichrów umilkną niezgody;

A rozjaśnione niebiosa i wody,
Znów mile słońce piastują na łonie!

. . . .

Tysiąc wiotrzyków z murawą się pieści
Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści
A każdy zda się innego stróż zioła,
Jego woń tylko roznosi dokoła.
A całe niebo blaskiem się uśmiecha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia, ucicha.“

Czciciele ognia.

W *Dziewicy Jeziora* piękny jest także przykład harmonii naśladowniczéj w ustępie malującym wrażenie, jakie czyni na góralach symfonija wojenna naśladująca dźwięki: marszu, ścierania się mieczów, okrzyków, i szerzącego się zgiełku.

„Im bliżéj coraz, tém głośniéj wzdłuż brzegu
Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega;
Z początku zdala tchnąc z wiatru oddechem
Cichém w powietrzu rozpływał się echem,
I mięknąc zwolna w przelocie nadwodnym
Zdawał się uchu być śpiewem łagodnym.
Ale co chwila im głośniéj, tém bardziéj
Brzmi pełniéj, mocniéj, przeraźliwiéj, twardziéj;
Słychać marsz, który Alpinów klan zbrojny
Gromadzi w hufce i wiedzie do wojny.
Bije takt gęsty, że rzekłbyś po ziemi,
Tysiąc stóp tętni krokami prędkiemi,
Lub że już hufce stąpają z pośpiechem,
A ziemia głuchém ozywa się echem.
Takt zwolniał nieco; brzmią tony wesela;
Marsz! znać, że idą na nieprzyjaciela.
Wtém wszystkie dźwięki zmieszały się razem
Jakby mąż z mężem, żelazo z żelazem,
Słychać szczęk mieczów i chrzęsty pancerzów,

Świst strzał, zgrzyt włóczni i trzaski puklerzów
Ucichły nagle;—wrzask tłumi się, głuchnie,
Przeszła utarczka,—nim bitwa wybuchnie.
Brzmi znak,—znów zbrojnych szeregów znać starcie,
Uparty odpór i szybkie natarcie;
Wzmaga się hałas wrzaskliwy i dziki,
Jęki boleści, tryumfu okrzyki;
Pierzchają tony jak wrogi wśród klęski,
Alpinów tylko brzmi już hymn zwycięzki.
Ani tu koniec; lecz coraz koleją
Wyniosłe tony zniżają się, mdleją,
Aż w cichych jękach powiały ku niebu
Na cześć poległych smutną pieśń pogrzebu.

A. Ed. Odyniec.

O wadach stylu.

Wszystkie powyżéj wymienione przymioty są tak koniecznemi warunkami nietylko już **pięknego** ale nawet i **dobrego** stylu, że każde wykroczenie przeciwko nim staje się wadą, odbierającą cały urok wysłowieniu naszemu. Jedne z tych wad wypływają z nielogicznego układu myśli piszącego, drugie z braku poczucia piękna, lub mylnego o niém pojęcia i czynią styl: ciemnym, przesadzonym, napuszonym, rozwlekłym, zbytecznie kwiecistym, wymanierowanym, lub—nieprzyzwoitym zupełnie.

Do najpierwszych liczy się **ciemność** czyli **zawiłość** stylu, która nie daje jasno i łatwo objąć głównéj myśli piszącego. Brak gruntownéj znajomości przedmiotu lub usilniejsze staranie się o **ozdobne** niż o **logiczne** wypowiedzenie rzeczy, są takiéj wady przyczyną, która uderza w źle ułożonych i zazbyt długich okresach, skutkiem nagromadzenia zdań pobocznych i nawiasowych odrywających uwagę coraz do czego innego. Wyszukane,—niezwyczajne lub źle zastósowane wyrazy, niewłaściwie użyte przekładnie mieszające różne, lub rozdzielające dwa do siebie należące pojęcia, a także brak naturalności tak w pojedyńczych wyrazach—jak i w ogólném wypowiedzeniu myśli pisarza, również się na tę wadę składają np:

Jako między umem a prawdą uznać wypada coś za uprzednie zgodne nastrojenie; to jest, każdemu człowiekowi wrodzoną prawdy pojętność, w braku wychowania uśpioną, wychowaniem obudzalną; lecz ani w téj drodze nabywalną, ani całkiem wyniszczalną: tak też jakiś zobopólny miłodźwięk rodzimy zachodzi między umem naszym a pięknością: to jest każdy człowiek, którego przyrodzona dzielność umu nie doznaje przeszkody, posiada od urodzenia pewnego rozsądziciela piękności w ogóle, czyli uczucie estetyczne, które za pierwobyt, pierwocinę, i zaczątek w nas pięknoznawczy uważać można.

Z broszurki: O piękności.

Myśl—jest tu zawiłą i ciemną, bo schwycić ją trudno w chaosie wyrazów niezwyczajnych i zdań, logicznym związkiem nie połączonych z sobą bynajmniéj. —Toż samo i w następującym wyjątku:

—„Jak piękna zorza, czystym rozjaśniająca ziemię porankiem, cieszy zabierającego się do pracy rolnika, iż plon rozłożony na polu, szczęśliwie przecież pod domową strzechę sprowadzi i z rodziną swoją w słodkim wypoczynku używać będzie; a nagle, nie wiedzieć zkąd, gromadzące się wilgotnych wyziewów kłęby, ćmiąc przed jego rozwesolonem okiem śliczną zorzę, wnet pochlebne jego osłabiają nadzieje,—tak cień nieszczęsny wiekuistéj nocy gasząc niespodzianie prawdziwą szczęścia naszego jutrzenkę, ukochaną Królową Jadwigę w r. 1399 cały naród polski i naszą szkołę główną, niewysłowionym przeraził smutkiem.“

O stanie Akademii Krakowskiéj.

W tym drugim okresie jakkolwiek lepszym jest od pierwszego, główna myśl także nie jasno jest wypowiedziana—najprzód z tego powodu, że takie dwa pojęcia jak *piękna zorza* i *cień nieszczęsny*, niewłaściwie są z sobą związane przysłówkami porównania: *jak: tak*, bo *piękna zorza z jutrzenką* a *cień śmierci z chmurami* porównane być winny; a powtóre: że niepotrzebnie użyta przekładnia rozdziela *poranek* od jego przymiotu,—że zdań jest zawiele w pierwszéj polowie okresu — i że wzięcie takich wyrazów jak: *wilgotnych wyziewów kłęby*, zamiast *chmury*, jest obliczaniem na ozdobę z krzywdą naturalności i prostoty.

Drugą wadą stylu jest przesada czyli affektacyja w malowaniu uczucia niezgodnego z prawdą, w robieniu wielkich rzeczy z małych i nic nieznaczących, w użyciu jaskrawych ozdób i porównań branych z przyrody a rażących zbytniem oddaleniem od wszelkiego prawdobieństwa. Wada ta u pisarzy XVII-go wieku, była powszechną—ale nieraz i u dzisiejszych spotykać się daje, a jest ona całkiem charakterowi polskiego stylu przeciwną. Tak w tym wyjątku z tegoczesnéj powieści każde z uczynionych porównań uderza taką przesadą:

„Całym sprzętem izby była para skrzyń mocno okutych; jedna z nich niedbale zasłana brudną i grubą pościelą, była jakby *wpodłuż przecięta jakąś ciemną pręgą, najmniéj do ciała ludzkiego podobną, a nad powierzchnią* tego zaimprowizowanego łoża prawie *nie wystającą*. Byłoto nędzne ciało a raczéj szkielet staruszki. Jéj *oblicze* wychudłe bardziéj do *ostrego narzędzia niżeli do twarzy ludzkiéj* podobne, miało kolor *przewróconéj skiby ziemi mchem porosłéj* a przy téj czarności *włosy* gęste, jak śnieg białe, które jéj głowę otaczały, sprawiały *wrażenie całunu*.“

Trzecią wadą stylu jest napuszoność wyrażeń, bo, o ile wzniosłość czyli górność myśli zachwyca nas i podnosi na duszy, o tyle górność wyrazów razi wykształcone ucho zarówno w mowie i piśmie. Zazwyczaj grzeszą nią tacy, którzy sądząc, iż największym dowodem mądrości jest: nie być zrozumianym, dobierają wyrazów nienaturalnych, niezwyczajnych, nie odpowiednich ani rzeczom, ani myślom, ani uczuciom, jakie niemi malują i czynią tym sposobem mowę swoją ciemną, napuszoną i śmieszną.

Przykład takiéj górności z zamiarem wyszydzenia tejże, dał nam w swych „*Ramotkach*“ August Wilkoński, w następującym wyjątku.

„W nieprzejrzanéj strzeni czasów stnienie jednego człowieka jest jakby niedziałką równającą się stnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego missyja, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmysłów, które jego zamknia mózgowa samorodnem wyłonieniem po świecie rozprysła.“

W tymże samym celu Kl. Hoffmanowa podaje wiersz na dzień imienin opiekunki przez wychowańca jéj ułożony, w którym tenże tak do niéj przemawia:

„Ty! co myśli ulotnéj przypominasz słońce!
Ty! którą wielbią świata najdalekszo końce!
Ze związków słodkich z tobą w Parnasie się chlubię.
Tobie igraszki muzy poświęcać ja lubię.
Dla ciebie to Apollo nastroił swą lutnię,
I moja niezawodnie godny wiersz ci utnie.
Żyj dni gwiazdorówne! miej zdrój pomyślności!
Pływaj w złocie, w zdrowiu, w dziwnej szczęśliwości.
O méj ku cię wdzięczności śpiewałbym najmiléj,
Gdybym na Helikonie wzbił się jak Wirgili.
Lecz jeszczem go nie doszedł. . . ! Ale bądź cierpliwa!

Pójdzie lotem piorunu muza nieleniwa:
Wówczas wdzięczność niezbędną i jéj zapał cały,
Wieki potomne, wnuki, będą czytywały.“

Daléj—jako przeciwieństwo owéj zwięzłości, która wysłowienie nasze czyni jasném, jędrném i silném, jest rozwłekłość często spotykana w pismach takich jak powieści i różene opisy, a wynikająca z niepomiarkowanéj chęci okazania jakiegoś przedmiotu ze wszystkich jego stron i opracowania drobiazgowego nawet i dodatkowych części. Jak w pięknym obrazie, malarz główne postacie czy rzeczy w najdrobniejszych szczegółach artystycznie wykończa, a z podrzędnych, starannie ułożonych, tworzy tylko ogólne tło, na którém pierwsze wydatniéj odbijają, tak i w piśmie to samo: główna myśl, czyli główny przedmiot powinien nad przydatniemi górować wykończeniem i opracowaniem, a nie ginąć w chaosie mających go upiększyć przydatków.

Jeżeli więc pisarz długo rozwodzić się będzie nad rzeczą wziętą ze świata zewnętrznego, to pismo jego stanie się nudném i nużącém, a jeśli nad uczuciem, to ckliwém i monotonném się wyda, całość zaś straci na tém niezmiernie, bo zatrze się piękno najgłówniejszych pojęć i wyobrażeń—i zniknie cała ich siła.

Obok wad wymienionych, wydatne są jeszcze w niektórych pismach i takie, jak: kwiecistość stylu, wypływająca z mylnego o prawdziwém pięknie pojęcia. Kwiecistością stylu, nazywa się układ myśli w takie zwroty i formy, że myśli te, przedstawiając się w sztucznéj, wymuszonéj i widocznie opracowanéj postaci, wymagają wyjątkowego usposobienia ze strony czytelnika, męczą jego uwagę podsuwaniém mu samych niezwykłych wyrażeń i przenośni, i robią styl ciężkim i nienaturalnym z powodu nagromadzenia ozdób, jakie mu odbierają całą jego prostotę. Ozdoba ma być tylko upiększeniem całości przedmiotu przez uwydatnienie pewnych jego części, ale nie powinna stanowić najwyższéj pisma wartości; i jak dobry gust—nie dozwala pięknéj i bogatéj materyi szat naszych zasłaniać niepotrzebnemi już na niéj przyborami, tak też wykształcony smak domaga się piękna i bogactwa w saméj treści czyli materyi pisma, a ozdoby przyjmuje jedynie jako środek podniesienia i upiększenia czy to jéj barwy czy formy.

Nakoniec—brak poczucia piękna wyradza jednę jeszcze wadę, jaką jest używanie w pismie wyrazów i wyrażeń, które rażą gminnością i w mowie dobrze wychowanych ludzi nieużywane są wcale.

Od względu na przyzwoitość i na wymagania piękna nic nie uwalnia pisarza; słowo pisane musi być oględniéj jeszcze niżeli ustne dobierane, bo zostaje na zawsze świadectwem wykształcenia i usposobienia człowieka, a co ważniejsza jeszcze, że jeśli jest harmonii—czy piękna moralnego skażeniem, to źle oddziaływa na niewyrobione jeszcze umysły. Każda książka dążyć winna do tego, aby podnosić, umoralnić i kształcić zarówno rozum jak duszę; jeśli więc przeznaczona dla ludu, to jest jéj obowiązkiem podsuwać mu nietylko piękne i szlachetne myśli, ale i wyrazy, jakiemiby swoje grube, nieokrzesane zastąpił; a jeśli z ludowych postaci ma tworzyć dla wykształconych osób obrazki, to powinna malować je z całą prostotą ich myśli i uczucia, a nie z prostactwem wyrażeń, obrażających przyzwoitość. Za

piękny przykład w tym względzie zawsze służyć będzie Kazimierz Brodziński, który w swym, „*Wiesławie*“ tak umiał połączyć naturalną prostotę wieśniaczą z szlachetną oględnością na piękno, że każdy wyraz z jego sielanki wyjęty — zarówno mógł się znaleźć w ustach nieumiejętnego ludu, — jak i estetycznie wykształconych, więc wrażliwych na poczucie piękna wyższego świata ludzi.

O ozdobach stylu.

Ozdobami stylu nazywamy to wszystko,—co stylowi mającemu już powyższe, niezbędne mu przymioty, dodać może wdzięku, uczucia i piękna działającego silniéj na umysł i serce człowieka.

Umiejętne użycie tych ozdób ważną bardzo jest rzeczą, bo jak podstawą każdego pisma powinna być prawda, a głównym celem jego dobro, tak najpewniejszym środkiem do wykazania prawdy i dojścia do celu jest: piękno. Z wszystkich władz duszy naszéj jeden tylko rozum na gruntowności myśli i jasności w jéj wyrażeniu przestaje; wyobraźnia zaś, uczucie i rożnorodne namiętności człowieka nie mogą się zadowolić prostém i zimném wypowiedzeniem siebie i szukając odpowiednich sobie żywiołów, znajdują je w pięknie, które podnosi, uwydatnia i pociągającym urokiem obleka wszystko, co z serca przez usta nasze wypływa. Ozdobami składającemi się na to piękno są: wzniosłość, śmiałość i siła wyrażeń, rozmaitość, lekkość, powaga, dobitność i żywość; a wielkiemi także stylu zaletami są: indywidualność i charakterystyczność.

Wzniosłość.

Myśl wzniosła zawsze odrywa się od ziemi i wypowiada najszczytniejsze uczucia i najwyższe praw-

dy. Myśli takich najwięcéj jest w piśmie świętém, a zwłaszcza w księgach prorockich jako zawierających wszystko, co jest prawdziwą wielkością, w kazaniach i mowach ogarniających tajemnice Boże, a w ogóle płyną one z uczuć, jakie piszącego wyżéj nad innych stawiają. Nie wymagają one bynajmniéj wyrazów szumnych i wyszukanych, ale przeciwnie: prostém, krótkiém nieraz słowem, odsłaniają myśl, ująć się nie dającą formą zwyczajnych wyrażeń. I tak w owém: „*Stań się światło i stało się światło*“ *Jam jest, którym jest*“ „*Wykonało się*“ i w Dawidowém: „*Ja z nim w przygodzie*“ mieści się cały ogrom potęgi Tego,—co „*Sam wszystko stworzył, krom Samego siebie*“

Księgi Hioba pełne są takich wyrażeń, a o ostatnich dwóch mowach Iehowy słusznie powiedziano 1) że są: *stekiem samych szczytności*, bo nigdzie ziemska poezyja nie poszła dalej i wyżéj. Oto z nich wyjątek.

„Gdzieś był, gdym ziemski zakładał fundament?
Powiedz, jeżeliś dorósł do mądrości!
Czy wiesz, kto ziemi zakreślił objętość?
Kto sznur mierniczy rozciągnął i trzymał?
Na czém oparły się jéj podwaliny,
Albo kto kamień węgielny założył?
Jak przytém ranne cieszyły się gwiazdy
I weselily syny Elohima?
Kto morze zamknął podwójnemi wroty
Kiedy lunęło z matczynego łona?
Kiedym obłoki dawał mu za szatę,
A mrokiem, jako pieluchami spowił?
Gdym stromo złamał jego brzeżne skały
Zaworę przydał i podwójne bramy,
Rzekąc: „aż dotąd pójdziesz, a nie dalej
I tu rozbijesz wściekłość swojéj fali“

(1 Lucyan Siemieński.

Czyś rozkazywał jakeś żyw świtaniu?
Czyś zorzy miejsce właściwe naznaczył,
Zkądby schwyciwszy za krawędzie ziemi
Strząsała z onéj bezbożne zbrodniarze,
A ziemia, ni—to glina pod pieczęcią
Wzorzystéj szaty znaki przyobleka.
Wtenczas zbrodniarzom światło ich odjęte
Strzaskane ramię na cios wyciągnięte.
Azaś ty dotarł, aż do morskich źródeł?
Chodziłżeś po dnie falistych przepaści?
Czyż ci otworem stały bramy śmierci?
Widziałżeś kiedy drzwi do krajów cieni
Przejrzałżeś ziemi szerzyny do końca?
Gadajże o tém, jeżlić wszystko znane!
Którędy droga do mieszkań światłości?
Na którém miejscu przebywają mroki?
Abyś je przywieść mógł do swoich końców,
Zbadawszy ścieżki wiodące w ich gniazdo!

a w drugiéj:

„Zaprzeczysz-że mi, żem jest sprawiedliwy?
Potępisz, abyś został przy słuszności?
Czyż twoje ramię, jako ramię Boga?
Czy zagrzmisz głosem takim, jak On—grzmiącym?
Przyobleczże się blaskiem i pańskością,
Wystąp w piękności wszystkiéj i ozdobie,
Wylej na ziemię potok swego gniewu.
Jednêm spojrzeniem ukórz wszystkie harde.
. . . .
Wtenczas i ja ci w pochwały uderzę,
Kiedyć prawica pomaga tak szczerze.“

Śmiałość i siła wyrażeń.

Myślą śmiałą nazywa się myśl, gdy się odznacza niezwyczajnością zwrotów i porównań i uderza silnie na wyobraźnią niepowszednią barwą fantazyi, lub zuchwalstwem wypowiedzenia siebie w taki sposób,

przed jakim umysł pospolity się cofa. Taką śmiałością nacechowane jest pytanie jakie arcykapłan pogański zadaje córce chrześcijance, gdy obwiniając jéj Boga, że mu ją wydziéra mówi:

„Córko! co zbrodnią byłoby we wrogu,
Czém to zwać będziesz w nowym swoim Bogu?“

Felicyta Odyńca.

również—i to uniesienie Ś-téj Teressy z jakiém mówi do Boga:

„Im więcéj męki, tém miłości więcéj
W tém piekle Bożém, Bożego kochania
Gdzie Twa obecność nawet mnie rozrania“

Glossa ś-téj Teresy Z. Kr.

W powyżéj przytoczonych wyjątkach z pism Hioba co chwiła takie niezwykle myśli uderzają, jako to np:

„Czyś zorzy miejsce właściwe naznaczył
Zkądby schwyciwszy za krawędzie ziemi
Strząsała z onéj bezbożne zbrodniarze?“

W pismach Słowackiego, Goszczyńskiego, w Farysie Mickiewicza pełno jest takich myśli i śmiałych obrazów jak w tym ustępie naprzykład:

„Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaloka, wstrzymał się i zdumiał
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał.
„Co tam za jeden z wichrów moich młodszych braci
Tak poziomego lotu, nikczemnéj postaci
Śmie deptać lądy, którem w dzieciństwie osiągnął?
Ryknął,—i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął,

Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabiją zmącił
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony i t. d.

Farys Mickiewicza.

Siła wyrażeń cechuje zwykle pisma z głębokiego uczucia płynące i niknie tam wtedy wszelki ślad sztuki w obec uniesienia, z jaką się owo uczucie z całą gwałtownością wylewa, do głębi duszy przenikając drugich swą mocą jak np: w owym przecudnym ustępie z Glossy świętéj Teressy:

„Umrzéć—lub cierpiéć! a cierpiéć bez miary.
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojém niebie
Lub gdy nie można—żyć w piekle dla Ciebie
. . . .
Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana.
Ty—Bóg,—Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie całéj wyrastał Bóg cały.
Tyś się zamykał w mém sercu jak w grobie,
—Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie.
Przez nieskończonéj Łaski zezwolenie,
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie
Stworzenie w Stwórcę—przez jedno westchnienie.“

Zyg. Krasiński.

Dobitność.

Dobitność wyrażeń wypływa z głębokiego przekonania o tém, o czém drugich chcemy przekonać, a polega na doborze wyrazów jasno i dokładnie malujących rzecz, a także na wyrażeniach zwięzłych, zajmujących się główną tylko myślą, na powtarzaniu—i na porów-

naniach plastycznie ją przedstawiających. I tak np. Woronicz malujący cnotę określa ją w ten sposób.

„Cnota—nie jestto owoc w przemądrzałości ludzkiéj wylęgły, który się stósownie do każdego smaku i widzenia przeistacza. Nie jest-to szata teatralna, w którą się łatwo przyoblec dla zwodniczego udania téj lub owéj osoby. Nie jest-to towar, który na rynku wśród zgiełku małym kosztem zakupić można. Jest-to dostojna niebios posłannica, która z górnych siedlisk na to zstąpiła, aby skażonego człowieka do jego pierworodnéj zacności podniosła i podobnym go Twórcy swemu uczyniła.

Woronicz.

Kraszewski—powstając przeciwko kłamstwu, tak się wyraża.

„Nigdy fałszu! nigdy fałszu, ani usty, ani uczynkiem, ani milczeniem, zapomnieniem, ruchem, skinieniem, nigdy— i za nic fałszu dziecię moje; dla niczego, dla nikogo! za żadne skarby świata!

Strzeż się go nawet w życia drobnostkach; a pamiętaj, że nie same usta tylko kłamią, ale życie całe, wejrzenie, ubiór, rumieniec; niech w tobie wszystko będzie prawdą, choćby miało być upokorzeniem.“

Lekkość.

Lekkość stylu niezmiernie miłym jest przymiotem pism takich, jak powieści, listy, podróże i wszelkie opowiadania w ogóle. Wynika ona z żywéj wyobraźni i wrodzonéj zdolności malowania rzeczy i wrażeń w żartobliwy sposób z całą swobodą i naturalnością, czyniącą pismo zajmującém przez porównania dowcipne, które samą lekkością z jaką się przesuwają po opisywanych przedmiotach podnoszą ich znaczenie i wybitniéj jeszcze w umysle naszym je malują np:

„Żeby poznać Warszawę, w ogólnych jéj zarysach, z faktów codziennego jéj życia, na co się składają wszystkie jéj klassy, jest na to pewny środek. Ani opisy Warszawy Sobieszczańskiego, ani historyczne o niéj prace Bartoszewicza, ani szkice Boguckiego, nie dadzą o tém wyobrażenia. Rodzi się w Warszawie codziennie i zabiega do wszystkich jéj kątów, mały arkusik ochrzczony nazwą: *Kuryjerka.* W to lusterko przegląda się codziennie Warszawa, od pani do gryzetki, od dandysa do ulicznika, od hotelu do knajpy. Nikt się nie urodzi, nie ożeni, nie umrze, nie kichnie w Warszawie bez *Kuryjerka.* Jeżeliby jaki nieprzewidziany wypadek zawiesił wyjście jego na dzień jeden, Warszawa strwożyłaby się bardziéj tym wypadkiem jak zaćmieniem słońca. Jak się zlepia *Kuryjerek?* czemu taki żywotny i interesujący, kto mu nadaje ten nieułowiony analizą charakter, o tém zaręczam wam, ani on sam, ani Warszawa nie wiedzą zgoła. Wyrasta on sobie codziennie z brukowego życia jakoś tak dziwnie, tak pobożnie, wesoło, szlachecko poprostu i naiwnie razem, iż rzekłbyś, że na zszycie jego sukienki złożyła się cała Warszawa, i jak tylko pokaże się na oczy, rozbierze go zaraz. Z miną poczciwą, wesołą, z sercem najżyczliwszém dla wszystkich, z powagą, łzą, i dobrym apetytem bieży on i jak Pinetti z jednéj maluczkiéj beczułeczki leje ci potroszku czego zażądasz. Przybiera na żądanie rozmaite położenia, pokazuje się w szlacheckiéj kapocie, to znów w żałobnym stroju ciągnie za pogrzebowym konduktem; zaledwieś go tam zoczył, gdy widzisz już w balowych rękawiczkach; mruga jedném i płacze drugiém okiem; wierzy we wszystkie talenta, proteguje je ciągle i daje w przecięciu na tydzień krajowi dwa geniusze; otwiera drzwi gościnne na szlacheckie pogadanki, drugiemi wpuszcza reklamy i usprawiedliwienia; flaneruje magazyny, zwiedza poddasza, kosztuje zupę żółwiową i z równym smakiem zajada flaki; szuka zgubionych piesków i bransoletek i ma jeszcze czas i miejsce owinąć w te Warszawskie rupiecie: parlament angielski, izbę pruską, konkordat austryjacki, zebrać śmietankę z Paryża, ścisnąć całą Amerykę w dwóch wierszach, przestrzedz mieszkańców o utrzymywaniu w czystości rynsztoków, nakoniec palnąć *szaradę,* którą zgadnij jeżliś mądry!

Listy z podróży. Padalicy.

Powaga.

P o w a g a stylu—wprost l e k k o ś c i przeciwna, nie jest jednak bynajmniéj ciężkością wypływającą z wyszukanych, nienaturalnych wyrażeń i zbytku użytych ozdób, ale jest tylko pięknem zastósowaniem tonu mowy naszéj do rzeczy opisywanéj, gdy ona działając na duszę, wyższém ją uczuciem przejmuje. Wtedy nie używa się ozdób, ani przenośni, myśl nie ślizga się jakby od niechcenia po wierzchu tylko przedmiotu, ale do gruntu tegoż sięgnąwszy, w głębokiém poczuciu całéj jego ważności, prostém, zwięzłém, a dobitném słowem maluje go z należną mu powagą. np:

„Wczoraj—był to wielki Czwartek: Siedziałem w kościele S-go Piotra do godziny 9-téj wieczór; słuchałem *Miserere*. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna po tém ogromném sklepieniu, między massy cieniów, massy złota, marmurów, i drogich kamieni zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra, pali się gromnic kilka; a reszta kościoła, to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów,—chaos jakiś z marmurów i cieniów. Świat—jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy;—Bóg co skonał na krzyżu, i dziś On, o téj czarnej godzinie kona w każdym zakącie tego olbrzymiego gmachu. Szumy burzy zda mi się, że słyszę, bo wiesz, On dech wyzionął wśród burzy. Ogrom wieczności, zda mi się widomy; zaczyna się za tym ołtarzem. Patrz! ołtarz wysoko—wysoko—jak olbrzym niknący w górze; u stóp jego gromnic kilka,—a za ołtarzem ciemność, wieczność,—i reszta kościoła i te pieśni wszystkie płaczące nad Bogiem umarłym, nad mękami Boga! Gdzie nadzieja wasza ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i niéma go? Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi.“

Zyg. Krasiński.

Rozmaitość.

Ze względu na wrodzone usposobienie człowieka, r o z m a i t o ś ć jest jedną z najgłówniejszych ozdób każdego rodzaju stylu. Umysł nasz prędko się znuży i znudzi jednym i tymże samym widokiem i przedmiotem; najmilsze wrażenia obojętnieją i słabną, najpiękniejsze melodyje sprzykrzą się i zbrzydną—jeżeli bezprzestannie nasuwać się mu będą,—więc umysł pragnie zmiany w tém wszystkiém,—i rozmaitość, czy przedmiotów, czy wrażeń, wpływa na uczynienie mu ich milszemi i piękniejszemi. Rozmaitość w mowie i piśmie będzie zależała nietylko od treści ale i od sposobu jéj wypowiedzenia i rzecz jedna i ta sama wcale inaczéj wydawać się będzie stósownie do tego, jaki zwrot myślom swoim piszący będzie nadawać: znudzi i zmęczy, jeżeli jednotonnie powtarzanemi słowy w jednakiéj formie przedstawiać ją będzie, a zajmie i rozerwie, jeżeli pismo prowadzone na wzór ustnéj mowy, stanie się żywém wrażeń i uczuć jego odbiciem. W tym celu należy coraz nowy tok pismu swemu nadawać, rzucając krótkie, urywane zdania po okresach dłuższych; twierdzeniu—dając formę pytania; proste opowiadanie faktu przerywając wykrzynieniem własnego spostrzeżenia nad nim, lub przytaczaniem cudzych wyrazów lub rozmów. Wtedy w opowiadanie wlejemy ciepło życie i ruch, i zmieniając farby, urozmaicimy i obraz, i niezmiernie zajmującym uczynić go potrafimy nawet wtedy, gdy rzecz sama bądź to naukowa, bądź obojętna dla nas, suchą ze swéj natury byłaby. np:

„Wszelki objaw myśli jest mową, dla wzroku migową lub pisaną, dla słuchu głosową. Mowa więc nie może być czém innėm jak wyrazem myśli człowieka. Uczucie nasze ma

objaw dwojaki: bezpośrednio—za pomocą dźwięków, pośrednio—za pomocą mowy. Jęk boleści,—śmiech wesela, wykrzyk przerażenia, zgrzyt groźby, mogą być wyrażone prostemi wykrzyknikami, które do mowy wcale nie należą.

Są to tylko dźwięki wspólne nam ze zwierzętami. Lecz jak skoro uczucia te przejdą w uznanie człowieka; jak skoro myśl je pojmie, wtedy objawiają się już w mowie artykułowanéj (zgłoskowéj albo wyrazowéj), przez omówienie; zamiast wykrzykników, człowiek powie, głowa mię boli! wesoło mi! co za potwór! ja cię nauczę! Nie jestże więc rzeczą jasną, że mowa jest odbiciem, objawem myśli na zewnątrz, jest wywnętrzeniem się człowieka? Zachodzi teraz pytanie, kiedy po-raz pierwszy objawiła się w człowieku potrzeba, powiemy więcéj, konieczność takiego wywnętrzenia się? Człowiek samotny na świecie widząc jaki potwór, słysząc trzask gromu, uderzony walącém się drzewem, krzyknie z przerażenia, przestrachu lub bólu, ale nie powie: przeraża mię grom lub potwór; sprawia mi ból upadek drzewa. Chory samemu sobie zostawiony, będzie stękał, jęczał, ale boleści swych w mowie nie odda, bo to nie miałoby ani celu, ani skutku. Czując głód lub pragnienie, człowiek rzuci się do strawy lub napoju, lecz nie powie: chce mi się jeść lub pić. Konieczność wywnętrzenia się, objawienia swych myśli na zewnątrz zrodzi się wtedy tylko, kiedy taki objaw będzie miał cel, a celu tego nie będzie dopóki się nie znajdzie istota, dla któréjby takie ujawnienie swych myśli było zrozumiałem i potrzebném.

Taką istotą rozumną była pierwsza niewiasta. Początek więc mowy odnosimy nie do czasu stworzenia pierwszego człowieka, lecz do epoki stworzenia pierwszéj niewiasty.

. . . .

Wpływ kobiety na utworzenie się i rozwinięcie języka był bardzo znacznym; pozostał widocznym aż do dnia dzisiejszego. Któż miał dzieci nowonarodzone nauczyć mowy, jeżeli nie matka? kto je nauczył stawiać pierwsze kroki, kto z miłością słuchał jego szczebiotania, kto mu powiedział, że jest Bóg, który i świat stworzył i nad wszystkiém opiekę rozciąga? Kobieta—matka. Jeżeli więc kobieta była tak potężnym czynnikiem w rozwijaniu pojęć dziecięcia, musiała wpłynąć i na rozwój mowy, to jest zewnętrznych znaków tego pojęcia.

Wpływ ten wyraźnie ślady swe pozostawił w samém rozróżnianiu rodzajów męzkiego i żeńskiego. Języki najstarożytniejsze odróżniają zakończenia męzkie od żeńskich, co nie mogłoby miéć miejsca, gdyby w niém brał udział sam tylko mężczyzna. Możnaż wpływu kobiéty zaprzeczać, kiedy niemowlę właśnie od matki słyszy pierwsze wyrazy z łagodnością wymówione, które najłatwiéj się zatrzymują w czystéj jeszcze pamięci dziecięcia, najgłębiéj wrażają się w jego serce i zostają w niém niezatarte na wieki. Dlatego właśnie taki ma dla każdego urok język macierzyński, język pierwszéj miłości i pieszczoty, a zatrzymanie tego uroku i nadal i na wieki do kobiét należy.“

Z prelekcyi Jana Papłońskiego

Żywość.

Czém dusza dla ciała, tém jest żywość wysłowienia dla naszéj mowy i pisma; że zaś człowiek ma odrazę do wszystkiego co obumarłą ma postać, a lgnie do tego, co tylko życie objawia, z tego więc usposobienia jego, ta jeszcze jedna ozdoba stylu wynikła. Zródło jéj—jest w silném uczuciu i wyobraźni bogatéj; bo kto żywo czuje, ten nie potrafi obojętnie mówić o tém co go obchodzi; a kto wrażliwym umysłem chwyta wszystko co go otacza, i zatrzymuje co mu się pięknego lub niezwykłego nasuwa, ten nie chce i nie może tych skarbów swéj myśli ukrywać, i wydobędzie je wszystkie, aby dać drugim wierny obraz tego, co żywemi barwami w jego się myśli rysuje. Jeżeli więc chodzi o jego uczucia, to rzeczy dawno już ubiegłe potrafi wskrzesić swém słowem i nadać im ciepło serdeczne i ruch; gdy rzecz idzie i o wyobraźnią jeszcze, to ucieka się nawet do sztuki i uzmysławia pojęcia umysłowe, daje im ciało i kształty, każe im mówić i działać, jednèm słowem daje im życie,—i za pomocą różnych po-

staci mównych retorycznemi nazwanych, potrafi zająć i umysł i serce i do głębi duszy przemówić. Ze względu na uczucie przywołujące do życia przeszłość dawno ubiegłą—pisma Jg. Chodźki dużo mogą przykładów takiéj żywości dostarzyć, ze względu zaś na wyobraźnią—J. Kremer na tém polu jest niewyczerpany. I tak, pierwszy ujrzawszy się w miejscu, gdzie lata dziecinne przepędzał w ten sposób o nich wspomina:

„Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzewnioném sercem wyszedłem na rynek boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem.... Zgasły dnia blaski, niebo się gwiazdami osypało, noc piękna i cicha nowego dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój, złote chwile dzieciństwa odnawiały mi w pamięci. Tędy przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu okop; ileż kłębów śniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należycie! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa stał potężny olbrzym; głowa sfinxa; z dwóch czarnych węgli żrenica; tułów Bachusa, a nogi rodyjskiego kolosu; w ręku trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada temu, kto się jéj dotknie! Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiéj dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica Mińska atakuje ulicę Wileńską; z jednéj strony dowodzi pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany jenerał; z drugiéj pan Justyn, podżyły infimista, trzecioletni weteran klassy I-széj, niemocny wprawdzie na dowodach, że „różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową, ależ za to biegły gracz w matony i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu i lubo zmrok wieczorny zacienia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta. Postrzega pan Stefan, że sprawa po djable, że pan Leon grasuje po jego rotach jak kawalerzysta po rozbitéj piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się tarza, daje więc hasło odwrotu: „Za okopy mości panowie! za okopy!“ krzyknął. Któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi? Ale w tym

momencie błyska od klasztoru światełko; znajoma to latarka!!! „Ksiądz prefekt! ksiądz prefekt!“ Przestroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światełko się posuwa! wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka... i wszystko pierzchnęło! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzyją i ze zbitą latarką znajduje pustym plac pobojowiska. Następuje rewizyja po kwaterach; próżne usiłowania znalezienia winowajców! Siedzą wszyscy malcy spokojnie koło stołów a zatknąwszy uszy i zamrużywszy oczy wrzeszczą na zabój: „Byli tacy, byli tacy, Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili i t. d.“

Co do drugiego względu: na *wyobraźnią*, to Józef Kremer patrząc na mury domów oświeconych księżycem, ożywia je prześlicznie, dając z nich taki obrazek:

—„Teraz naprędce o drugiéj przyczynie mojéj przyjaźni dla księżyca powiem. Prawda, że ta przyczyna trąci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę tchnie sentymentem parafijańskim, ale może i ta moja parafija nielada! Ot! ja jeszcze lubię a miłuję księżyc za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski. Trzeba ci było być ze mną przed chwilą i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz jak mu téż ślicznie w poświacie księżycowéj! Budki i kletki, przylepki, daszki, straganу, opadłe tynki, to wszystko się gdzieś skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony jak do ślubu.

Za dnia te domy,—to tak sobie! dawne kamienice—usiadły w kółko niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wieżastym, spiczastym, niby w czepku czubatym; inne powykrawały sobie wierzchy we falbany, w cętki dziergane; inne jakby marząc o królowéj Bonie udają włoszki i chowają dachy po-za jakieś frontony. A już-to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym negliżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych świateł zaleje miasto, wtedy proszę spojrzeć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! niechnoby one poczęły bajać, gadać, a opowiadać, jużby stało czém zapisać grube księgi wie-

ściami temi, a byłoby téż po co czytać te stare baje.! Boć one kamienice wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat, więc im się téż dziwnie coś roi i marzy i śni.“

Listy z Krakowa.

Indywidualnosć.

Niéma nic piękniejszego w człowieku i całém życiu jego jak prawda, i im kto jest głębszego uczucia i podnioślejszéj duszy, tém więcéj ta prawda widnieje we wszystkich czynach jego i cechuje wszystko co go otacza, i odbija się wszędzie gdzie tylko dłoń swoją przyłoży, bo taki nic przeciwko swemu uczuciu i usposobieniu nie zrobi i między nim, a tém wszystkiém musi być zgoda czyli jedność. Taki człowiek jeżeli wypowiada siebie swojém otoczeniem, tém więcéj w słowie wypowiedzieć się musi, a bardzo wysoko cenioną zaletą jest taka indywidualność stylu, bo lubimy wyszukiwać związku pomiędzy człowiekiem a pisarzem i każde słowo jego podwójnie działa na nas, gdy po-za niemi stają czyny i życie, które je poprzéć gotowe, czyli kiedy czujemy, w nich prawdę. Z pomiędzy pism co były echem duszy piszącego, wyróżniają się wybitnie pisma Ig. Kraszewskiego, Gab. Żmichowskiéj a nad wszystkich: Zyg. Krasińskiego, którego słowo każde było cząstką jego samego; każde dało świadectwo o jego uczuciach, i każde o nim mówiło to samo, co on sam o sobie w następującym liście powiada:

„Zdrowie moje dźwiga się nieco, ale próżnia ducha, o któréj ci tyle razy wspomniałem, odzywa się często. Są chwile, których nie życzę nikomu, a które mi duszę rozstrajają. W tych chwilach łamię we dwoje serce moje jak kartę nieszczęśliwą, która przegrała dziesięć razy, raz po raz w faraona. W tych chwilach wszystko mi się tak bez nadziei wydaje, życie ziemskie tak ograniczone, że wątpię o wszystkiém.

Takie istoty jak ja,—powinne były urodzić się w nieprzeklętym Edenie przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętém i wolném, lub prosto w piekle—jeżeli im już los kazał się narodzić wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń.“

A w innym mówi:

„Czas, to najokrutniejszy z archaniołów; Ten, co u bramy raju z mieczem gołym,—przynajmniéj stoi na miejscu: ale czas z podobném żelazem w obu dłoniach, goni nas i ostrza tych mieczów w plecy nam wtyka; przez plecy wskroś, aż na tamtą stronę piersi się przebijają i tak po téj kuli, wiecznie skaleczeni, wiecznie krwawi, z sercem stąpamy przeszytém. O! życie gorżkiém jest: bo trzeba zapominać o przeszłości, bo trzeba oddzierać ją od ciała jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą! Mój drogi! Kiedyś, kiedyś, gdy będziesz wspominał o mnie, pomyśl żem ogromnie wiele nieznanych mi cierpień wytrzymał i że czasem w ciągu życia, chciało mi się śmierci. Coby ci wiedza faktów pomogła? Wieczne faktum moje, oto ból, i ból, i ból jeszcze!“

Indywidualność taką cenimy nietylko ze względu na wyrażone uczucie, ale nawet na formę w jaką myśli swoje piszący układa, i téj jaka jest jemu właściwą nie powinien nigdy wbrew usposobieniu swemu na inną, obmyślaną tylko na wzór upodobany sobie, przemieniać. Każdy wzór piękny powinien wprawdzie służyć na przykład i pożyteczną naukę, ale trzymanie się go ślepo, z zaparciem się czy-to własnego pojęcia o rzeczy, czy osobistego uczucia i kierunku swych myśli jest zawsze z krzywdą i pisma i piszącego zarówno; pismo bowiem noszące obcą sobie, więc niewłaściwą mu cechę, traci barwę prawdy i naturalności tak wielki urok mającéj, robi się wymanierowane

czyli wymuszone i przeistacza się w karykaturę naśladowanego piękna; bo myśl,—w cudzą—choćby udatną nawet, ale nieprzystającą do niéj formę przyodziana, tak samo jak człowiek w pożyczoną ustrojony suknią, pozbawiona będzie swobody, prawdy, i pewności siebie a tém samém do niczyjego przekonania ani uczucia nie trafi; piszący zaś, wyrzekając się swéj indywidualności — wybijającéj się w stylu, który za jedno z człowiekiem samym uważa słynny Buffon,[1]) schodzi na podrzędne stanowisko podrabiającego się pod cudzą uznaną już zasługę, i przez to połowę—swéj rzeczywistéj utraca.

Charakterystyczność.

Oprócz wszystkich przymiotów i zalet stylu różnego rodzaju pism, powieściopisarstwo, wymaga jeszcze jednego to jest: umiejętnego malowania charakterów i usposobień ludzi wyprowadzanych na scenę. Nie pospolity to przymiot, bo tu już ani talent, ani wykształcenie, nie wystarczy na to, aby się nim odznaczyć; potrzeba do tego głębokiéj znajomości życia i ludzi; trzeba podsłuchać każdego uderzenia ich serca,—podchwycić myśl ich każdą, dopatrzyć cnót i ułomności,—śledzić wszystkie ich postępki i zestawiwszy czyny z ich słowami wydać o nich sąd, którzyby się potém w ciągu ich historyi na każdym kroku usprawiedliwiał zupełnie. Takich znakomitych malarzy serc ludzkich mamy w Korzeniowskim, Zyg. Kaczkowskim, Miłkowskim (Jeż), Kraszewskim, któryto tak nam niewiastę ubiegłych lat maluje:

1) Styl-to człowiek. Buffon.

„Pobożność, męztwo, dobroć niewyczerpana, powaga cnoty, czystość dziecinna, oto—co odznaczało niewiastę naszą do XVIII-go wieku. Nikt o niéj po-za domem nie wiedział, lecz wszyscy czcili i błogosławili, ktokolwiek zbliżył się do niéj. Nie była to zalotności pełna Francuzka, któréj życie trwało tyle co piękność; ani marząca Niemka więcéj w dumaniach niż na ziemi wzrosła; ani sztywna Angielka dla któréj przyzwoitość droższą jest od saméj cnoty. Żywa, choć poważna, łagodna i surowa razem; wielka, bo zawsze pani siebie saméj: w sercu miała skarby poświęcenia i dobroci, choć usty była milcząca, choć skąpa w słowa. Życie jéj więcéj było czynem niż słowem i myślą. Usta się modliły, ręce pracowały, serce kochało w Bogu i Boga. Nigdy myśl nawet nieczysta nie sprowadziła majestatycznéj matrony w kałużę ziemi; nic ją skalać, nic świętego jéj spokoju zachwiać nie potrafiło. Życie całe było dla niéj dobrowolném, miłém spełnianiem obowiązku, czystą ofiarą, nieustanném poświęceniem wśród zapału religijnego, który ją oświecał i ogrzewał na każdym kroku. Wiara zbroiła ją na wszystkie wypadki życia; w szczęściu dziękowała Bogu lękliwie nie dowierzając pomyślności, bo była ziemską a zatém znikomą; w przeciwności rosła, mężniała, olbrzymiała, nabierała sił niespodzianych, wznosiła się do heroizmu. Wówczas walka nie nużąc iéj, zdawała się podsycać w niéj życie. Swoich kochała bez granic i dla nich mogła grzeszyć zbytkiem przywiązania, które nie zawsze objawiało się dla ich przyszłości zbawienném; pobłażała im, pieściła, usilując ozłocić ich życie, ubezpieczyć przyszłość; dla obcych, w których widziała posłańców Boga, dla obcych nieszczęśliwych i ubogich dobroczynną była nietylko datkiem, nietylko chlebem, ale współczuciem, duszą, braterską pieczą i litością serdeczną. To co my zowiemy światem, a co jest wrzawą i zgiełkiem potrzebnym dla tych, co spokój stracili lub cenić go nie umieją... nie uśmiechało się jéj wcale, nie nęciło, straszyło raczéj dla siebie i drugich niżeli pociągało. Przyjemności większéj sceny nie były jéj nieznane, ale nigdy serca nie zachwyciły, tak jak sąd świata nigdy jéj z drogi nie sprowadził.“

O postaciach retorycznych.

Mówiliśmy już, że użycie postaci retorycznych wypływa z uczuć i wyobraźni człowieka, że zaś i pierwsze i druga są przyrodzonym darem Bożym, przeto postacie owe bynajmniéj skutkiem samego wykształcenia nie są, tém pewniéj, że wykształcić można to tylko co jest, a czego tak wiele u ludu prostego, a nawet i u dzikich, widzimy, to jest: uczucia i wyobraźni, o jakich właśnie jest mowa.

Wyobraźnia—jestto siła tworzenia własną myślą tego, co w rzeczywistości nie istnieje wcale,—i wystawiania sobie rzeczy, których oko nasze nie widziało zupełnie; jestto władza jasnowidzenia duszy i przenoszenia się nią w nieznane jakieś światy, a zarazem zdolność wysnucia z drobnéj rzeczy wątku do wielkich obrazów i do przejmowania się głęboko uczuciem, które serca naszego nie dotknęło bynajmniéj. Bez takiéj zdolności żaden artysta, żaden pisarz i poeta obejść się nie może; na niéj-to opiera się cała poezyja,co w wykształconéj i wytwornéj formie płynęła z pod pióra wieszczów i pisarzy naszych, a z serca prostego ludu daleko wcześniéj żywém się słowem wylała. Bajki o zaklętych królewnach, o szklanéj górze, o sukienkach ze słońca, miesiąca i z samych gwiazd utkanych a w otwierającym się dębie zamkniętych,

o kwitnącéj czarodziejskiéj paproci,—są najwymowniejszym dowodem takiéj wyobraźni wrodzonéj. Co zaś do uczucia—to i to również nie wymaga żadnéj nauki, bo własnym swoim instynktem natrafia ono na różne przenośnie, porównania i ozdoby, byleby sobie dogodzić. I tak matka-wieśniaczka nazywa dziecinę: *jagódką, kwiateczkiem*; jednéj dziewczynie śpiewają, że ma *oczki jak tareczki, buzię jak śmietana;* drugiéj: że *patrzy sokolemi oczkami z pod jaskółczych brewek*, a nikt ich tego nie uczył, wzięte to żywcem z serca wezbranego słodkiém, czyli też namiętném uczuciem. Wszystkie te postacie mowne, czyli figury retoryczne mają na celu: albo wzruszenie drugich, albo dobitniejsze wyrażenie im naszych myśli i dzielą się na wypływające: z uczucia i wyobraźni

Postaci mowne płynące z wyobraźni.

Figury retoryczne mające źródło swe w wyobraźni polegają głównie na braniu jednych pojęć i wyrazów za drugie i do takich się liczą wszelkie przenośnie jak: Metafora, Porównanie, Metonimija, Allegoryja, Antyteza, Omówienie, Stopniowanie, Usobienie. (personifikacyja.)

O przenośniach.

Żaden język choćby najbogatszy nie ma takiéj obfitości wyrazów, aby każde pojęcie miało swój właściwy i sobie tylko służący i ztąd, jednymże wyrazem oznaczamy rzeczy i wyobrażenia zupełnie różne od sie-

bie dzieląc je tylko na właściwie i niewłaściwie użyte. Niewłaściwości te wypływają także z ruchliwéj i bujnéj wyobraźni naszéj, która chciwie dopatruje związku między światem ducha a światem zewnętrznym i chwyta podobieństwo zachodzące między uczuciami ludzi a własnościami otaczających ich tworów, aby na zasadzie czy-to owego związku, czy-to porównania lub też podobieństwa nadać rzeczom nieżyjącym i uczucie i życie, a na odwrót—istotom żyjącym przypisać własności, które są martwych przedmiotów cechami, czyli: przenosić z jednych na drugie właściwe ich znaczenie. Przenośnie takie stósownie do tego, czy są na podobieństwie, na związku, czy na porównaniu oparte, przybierają także różne nazwiska i mają cechy odrębne. I tak:

Przenośnia właściwie tém mianem nazwana, oderwaném zupełnie od rzeczy pojęciem nadaje jéj postać zmysłową na zasadzie związku, jaki wyobraźnia nasza dopatruje między istotném rzeczy pojęciem a określającém ją wyobrażeniem i przenosi jéj znaczenie w obraz na pozór obcy dla niéj zupełnie. np:

„Henryk potrzebował trzech lat na zdobycie jednéj Normandyi; śmierć Jana bez Trwogi oddała mu całe królestwo w dni kilka. Kiedy w sto lat później król Franciszek I kazał sobie pokazać grób Jana Burgundzkiego w Dijon, oprowadzający go Kartuzyanin wskazując na szeroki otwór w czaszce: „*tą dziurą N. Panie*, dodał, *wdarli się Anglicy do Francyi.*“

Libelt.

Tak Seweryn Goszczyński w prześlicznym swym wierszu: *Pieśń Ś-go Wojciecha*, przenosi znaczenie pieśni na samą Boga—Rodzicę i tak opowiada o niéj:

—„W owych to wiekach z żelaza i złota
Stał się cud wielki—cud którego siła
Wyżéj od zwycięztw Polaków zaszczyca,
W postaci pieśni cudownie zstąpiła“
Boga—Rodzica—Dziewica.
Zeszła—i pyta w narodów rozgwarze:
„Jestże lud godzien słyszéć rajskie dźwięki?“
Wtém nadszedł pielgrzym szukający męki
I rzekł: „O Pani! taki lud Ci wskażę.“
Więc za przewodem Świętego Wojciecha
Poszła do Gniezna lekką stopą echa
Siada na wzgórzu i ziemię zachwyca.
Klękli Polacy... Oni Ją poznali
I wykrzyknęli piersiami ze stali:
Boga—Rodzica—Dziewica! i t. d.

Przenośnia taka może się i w pojedyńczych wyrazach zawierać, i wtedy na pozór mają one właściwe swoje znaczenie, a w głębi rzeczy odnoszą się do myśli, która w sposób dowcipny, grzeczny, lub złośliwy ukrywa się pod niemi. Tak dając rysopis młodego człowieka, w jednéj z swych powieści Gabryela Żmichowska powiada, że: „Pan Dyonizy nie musi „*miéć*“ swojéj głowy, tylko ją „*niesie*“ na karku, tak jak według legendy, jego patron niósł swoją pod pachą.“

Porównanie służy do wybitniejszego wydania myśli naszych przedstawiając je w postaci zmysłowéj przez porównanie z sobą dwóch pojęć do dwóch odrębnych światów należących. Wszyscy poeci i pisarze, wszyscy mówcy i kaznodzieje co chwila porównań używają, a im te porównania są trafniejsze, im podobieństwo tych pojęć szczęśliwiéj jest schwycone, tém mowa ich ozdobniejszą się staje i prędzéj do przekonania dru-

gich trafić może, ukazując im prawdę w świetle tak jasném, że prawie plastyczną się ona wydaje. I tak Józef Kremer wykazując wartość starych budowli i murów powiada:

„*Jak matka* konająca *zostawia* z błogosławieństwem dzieciom pierścień z wizerunkiem Najświętszéj Panny, by je strzegł od złego, *tak przeszłość* w grobie zapadła puścizną po sobie *zostawia* nam budowania swoje, stare kościoły i groby; są to klejnoty familijne każdego narodu, co idąc od pokolenia, do pokolenia stroi one czcią, boleścią i tęsknotą swoją.“

Ks. Skarga tłómacząc dziwne rozrządzenia Boże mówi:

„O leśne drzewo nie dba gospodarz, rośnie jako chce a on téż kiedy chce na ogień je wytnie. Ale o drzewo ogrodne i sadowe stara się, aby dobrze rosło, chędoży je, nachyla, obrzezuje, i obcina. Tak Pan Bóg kogo porzuci, dopuści mu swéj woli; ale kogo ma za swego, trzyma go, i rządzi i ćwiczy“

Toż samo jest i w poezyi; p i ę k n o każdego przedmiotu wybitniejszém przez takie porównania się staje, jak naprzykład i w tym wyjątku z Lenartowicza: „*Przegrywki*“ gdzie mówi tak o piosenkach:

Powszednie piosnki, to jak chléb powszedny
Co to o niego Pan Bóg każe prosić,
By człek posilon mógł swój krzyżyk nosić.
A jak nie wadzi głosik skowrończany;
A jak nie wadzi oliwa na rany
Jak Boże słonko zdrowiu nie zaszkodzi
Tak i piosenka, co nam biedę słodzi,“

Również: w *Narzeczonéj z Abydos* tłomaczonéj przez Odyńca—śliczne jest określenie wartości słów zasłyszanych od ukochanych osób w następujących porównaniach, mówi o nich, że:

„Święte—jak Muezina wołanie z wież Meki
Na które ze czcią pielgrzym przyklęka daleki:
Lube—jak nuta pieśni miła z lat dziecinnych
Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich innych;
Drogie—jak wygnańcowi dźwięk ojczystéj mowy,
Będą mi wszystkie twoje słowa i rozmowy!“

Z Narzeczonéj z Abydos.

Metafora jest wyrażeniem użytém nie we właściwém ale w przybraném znaczeniu, jakie mu nadajemy ze względu na p o d o b i e ń s t w o w dwóch rzeczach lub pojęciach uderzające wyobraźnią naszą tak mocno, iż nie robiąc już między niemi żadnych wyraźnych porównań, od razu bierzemy wyobrażenie umysłowe za zmysłowe lub na odwrót, nazywając: młodość—*wiosną życia*, mały objaw pomyślności *listkiem nadziei*, osobę ożywiającą dom cały, *duszą rodziny* i tp.—Tak mówiąc o działaniu wyobraźni pięknie ją określa Żmichowska w ten sposób.

„Na co tym ślicznym dzieciom wydzierać ich złudzenia? na co *kamieniem rozsądku* przyciskać *żywe źródło bijącéj w górę fantazyi?* lepiej niech *jéj wody kryształowe* swobodnie na wierzch się wydobywają, niech *uschłą glebę życia* orzeźwią i rozzielenią.“

A Bogdan Zaleski o pieśniach ludowych powiada:

„Pieśni ludu—*jedwabniki*,
Przędza na wiatr, lśniąca, lekka,
Któż jéj doda *świetnéj krasy*,
Umaluje *złotem* prządka?“

Zaleski

Skarga — cios zadany fizycznie — porównawszy z ciosem moralnym mówi:

„Miecz widomy, raz serca i najmniéj dotknąwszy, koniec boleści czyni. Ale *miecz boleści serdecznéj* wiele w sobie ma śmierci.“

Gdyby wyrażenia te były obrócone w taki sposób, że: na co *rozsądkiem jak kamieniem* przyciskać fantazyją, *jak żywe źródło* bijącą w górę i t. d. nazywałyby się: *porównaniem*, a nie *metaforą*, i zestawienie tych dwóch postaci z sobą mamy w następującym przykładzie:

„Pamięci! o tyś *cicha jak potoku wody*,
Gdy się w tobie odbije jasny kwiat pogody.
Pamięci! a w nieszczęściu toś ty *sępią szponą*
Głęboko ostrza wpuszczasz i rozdzierasz łono.“

Ujejski.

Allegoryja jest przenośnią zamkniętą nie już w pojedyńczych wyrazach lub zdaniach, ale w całéj mowie, w któréj prawda od początku do końca wystawioną jest pod lekką osłoną słów, dających obrazek figurą tylko téj prawdy będący.

Allegoryją są wszystkie bajki przyznające zwierzętom i rzeczom wady i przymioty ludzkie i wszystkie przypowieści, w których prawda moralna, choć pod przybraną postacią jest już wyraźniejszą, bo tu mówią i działają ludzie, tylko że umysłowe pojęcia przedstawiają się w obrazku zmysłowym dla silniejszego oddziałania na serce i łatwiejszego przekonania umysłu. Takich allegorycznych przypowieści pełno jest w Piśmie świętém, gdzie ziarno rzucone na rozmaitą rolę, wyobraża słowo Chrystusowéj nauki padające na rozmaitego usposobienia serca słuchających go ludzi; Syn marnotrawny—żałujących grzeszników;—Pasterz szukający zbłąkanéj owieczki—Pana Jezusa ukazującego

zbłąkanym duszom ich drogę i t. d. a sławni nasi kaznodzieje i mówcy, prawdy najwyższego znaczenia również pod taką postacią wypowiadać zwykli. np:

„Gdy okręt tonie a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży a do obrony okrętu nie idzie i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma i on ze wszystkiém co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majętnością, które ma na okręcie pogardzi, a z innemi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy, dopiéro swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował.“

Ks. Skarga.

Taką allegoryją jest także następująca: *Przypowieść* o ojcu, dziecku i gościu wyobrażających: Boga, człowieka, i świat.

Było u ojca dorodne pachole
Posłuszne, karne i w domu i w szkole
Zgoła, że rosło pod pieczą ojcowską
Na korzyść ludzką, a na chwałę Boską.
Aż nagle dziecię zaczyna się psować
Ojca nie słuchać, szkoły nie pilnować;
Zamiast być młodszym swym braciom przykładem
Już ich do złego wiedzie własnym śladem.
Więc zrazu ojciec łagodnie poczyna:
Do serca mówi, matkę przypomina;
Niestety! próżno! nie pomogły prośby,
Więc pełen bólu przechodzi do groźby;
Więc jako niegdyś hebrajscy poeci,
Jak nasz Pawęzki, lub wielki Jan trzeci,
Zagraża karą, dniem płaczu i smutku,
Ale tak samo, jak oni, bez skutku.
Ha! więc przyjść musi chwila odwlekana.
Toż choć ból wielki serce mu zakrwawia,
Hardemu dziecku gnie ojciec kolana,
Do klęczków zmusza i tak go zostawia,
Póki łza żalu nie wypłynie z duszy,

Póki nieszczęsny upór się nie skruszy,
Któż skreślić zdoła tę ojcowską ranę
Gdy chłostać musi dziecko ukochane!
W pobliskiéj izbie zaczął niby pracę,
Ale przy synu został całym duchem.
Praca nie idzie, bo serce kołace
I jak zbawienia, z wytężonym słuchem
Westchnienia czeka, które ma oznaczyć,
Że już go może podnieść i przebaczyć.
Wtém—jakiś dziwny odgłos go dochodzi,
Więc wraca, patrzy, a to gość dobrodziéj
Nad stanem dziecka tak czule się żali,
Tak je pociesza i tuli i chwali:
Jak ono miłe i dobre i grzeczne;
Z czego następstwo wypływa konieczne:
Że gdy syn cierpi niesłusznie, poczciwy,
Więc ojciec srogi i niesprawiedliwy.
To téż synkowi piosnka się podoba,
I tak się w sobie zakochali oba,
Tak się złączyli w piosence i nucie,
Że już i myśli niéma o pokucie.
Bo za cóż cierpieć, za co pokutować.
Gdy dziecię takie, że tylko całować.

Karol Baliński.

Metonimija jestto rodzaj przenośni, polegającéj nie na podobieństwie ale na związku jaki między wyobrażeniami zachodzi. Używa się jéj dla skracania i ożywienia mowy, bo postać ta pozwala wyrzucać wyrazy i określenia, których łatwo domyślić się można, i jeden wyraz zamieniać na drugi, gdy ten, który jest tylko w związku z pojęciem rzeczy głównéj, w piękniejszy sposób odda myśl aniżeli ten, któryby właściwie pojęcie to malował. I tak:

1) Bierze: *autora* za jego *dzieła* np:.

Nie dość jest *przeczytać Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego,* ale trzeba ich umieć pojmować.

2) Rzecz *zawierającą* za rzecz *zawartą.* np:

„*Baw się wesołe miasto* bez końca, bez miary; Ja nie po to przyszedłem, by dzielić *twe gwary.*“ Syrokomla (zamiast: *ludzie* w mieście) „Cała *pomni okolica,* co tu zbroił nieboszczyk.“ Mick. (ludzie w okolicy)

3) *Skutek* za *przyczynę.* np:

To cały *zarobek* nieszczęsnéj siéroty
Ten wianek, co moja dłoń splecie.
To dach mój nad głową, co chroni od słoty,
To chléb mój, to *suknia* na grzbiecie.“

(zamiast—że z *przyczyny* tego wianka będzie *zarobek,* za który kupi chleba i suknią.

4) *Przyczynę* za *skutek* np:

 Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru“

Mick.

(zamiast—że w *skutek* zabicia niedźwiedzia, klasztor przez dwa lata będzie zaopatrzony w pożywienie.)

5) *Znak* za *rzecz umówioną.* np:

„Nie tyle grozą jak raczéj dozorem
Stała chorągiew, bo Mohort był wzorem“

Pol.

(zamiast żołnierze pod tą chorągwią służący)

6) *Część ciała* za *uczucie* np:

„Oh! gdyby to zawsze *chętną rękę* z *mądrą głową, tkliwe serce* z geniuszem łączyć“

Żmichowska.

O siostrzyczko mała!
Od ukochanych nie żądaj, by dali
Równy *dział serca* i tak cię kochali
Jakeś ich ty ukochała.“

Żmichowska.

(zamiast: *dobroczynność z rozumem*; *tkliwość z genijuszem i równe uczucie*)

Wszystkom *do piersi* cisnął koleją
O wszystkom *krwawém sercem* zawadził,
Lecz *dłoń zdradziła, usta zdradziły*
Ah! tylko kamień nie zdradził.“

Żmichowska.

Antyteza zasadza się nie już na podobieństwie lub związku ale na zupełnéj sprzeczności, jaka zachodzi w pojęciu dwóch wyrazów albo też wyrażeń, które zestawione z sobą odbijają od siebie jak jaskrawe od szarych kolorów i silnie działają na umysł, gdy pięknie są dobrane i umiejętnie użyte.—Postać ta najrzadszą jest ze wszystkich i w mowie i w piśmie, choćby najwytworniejszém nawet, bo wtedy tylko stósowna, gdy wypływa nie z wyrachowanéj chęci ozdobienia nią mowy, ale z żywo poruszonéj wyobraźni, albo naturalnego uczucia, które w uniesieniu wylewając się w słowach, przechodzi od jednéj ostateczności do drugiéj, aby te dwie ostateczności, w dwóch sprzecznych zestawione wyrazach, były rzetelnym tego uczucia—albo wrażenia obrazem. I tak Kraszewski w głębokiém zrozumieniu boleści moralnéj powiada:

„Nie jestże to *szczęście* być tak *nieszczęśliwą* i wypić *kielich żywota cały w jednéj kropelce* trucizny?“

Zyg. Krasiński myśląc o sercu nie chcącém i nie umiejącém się zniżyć do nienawiści i dumy, uczucie czysto ludzkie zestawia ze świętém i mówi, że:

„Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo, lecz z *przebaczenia anielską pogardą*.“

Stefan Giller—wyobraźnią swoją przenikając ducha i znaczenie naszych pieśni ludowych w ten sposób je określił:

„Jakżeś ty piękna, a jak tajemnicza!
Poważne lice krasi blask uśmiechu;
Rosa, twym oczom swych kropli użycza,
A wiosna swego oddechu!
Głowę, kwiat polny wianeczkiem okrywa,
Serce ci płonie, jak iskra żarząca;
I czasem *milcząc* jesteś *gadatliwa*
A czasem *mówiąc, milcząca*.“

W znanéj pieśni Fr. Karpińskiego na Boże narodzenie ułożonéj, cała pierwsza strofka złożona z zestawienia sprzeczności, uderzających nie już w wyrazach, ale w samych pojęciach, jest jedną—najwspanialszą antytezą, bo zebrane w całość takie ostateczne wyobrażenia jak:

„Bóg się rodzi,—moc truchleje
Pan Niebiosów—obnażony;
Ogień krzepnie—blask ciemnieje
Ma granice—Nieskończony.
Wzgardzony—okryty chwałą
Śmiertelny—Król nad wiekami i t. d.

robią tę pieśń prawdziwie namaszczoną głębokiém pojęciem wielkiéj Tajemnicy, jaką w niéj opiewają.

Omówienie używane jest w starannéj i poetycznéj mowie zawsze, gdy wyraz zastósowany właściwie do rzeczy, o któréj mówić albo pisać mamy, raziłby gminnością, i gdy powtarzanie jednego i tego samego zrobiłoby mowę nieharmonijną i nieprzyjemną dla ucha; wtedy-to omawiamy czyli obchodzimy ten wyraz, przez co wysłowienie staje się wytworniejsze, szlachetniejsze i ozdobniejsze o wiele. Tak np: Brodziński mając dwa razy powtórzyć powszedni wyraz: *rok* tak ślicznie go omówił:

„Miałam ja drugą, litościwy Boże!
Oko się za nią napłakać nie może.
Zaledwie *piąty owoc kwitnął sadu,*
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu;
Już to *dwunastym liściem wiatr pomiata,*
Jak myśli matki zatruwa jéj strata.“

Syrokomla—unikając wymienienia nazwiska Wilna, Mickiewicza i swojego ja, coby zupełnie pospolitém było, witając miasto woła:

„*Stary grodzie Jagiełły,* z twego zamku szczęty!
Ostrobramska Maryjo! Kazimierzu święty!
Wam się *litewski pielgrzym* z nabożeństwem kłania.“

a potém pyta się w uniesieniu:

„Gdzie jesteś *wielki Duchu* kowieńskiéj doliny
Coś nam serca rozpalał, piejąc stare czyny?“

Przybywszy do Częstochowy odzywa się znowu o Matce Boskiéj, Kordeckim i Kazimierzu Pułaskim.

„Kto ramię Kordeckiego do potęgi budzi,
Co dwanaście tysięcy zgromił w trzysta ludzi?
Ty *Pani z Jasnéj góry!*

Święty, *rycerski mnichu!* o dawni królowie
I ty *święty szlachcicu* jak cię Marek zowie!
Sławiliście Maryją czynami, modłami,
Wyście teraz Jéj bliżsi— módlcie się za nami!“

Stopniowanie jest umiejętném ułożeniem—czyli uporządkowaniem kilku wyobrażeń, odnoszących się do jednego pojęcia, w ten sposób, aby one po sobie następowały koleją ważności malujących je wyrazów, idąc od najsłabszego do najmocniejszego wyobrażenia, albo też na odwrót, bo wtedy tworząc jakoby cień jednéj jakiéjś

myśli, w całéj świetności wykazujemy jéj piękno i żywiéj przemawiamy do wyobraźni drugich.

Tak jeden z kaznodziejów w swéj mowie pogrzebowéj stopniował na obydwa sposoby pojęcie poniesionéj straty w śmierci zacnego człowieka, i raz od najważniejszego, drugi raz od najsłabszego wyobrażenia okresy swoje zaczynając, jednym wyrazem—znaczenie następującego podnosił, np.

Gwiazda po gwiaździe zapada, filar po filarze się łamie, cegła po cegle się kruszy, a my stojąc i spoglądając na te ruiny i straty, czyż nie możemy razem z strwożonymi uczniami Chrystusa Pana z serca przejętego żalem i trwogą zawołać w chwili żalu i boleści po stracie ś. p. Karola Marcinkowskiego, która nam tyle innych przypomina: Panie zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił! Tak — ma się nam ku wieczorowi; bo *chmura na chmurę* zaciąga, *grom po gromie* uderza i *światło po świetle* gaśnie; wszystkim nam się dzień pochylił, a pochylił się szczególnie nędzy i biedzie, która na to serce, co się nad nią litowało—już garść ziemi rzuciła.“

W *Mogiłach* Kraszewskiego—takiego stopniowania piękny także jest przykład:

„Szmer głosu anioła lał mi w piersi spokój jakiś niewysłowiony; inaczéj teraz spoglądałem na ziemię; z za łez, które starł dłonią białą, wzrok mój oschły, głębiéj coraz *sięgał* w ziemię, *widział* jasniéj i *przenikał* nietylko pod miejsca zakryte, ale w najzamkniętsze piersi tajniki...

Inne są sądy Boże, a inne wyroki wasze; to co wam potężném się zdaje, tam grzechem jest może; co tu niewidzialne, tam wielkie i święte, a im *ciszéj się cierpi*, im *więcéj boleść ukrywa*, im *więcéj tai z ofiarą*, tém świetniejsze w niebiosach czekają palmy i wieńce.“

Uosobienie czyli personifikacyja wypływa z wspomnianéj już chęci do upatrywania życia we wszystkiém

co nas otacza; do mówienia o martwych nawet rzeczach i umysłowych pojęciach jakoby o myślących i czujących istotach; do przyznawania im własności i siły działania, jakiemi odznaczają się ludzie. Ztąd także jestto jedna z najzwyczajniejszych, bezwiednie używanych figur retorycznych, bo mówimy zwykle, że: *burza szaleje, gromy biją, strach ma duże oczy, nadzieja się uśmiecha, światło w oczy uderza, noc zaskoczyła* i t. d. W poezyi, opisach i opowiadaniach ustnych taki sposób mówienia, nietylko wiele żywości, ale i wiele obrazowości i mocy wyrażeniu się naszemu nadaje, np.

„W zamek ten padła trwoga z najeżonym włosem, z niespokojnym snem, z proroczemi widmami, i rozlega się w komnatach niewieścich wsród ciszy północnéj przerażającym krzykiem“

Z pism L. Siemieńskiego.

W. Pol ślicznie téj postaci użył, w tym ustępie z *Mohorta.*

„Kiedy to mówił zwolna sobie kroczył
I wstąpił ze mną na okop wspaniały,
A ztąd do razu—*kraj się rozkrył* cały:
Dniepr u przepaści wstęgę swą *roztoczył*,
A jak najdaléj sięgło tylko oko
Świat się rozłożył za Dnieprem szeroko.
A na wzdłuż rzeki pomiędzy skałami
Mgła się poranna *zwijała* kłębami.
I w téjże chwili pierwszy *blask promienny*
Ocknięte stepy z ukosa *zadrasnął*,
I świat się budził, ale *Dniepr był senny*
I spać się zdawał—jak pod mgłami *zasnął*.“

Kraszewski mówiąc o *tęsknicy* wyraził się że:

„Ponad sercami *latała* nietoperzowemi skrzydły, *zaglądała* w nie, *siadała*, *ssąc* z nich odrobinę młodości.“

A daléj:

„*Tęsknica karmi się* wszystkiém, co *spotka*... tak jest *zgłodniałą* i *spragnioną*.... *ogryza* suchą korę, *pożéra* liście opadłe, którychby już nikt nie tknął.“

T. Padalica—malując gwałtowność z jaką morska fala w czasie burzy się toczy, przypisuje jéj i życie i uczucie, gdy tak o niéj mówi:

„W płynieniu łodzią po rozhukaném morzu jest coś tak majestatycznie strasznego i pięknego razem, że się to wrażenie u nas, dzieci lądu, nie zapomina nigdy: Ten *wał* dziewiąty, jakże wspaniale jeży swój kark, jak go polewa pianą złości i napada na cię!... W téj sile musi być coś żywego, co ma duszę i oczy tyle tam jest życia i gniewu. Wyraźnie piętrzy się, żeby coś zoczył;—obaczył cię i goni... Zdaje się, połknie łodź całą, zdaje się, rozbije ją swą potężną piersią i widzisz nagle—jak podrzucił ją tylko, zawarczał ze złości, że chybił w uderzeniu i rozlany szeroko poszedł skonać na brzegu!“

Postacie wypływające z uczucia.

Postacie mowy używane dla wzruszenia drugich i rozbudzenia w nich uczucia jakiém piszący jest przejęty są: Zapytanie, Powtórzenie, Hyperbola, Apostrofa, Ironija, Błaganie, Przekleństwo, Opuszczenie, Przemilczenie, Prozopopeja.

Zapytanie. Postaci téj używamy w silném poruszeniu duszy, gdy rzecz dobrze nam znaną wyrażamy w formie pytania, w którém ukrywając wyrzut, twierdzenie, lub usprawiedliwienie większe czynimy wrażenie na sercu i umyśle drugich, wymagając od nich odpowiedzi potwierdzającéj prawdę, głęboko przez nas pojętą. Tak w księgach proroctw—Bóg z rzewną wymów-

ką pyta się ludu Izraelskiego: „Ludu mój! cóżem ci zrobił lub w czemżém ciebie zmartwił? odpowiedz mi! Cóżem więcéj miał uczynić tobie, a nie uczyniłem.?“ Lenartowicz—zamiast przekonanie swoje w stanowczy i twierdzący sposób wypowiedziéć rzuca je w formie pytania i mówi:

„Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili...
I nie wiem, co milsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka co w krzakach gdzieś kwili?
I nie wiem, co milsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?
I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną?
Nad serce poczciwe gorętsze?
Co bardziej jest smutne nad młodość straconą?
Nad pracę i miłość co świętsze?“

W *Felicycie* Odyńca, Kwintus w zapale swego przekonania się pyta:

„Mnież-to ma trwożyć ich groźba lub kara
Gdy celem moim, jest tylko ofiara?
Mnież-to ma wstrzymać wzgląd, że może inni
Boją się czynić, co czynić powinni?
Maż cudza słabość być méj siły miarą,
Lub duch mój stygnąć czyjąś zimną wiarą?“

Woronicz zaś, żegnając zwłoki uwielbianego wodza, również używa pytania, aby tém żywiéj dać uczuć cały ogrom bolesnéj jego straty.

„Wzywam was tu, stańcie! otoczcie ten śmiertelnością tlejący majestat wodza waszego. I także owa wasza szerokobrzmienna sława dogorywa? Kto wasze nieocenione czyny oceni? Kto je nagrodzi? czy te słowa na papiérze z wiatrem

ulotne? czy te chrapliwe jęki dzwonów i spiży w powietrzu niknące? czy ta świetna okazałość powszechnym szacunkiem i żałobą roziskrzona, któréj pojutrze śladu nie będzie? czy te wreszcie marmury i kolosy, na których modrzewy i jodły będą w czasie zarastać? Któż opłaci tyloletnie wasze znoje i poniewierki? ten wiek odkwitnionéj młodości marnie styrany? te blizny i kalectwa nieuleczone? te członki morderczym ciosem odjęte? Kto pocieszy te wdowy i pisklęta po was osierocone? Kto rozsądzi i wyświeci rzetelne zasługi zapomniane, a lada nikczemnikowi podstępnie przyznane i uświetnione? Kto te drogie imiona z odmętu niepamięci wytrząśnie? Jestżeż który mocarz świata całego tak potężny, bogaty, mądry, sprawiedliwy, aby temu wszystkiemu podołał, aby was każdego w szczególności uczcił, udarował, uwiecznił? O bracia! jakimże łez strumieniem opłakaćby was należało, gdybyście tylko śmiertelnikami byli!!“

Powtórzenie wypływa z chęci przekonania drugich o tém,—o czém piszący sam mocno jest przekonany, lub z silnego bardzo uczucia, które zdaje się mimo swéj wiedzy wracać się ciągle do głównego swego przedmiotu. Wtedy-to wypowiadając kolejno przekonania swoje, po każdém z osobna—powraca on do tego pojęcia, do którego odnoszą się wszystkie, i powtarzaniem takiém, dobitniéj siłę uczucia,—i jaśniéj obraz myśli swoich maluje. I tak w jednéj z swoich mów pogrzebowych kaznodzieja[1]) przechodząc myślą wszystko, co jest złém i naganném na świecie, ciągle powtarza wyrazy, któremi to złe potępia, aby wydać cały swój wstręt do tegoż.

„O gdybym mógł w téj chwili wydobyć z zimnego już serca twego choć jednę iskrę téj prawdziwéj i pełnéj czynu miłości, gdybym mógł tym ogniem słowa moje zapalić i ciskać niemi w serca wasze, *palilbym* i *niszczyłbym* najpierw te pęta i oko-

1) Ks. Janiszewski.

wy pychy i próżności, często nawet dziecinnéj, któremi znaczna część serc skrępowana; *palilbym* i *niszczyłbym* te drobiazgowe względy i uprzedzenia ludzkie, które chcą być pierwéj odważone na szali zasług nim przystąpią do czynu; *paliłbym* i *niszczyłbym* te języki uzbrojone jadem i te sądy na wskroś żółcią przesiąkłe, które lubią kalać to, co jest bez skazy; *paliłbym* i *niszczyłbym* tę złość szatańską, co zrywa najświętsze węzły braterstwa; *paliłbym* i *niszczyłbym* tę pajęczynę hałasu i wrzasku o poświęcenie dla dobra ogółu, gdzie gardło pełne krzyku, a ręce próżne dobrych uczynków.“

Ślicznym i wymownym przykładem powtarzania wyrazów z silnego uczucia płynących jest wyjątek z Glossy Ś-téj Teressy, która w uniesieniu duszy woła do ukrzyżowanego Jezusa:

„Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy
Że *Ciebie kocham* za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twém gody,
Za palmy,—harfy,—i cuda—i dziwy,
Za jakąkolwiekbądź w niebie zapłatę
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś to wszystko,—co boli!
Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnéj niewoli,
Ty Bóg przez katów prowadzon do krzyża.
Ja Ciebie kocham, że Cię o téj chwili
Niebo odbiegło—i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: „O jam opuszczony!“
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcéj niż za Zmartwychwstanie.“

Zyg. Krasiński

Wincenty Pol—pojedyńczym, wciąż powtarzanym wyrazem przekonywa dobitniéj o prawdzie słów swoich, niżby był tego dokazał, coraz to innym go zastępując w tym ślicznym z *Rybki* wyjątku:

„Biedni wy ludzie! że wy téż nie wiecie
Co to być *małym*; gdybyś ty był rybką
Taką swobodną i lekką i szybką,
I taką *małą* jako ja na świecie,
Jakby ci dobrze było w słońcu chodzić!
Boć to tak *małéj* niéma nawet wędki,
Nietylko wędki, ale nawet chętki
Niéma tak *małéj*, aby na mnie godzić!
Więc to co *małe*, to bywa i całe
I niby święte i zdrowe i hoże,
Czyste, swobodne i żywe i Boże,
I rade sobie, i rade drugiemu,
I nie zawadza cudzemu ni swemu,
Boć rade temu, co mu padło w dziele,
A silne liczbą, boć to tego wiele,
A między *małém* bywa sojusz wierny
To i Bóg temu bywa miłosierny.
I mrówka *mała* a cały świat schodzi;
I pszczółka *mała*—a życie nam słodzi;
I ziarnko zboża *małe*—a świat żywi;
I piasek *mały*—a skała cię dziwi;
I perły *małe*—a jakie to cenne;
I kropla *mała*—a co wody w stoku;
A z wód niewielkich, to morze bezdenne.
Mała źrenica—a cały świat w oku.
Alboż i gwiazda—a światło jéj czyste,
I jakież piękne to niebo gwiaździste!“

Opuszczenie—tak samo jak powtórzenie ma na celu wyrażenie z całą dobitnością—myśli, żywo nas przejmującéj, ale jest sztuczniejszą od powtórzenia postacią, bo dążąc do głównego punktu przekonania swego mówca zapowiada: że wszystkie inne okoliczności pomija, a tym czasem niby je opuszczając —jedne po drugich umysłowi czytelnika, czy słuchacza przedstawia, aby przedmiot swój wyczerpać zupełnie i z każdéj dotknąć go strony—np.

„Religija onych czasów tak wkorzenioną była we wszystkie serca i uczucie, że *nie mówię* już, wszystkie czyny zaczynały się w Imię Boga w Trójcy świętéj jedynego, a kończyły się słowem biblijném: Amen; *nie mówię*, że wymówione głośno Imię Chrystusa Pana, albo Matki najświętszéj najzaciętsze bitwy uspakajało; *nie mówię*, że i najburzliwsze passyje uspokojenie się swoje wpływowi wiary świętéj miały do zawdzięczenia, ale nawet umysły szalone i obłąkane dawnemi czasy kończyły zwyczajnie na tém, że się przerzucały w melancholiją nabożeństwa i religijności.“

Zyg. Kaczkowski.

Przemilczenie jest jeszcze jednym sposobem uwydatnienia swych myśli, przez całkowite urwanie mowy w chwili, gdy wypowiedzieć je mamy. W gwałtownem uniesieniu,—trudno jest człowiekowi znaleźć wyraz odpowiedni swemu uczuciu i wtedy wypowiada je wymowniéj milczeniem, niżli wieloma słowami.

Idąc za wzorem tego naturalnego uczucia, mówca czy pisarz—takiéj postaci przemilczenia używa wtedy, gdy czytelnikowi czy słuchaczowi chce dać pole do domysłów szerzéj zakreślonych, niżby się w jedném wypowiedzianém zdaniu zamknąć one dały, zawsze jednak źródło téj postaci—tylko z głęboko poruszonego uczucia wyprowadzać powinien.

Tak Szajnocha—na odmalowanie zgrozy krzyżaka przerażonego mniemaném okrucieństwem Polaków zrywa wątek jego myśli w ten sposób:

„Krzyżak ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brodę ze skóry obdziéra i w kościele jako pobożne zawieszą *wotum*. Miłe odkrycie zjechawszy na wesele! Nuż, który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnéj pobożności!... Potrzeba tylko zwykłéj zwady weselnéj, aby...... Strach zdjął Krzyżaka.“

I. N. Jaśkowski w swéj elegii nad mową ojczystą w nadmiarze uczucia takiém też przemilczeniem główną swą myśl pokrywa:

„Bo widzicie i nasi błądzili przodkowie,
Byli nadto szlachetni, żyli za poczciwie,
A ścigając Rzymiany w radzie, w boju, w mowie,
Zapomnieli, że kwiaty więdną na ich niwie.
Lecz czasy były inne—czas zmazuje winy,
Dla nich grody złociste rozwierały bramy.....
Oni kordem pisali bohaterskie czyny,
Oni byli Rzymianie, a my...a my.... a my...

Tak *Konrad* Mickiewicza rozmarzony wspomnieniem ubiegłéj przeszłości urywa nagle wołanie swoje o piosnkę:

„Starcze! graj nutę, tę nutę dziecinną,
Którą w dolinie.... O było czas błogi,
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
Wracajże starcze! bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie...... Starzec musiał wrócić.“

Apostrofa—jestto zwrócenie mowy do osób obecnych czy nieobecnych a nawet i do rzeczy martwych, i we wszystkich pismach z uczucia płynących i do uczucia drugich skierowanych,—w mowach sejmowych i pogrzebowych, niezmiernie wiele mocy i żywości wysłowieniu całemu nadaje. Tak Woronicz zwraca się w modlitwie do Boga i mówi

„Boże Ojców naszych! Boże Patryarchów szerokowładnego w świecie rodu sławiańskiego! Pojrzyj łaskawie na te milionowe roiska walecznych ludów i daj im uczuć wysokie w Twych wyrokach przeznaczenie, które od ich wzajemnéj zgody, szacunku, przyjaźni i miłości braterskiéj zawisło.“

A ksiądz Skarga wspomniawszy na żyjącego przed wieki Zorobabela, jakoby do obecnego tak mówi:

„O błogosławiony miłośniku braciéj twojéj! Nie ruszyło cię ono złoto i dobre mienie, i cześć ona—po królu wtórym być i świat rządzić i u ludzi tak wielką sławę miéć; wszystkoś to porzucił i podeptał, abyś ojczyznie i braci swéj rzeczpospolitéj służył. Wolałeś sam poniżonym być, aby ona głowę podniosła; wolałeś zostawać ubogim, aby ona zbogaciała. Darowałeś matce swéj wszystkie pociechy swoje; wylałeś na nią wszystko szczęście swoje, w jéj dobrém i powstaniu i romnożeniu wszystkie dobra swe zamykając!"

W poezyi piękny także zwrot myślom nadaje taka apostrofa, jakiéj przykładem może być następujący wyjątek z wiersza *Do sosny:*

„Mieszkanko boru, uboga sosno!
Zkąd twe konary tak dzielnie rosną,
Że śmiesz unosić w obszar niścigły
Czoło, ostremi zjeżone igły?
Powiedz, co tobie miłość mą jedna?
To—żeś bezbarwna, żeś taka biedna,
A przecież w górę spoglądasz śmiało,
Jak ubogiemu patrzéć przystało.
Zielona sosno! za toś mi droga,
Że pierś twa nie wie co znój, co trwoga;
Gdy wiatr pogwizdem zamieć ci wróży,
Wytrwale czoło nadstawiasz burzy.
Choć biedna, w szaréj odziana korze
Rychléj grom jednak pierś twą rozporze
Niż twe ku ziemi nagnie ramiona
Zielona sosno, siostro rodzona!...“

Hyperbola jestto przesadnia któréj używamy wtedy, gdy w poruszeniu jakiego gwałtownego uczucia, granice prawdy przechodzimy. Człowiek w chwili uniesienia żywiéj wszystko czuje i jakby przez powiększające szkło patrzy się na to, co go dotyka, a wtedy stósując swe wyrażenia do wrażeń, mija się z prawdą, ale daje wierny obraz usposobienia swojego. I tak gdy matka mówi, że: „*we łzach skąpaćby dziecko swoje mogła*“ niéma zapewne w tych słowach prawdy rzeczywistéj, ale jest prawda jéj uczucia; w twierdzeniu że: *w jednéj chwili wieki przeżyć można*, jest także przesadnia co do czasu, ale maluje się w niéj cała siła wrażenia, jakie ją wywołało; w codziennem życiu często używamy téj postaci nie myśląc o tém bynajmniéj, bo idąc tylko za swojém wrażeniem mówimy: *zbladła jak śmierć; wpadła jak bomba; piorunem ta wieść przybyła. idzie żółwim krokiem* i t. d. Poeci—powieściopisarze, często używają hyperboli płynącéj z ich żywéj wyobraźni, i może ona być piękną ich pisma ozdobą,—ale zawsze najwłaściwszą i najpiękniéjszą jest wtedy, gdy źródłem jéj jest uczucie. Woronicz w jednéj ze swych mów pogrzebowych powiada: że „*zalęknione wiry Elstery przyjmując ze drżeniem pluszczące ranami zwłoki, ponurym szumem i jękiem odmęty Oceanu przestraszyły*“ a w innéj wspomina „*wielkoludów, którzy temi Karpatami za brzegi morzów ciskali.*“ Obie te przesadnie wypowiedziane w żywém uniesieniu zupełnie inaczéj się wydają jak taka, w któréj ani prawdy, ani uczucia nie widać jak np. w tém wykrzyknieniu z powodu sukni ognistego koloru [1]) „*Baronowo! chcesz miasto podpalić? te oczy i ta suknia, to pleonazm.*“

Śliczny przykład hyperboli z uczucia płynącéj dał także W. Pol w następującym ustępie z opowiadania Mohorta:

„Nie wiem gdzie biegłem i dokąd ją niosłem
Ale nad dachy i dęby urosłem

---

1) Komedya: Niewinne zaloty.

I jakaś siła od ziemi mnie niosła
I trumna w rękach ku niebu mi rosła."

Ironija powszechnie za złośliwość uważana i rzeczywiście ostrą i dotkliwą wymówkę ukrywająca często, częściéj daleko pod postacią: żartu, pochwały, lub przygany ze wsteczną myślą użytych, jest tylko grzeczném wypowiedzeniem prawdy—i dowcipem zastępuje nieraz niedelikatność obrażających wymówek, sprzeczek, krytyk i t. d.

Ironija jako żart najwybitniejszą jest we wszystkich satyrach Krasickiego, z których śmiać się musieli nawet dotknięci niemi, jak: w *Pijaństwie*, w *Modnéj żonie* i innych.

Ironija występująca jako przygana rzeczom dobrym, zacnym, lub jako pochwała dla nieuczciwych lub śmiesznych, ma na celu osoby trzecie, a nie te, o których zdaje się mówić. np. jako pochwała:

Towarzystwa przykładzie pracowite pszczoły,
Wpośród waszych zabiegów i skrzętnéj mozoły,
Któraż, chociaż ma porę dokazania snadnie,
Miód z pracą od sąsiadki zbierany ukradnie?
Nasz to tylko przywiléj—więc bądźmy nim dumni
Zwierzęta złe i głupie;—my dobrzy, rozumni.

Krasicki.

Cobyś Wasza Ks. Mość rzekł, gdybym mu powiedział, że na sejmach nawet wierszami gadają? Jeżeli Opatrzność Boska nad polskim ludem zmiłować się nie raczy, proza—nawet z potocznéj mowy wypędzona będzie. *To jednak przyznać trzeba, że poeci nasi w nagrodę tego, prawie wszyscy wiersze prozą piszą.*"

Węgierski do Krasickiego.

Jako przygana:

„Są inne dusze—głupcy! waryjaty!
Co wolą słomę domowéj chaty;
Co wśród pomarańcz i ananasów,
Co wśród palm, pragną sosnowych lasów;
Gminne ich zdrowie bardziéj przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź-tu z grubą duszą Litwina,
Co swéj dzikości nie zapomina..
Co swą lepiankę, swych borów liście,
Kocha ogniście, kocha wieczyście;
Który rwąc z drzewa pomarańcz złoty
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty.
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką tęskni—kochanek.
Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.
Widząc na murach złocone szczyty,
On wolał domek słomą pokryty.
Nieuleczony, dziwny szaleniec!..
On w kraju pszennym śnił żyta wieniec!"

Syrokomla.

Ironija złośliwa już nietylko z dowcipu, ale z bardzo gorżkiego uczucia wypływa, z jakiém J. N. Kamiński w balladzie *Bajazzo* mszcząc się za lekkomyślność ludzi, wśród śmiechu których umiera człowiek z boleści serdecznéj powiada, że nad jego trupem:

„Noc razem ze świerszczem głuchą pieśń śpiewała,
Publiki nie było,—a małpa się śmiała."

Jest nakoniec jeszcze jeden rodzaj ironii bolesną nazwanéj, która jest wyrazem najwyższéj, niemającéj już łez, więc przerzucającéj się w śmiech—boleści, albo też jest dumą i odwagą nieszczęścia, które szyder-

stwem z siebie zasłania się przed litością ludzi i tém smutniejsze robi na drugich wrażenie. np. w piosence:

Co mam nie być wesoły?
Mym majątkiem dwa doły,
A w tych dołach złożona,
Z małém dzieckiem ma żona.
Oj ta dana, ta dana,
Doloż moja kochana!.
Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły,
Grad mi zboże wymłócił,
Nie będę się już trudził,
Oj ta dana, ta dana
Doloż moja kochana! i t. d.

Przekleństwo służy do wypowiedzenia gwałtownych i namiętnych uczuć, które w uniesieniu,—lub w oburzeniu szlachetném, w téj formie się wylewając z nadzwyczajną mocą je malują i silnie na umysł i duszę działają przejmując ją przerażeniem i zgrozą. — W poemacie S. Pruszakowéj: *Dwie Gwiazdy*, w tłomaczeniach Odyńca: *Czciciele ognia* z Moora—i *Dziewicy Jeziora* z Walterskotta są piękne téj postaci przykłady, z których najwymowniejszym, jest następujący:

„Hańba i biada z ojca na syna,
Kto krzyż ten widzi, a zapomina
Że rósł na grobach klanu Alpina,
Gdzie dawnych wodzów jego rodzina
Śpi w cieniu drzew tych opieki.
Niech zdrajca w nędzy wlokąc swe lata,
Nieopłakany schodzi ze świata!
Prochami jego wiatr niech pomiata!
Przekleństwo ojca, syna i brata
Niechaj go ściga na wieki!

Gdy krzyż ten zacznie krążyć po klanie
Przeklęta noga, co z nim ustanie!
Przeklęta ręka, co go odrzuci!
Przeklęte oko, co się odwróci,
I serce co się przelęknie!
Niech nieuczczono ziemskim pogrzebem,
Czerw zwłoki zdrajcy toczy pod niebem!
Sęp niech mu serce, kruk oczy wyje,
Jako ta ziemia stosu krew pije
Krew jego w ziemię niech wsięknie!
Jako ta we krwi iskra błyszcząca
W nocy bez słońca, w mękach bez końca
Niech zgasną zdrajcy powieki!
Niech ten krzyż godło ludzkiéj pociechy,
Co wszystkie ludzkie odkupił grzechy
Jego potępi na wieki!“

Dziewica Jeziora.

Błaganie zazwyczaj jest prośbą o upragnione rzeczy,—ale jako postać mowy, może być ślicznem wypowiedzeniem życzeń albo marzeń, choćby do ziszczenia niepodobnych wcale, ale z głęboko wzruszonego serca się rwących. I tak Zyg. Krasiński nieokreślonéj tęsknocie swéj duszy daje formę b ł a g a n i a, i woła do przyjaciela swego.

„O daj mi skowronka głośną nutę w błękitach! Daj śpiewy słowików i noce daj mi letnie, i księżyc—lampę miłości, lub urnę zmarłych bogów, jeżeli nań patrzysz z pod bram Kolizeum! Daj mi lasy szumne głosami Boga, gdy po wierzchołkach dębów i sosen zacznie bieżyć dreszcz wiatrów! Daj pola nieprzejrzane traw zielonych lub rozbujałych kłosów! Daj mi co chcesz, byleby to co dasz, było życia obrazem lub dźwiękiem.“

Zyg. Krasiński.

A Bohdan Zaleski—zamiast powiedzieć, że dla niego Ukraina jest niebem—w uniesieniu uczucia swojego

zwraca się do Boga z błaganiem wypowiadającém całą jego siłę—w tych słowach:

„ — — ... Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządki naszego żywota.
Boże mój, Boże!. łzami modlę Ciebie
Jak umrę,—daj mi Ukrainę w niebie!“

Farys Karola Balińskiego w odpowiedzi na obietnice proroka, również w formie błagania wypowiada swoje marzenia, gdy mówi:

„Nie chcę huryssy choćby piękniejszéj
Od téj, com niegdyś kochał na ziemi...
Lecz ja nie gardzę dary twojemi,
Ja tylko łaski błagam pełniejszéj:
Za wszystkie—wszystkie twoje huryssy
Niech wstaną moi bracia Farysy!
O pozwól! pozwól! choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnéj naszéj młodzieńczéj sile
Pobujać orlim lotem Farysów!
I piersi dawném orzeźwić biciem
I dawném naszém zabłysnąć życiem...

Prozopopeja jestto wyższy stopień *rsonifikacyi*—bo przez nią—nietylko że istotom i rzeczom martwym nadajemy myśli, uczucie i ruch, ale jeszcze przypisujemy im m o w ę. W mowach pochwalnych, pogrzebowych, kościelnych, postać ta wspaniałą jest ozdobą, gdy mówca własne swe myśli i uczucia kładzie w usta nieżyjących już osób, kraju całego, a także i przedmiotów jakichś, aby usuwając osobistość swoją — przez pośrednictwo innych, silniéj na umysł i uczucie słuchaczów mógł działać.

Tak ks. Antoniewicz na gruzach spalonego w Krakowie kościoła pyta się wieży „pozostałéj i stojącéj jak widmo“

Ależ wieżo! gdzież dzwony twoje? „A wieża mu odpowiada:“ Dzwony moje milczą. Długo dzwoniły jęcząc groźbą i próżbą do ludu całego, aby się nawrócił: bo gniew Boży nad głowami naszemi nad miastem naszém! Ale napróżno! nikt jęku ich nie usłuchał, nikt jęku ich nie rozumiał....

W powieściach, i w ogóle w pismach głębszém nacechowanych uczuciem—prozopopeja podnosi i uwydatnia te uczucia żywo, niezmiernie wiele wdzięku i poetycznéj barwy im dając. Tak p. Rautenstrauchowa w swych podróżach p. t: *W Alpach i za Alpami* w ten sposób każe brzozie wypowiedzieć własne swoje wrażenia i myśli:

„Część drogi przeleciawszy tęsknie i bez celu, błądzące oko spostrzegło przy drodze niedbale zwieszoną brzozę w białéj swéj szacie, z lekkiemi na wiatr puszczonemi warkoczy . . . a widok tego rodzinnego drzewa nieznanego na południu inne obudził, a zatarł tamte wrażenia.

Była-to jakby na spotkanie z domu przybyła siostra... zdało mi się słyszeć czule wymówione słowa: „ Czyś już zapomniała rodzinną twą strzechę? . . . gdzież się w twéj duszy podziały wspomnienia lat dziecinnych , . . młodzieńczych marzeń . . . co może pod obcém nie zakwitłyby niebem!. Czyż nie słyszysz tego głosu, co mówi: pamiętaj i kochaj!“

O Prozie i jéj rodzajach.

Wszelkie pismo dające obraz rzeczywistości nazywa się prozą, która, ściśléj ją określając, ma na celu przekonać, nauczyć, i malować istotną tylko prawdę, wszelkie upiększenia, idealizowania, działające na serce zostawiając poezyi.

Z takiego więc określenia wynika, że ze względu na ducha jakiegoś pisma niejedne wiersze—choćby udatne nawet, najpospolitszą są prozą, gdy nierymowana mowa najczystszą poezyją być może; ze względu jednak na formę, zazwyczaj wszystko, co nie ujęte rymem zaliczamy do prozy, a nazywamy ją piękną, gdy nietylko na rozum, lecz na duszę, serce i wyobraźnią już działa.

Przedmioty jéj są różne, i pisarz—zarówno jak poeta, bierze je albo ze świata zewnętrznego, czyli materyjalnego, albo z wewnętrznego czyli duchowego, albo téż oba te światy połącza wykazując ścieranie się uczuć człowieka ze wszystkiemi wpływami i okolicznościami jakie przeciw nim występują do walki, i odpowiednio do źródła z jakiego płyną,—różne stanowią rodzaje.

Jedne z tych pism mają na celu stósunki rodzinne i społeczne, drugie—kształcenie młodego pokolenia,

inne zatrzymanie w żywéj pamięci ubiegłéj już przeszłości, jeszcze inne uszlachetnienie obyczajów, wykazanie prawdy, podniesienie ducha, a każde znów odpowiednio do celu i zakresu jakie im piszący naznacza, właściwą formę przybiera.

Najważniejszemi z tych różnych rodzajów prozy są: listy, rozmowy, pamiętniki, żywoty, historyja, opisy, mowy, powieści, a z pomniejszych w swoim zakresie są różne broszury, recenzyje, krytyki, i t. p.

Wybierając z nich co najpowszedniejsze i najprzystępniejsze dla ogółu, zajmują nas najwięcéj następujące:

List.

Najpowszechniejszym i przez wszystkich uprawianym rodzajem pisma jest: list, bo poprostu zastępuje rozmowę ustną między osobami, miejscem oddalonemi od siebie. Zwyczajną treścią jego są: rodzinne i serdeczne stósunki, interesa, prośby, lub obowiązkowe zadośćuczynienie grzeczności, to jest: wszystko, co jest zwykłą treścią rozmowy, a list dobrze napisany powinien być wiernem naśladowaniem pogawędek takich: Styl jego ma być jasny, naturalny i zastósowany do okoliczności pod wpływem których się pisze i niema dla niego żadnych innych przepisów prócz tych, jakich przestrzegają w mowie dobrze wychowani ludzie, mający wzgląd na osobę, do któréj się odzywają, a także na przedmiot i cel—w jakim list do niéj chcą pisać. Niéma również żadnéj stałéj formy na początek i koniec listów serdecznych i poufałych, bo tylko w pisanych do osób starszych wiekiem lub znaczeniem, koniecznem jest zatytułowanie go odpowiednie i umiesz-

czenie na końcu kilku wyrazów zapewniających ich o takiém uczuciu, jakie im od nas należy.

Zaczęcie listu, do równych nam i bliskich osób pisanego, powinno odpowiadać temu pierwszemu poruszeniu serca, z jakiém piszący odezwałby się do osoby stawającéj przed nim, — i niecierpliwe pytanie, czy energiczna odpowiedź, dowcipny żart, czy wykrzyk smutnego uczucia, bez żadnych wstępów, zarówno są właściwe, jeżeli z duszy, czy chwilowego usposobienia wypłyną. Daléj — tak jak w potocznéj mowie, tak samo i w liście po pierwszém i nieobrachowaném słowie nastąpić powinno wynurzenie tego, co się w czasie niewidzenia uczuło i stało, a idąc za koleją ważności tych wydarzeń lub wrażeń (bez zostawiania głównéj rzeczy na koniec lub przypisek) należy przeplatać opowiadanie tu pytaniem, tam wykrzyknikiem, tak—jak to w zwykłéj rozmowie ma miejsce. Chociby zaś te wszystkie wieści były najrozmaitszéj i najsprzeczniejszéj treści, przecież w ten sposób wypowiadane być winny, aby się z sobą wiązały jakimś—życiu naszemu naturalnym zwrotem od wesołéj do smutnéj, od lekkiéj do poważnéj rzeczy i wtedy będzie to coś nakształt mozaiki, co z tysiąca drobnych ułożona części, przecież jednolitą utworzy nam całość. Przykładem takich listów bywają najczęściéj listy kobiece dla wrźaliwego ich uczucia i żywéj wyobraźni, z jaką chwytają drobnostki pomijane zwykle przez poważniejsze i głównéj rzeczy szukające umysły; nie brak jednakże w literaturze naszéj ślicznych wzorów listów rodzinnych i poufałych wyszłych z pod pióra znakomitych naszych poetów i pisarzy jak: Zyg. Krasińskiego do swoich dzieci i przyjaciół, Ed. A. Odyńca do Korsaka, i innych.

Że główną cechą tego rodzaju pisma jest naturalność i zupełna swoboda wyrażeń, stąd téż wiele rodzajów prozy podszywa się pod tę formę, aby uprzystępnić to, co z swéj treści—pod inną formą byłoby nazbyt poważném. I tak: formę *listów* przybierają przedmioty nauki, sztuki, rozpraw politycznych, bo dają pole do wypowiedzenia własnych swoich myśli i oderwanych spostrzeżeń i takiemi naukowemi listami są: Ig. Krasickiego o ogrodach, Hugo Kołłątaja w kwestyjach politycznych i w przedmiotach naukowych; Kaz. Brodzińskiego o języku polskim; J. Kremera o sztukach; Zyg. Krasińskiego w przedmiotach uczuciowych i literackich i t. d. W takąż formę *listu* oblekają się także powieści, gdy idzie o to, aby w listach kilku osób wzajemnie piszących do siebie, główne tylko uwydatnić fakta, lub pewne charaktery, wydarzenia i uczucia w jasném nam świetle wystawić, gdy każda z biorących w nich udział z innéj je strony maluje, — albo gdy w listach jednéj osoby tylko — mają się zawrzéć różnorodne i oderwane, a tworzące piękną całość: zdarzenia, spostrzeżenia i myśli. Taką powieść prawdziwie nauczającą: historyczną treścią, a pełną uroku prostotą opowiadania, utworzyła Kl. Hofmanowa w *Listach Elżbiety Rzeczyckiéj* a w takich jak *Krystyna* (téjże) jak *Pierścionki babuni* (Wojnarowskiéj) najpiękniejsze myśli, zasady i uczucia również są w *listach* zamknięte.

Rozmowy.

Rozmowy czyli dyjalogi jako proste następstwo pytań i odpowiedzi, odznaczające się—jeżeli można—jeszcze większą naturalnością jak listy, są nadzwyczaj dogodną formą dowodzenia jakiéjś zasady czy prawdy

przez zadawanie pytań wyczerpujących ją do dna, przez zbijanie zarzutów jéj czynionych, i przez zestawienie różnych o niéj i pojęć i sądów. Osoby więc do niéj wchodzące muszą się różnić albo stopniem wykształcenia, gdy idzie o rzecz nauki; albo poglądem i charakterem swoim, gdy idzie o ocenienie zasług i obyczajów ludzi, i rozmowa taka w pierwszym razie: *filozoficzną* — w drugim *satyryczną* ze względu na tę—czy owę treść będzie.

Starożytni pisarze téj formy używali często, a greccy filozofowie jak Platon, Sokrates i inni, pierwsi jéj wzór podali. Ignacy Krasicki na wzór Lucyana (również greckiego pisarza) pisał: *Rozmowy zmarłych* w których sławni mężowie nasi—ze sobą, jak np: Kazimierz W-ki z Bolesławem Chrobrym, lub ze zmarłymi w starożytnym świecie jak Stefan Czarnecki z Fabijuszem, Piast z Daryjuszem, wiedli te rozmowy dla uwydatnienia wzajemnych zasług swoich. W dawniejszéj naszéj literaturze mieliśmy także rozmowy Reja: *Wyrwasa z Dykasem*, *Plebana z kmiotkiem* i inne; Górnickiego Łukasza — *Rozmowa Polaka z Włochem* o niestałéj u Polaków odzieży, w dzisiejszych zaś czasach rozmów użyto dla rozwijania w dzieciach pojęcia o cnocie i nauce, bo forma ta, czyni nadzwyczaj łatwym i popularnym wykład przedmiotów poważnych, dając sposobność wyjaśnienia ich w najprzystępniejszy sposób. Rozmowy takie pisał St. Jachowicz, Kl. Hoffmanowa przeważnie w rzeczach moralności tyczących, a w rzeczach nauki odznaczają się: *Wieczory Czwartkowe* traktujące fizykę z przedziwną łatwością i prostotą przy całéj gruntowności przedmiotu.

Żywoty czyli Bijografija.

Jak wiele pism innych tak i **bijografije** czyli pisanie żywotów znakomitych ludzi od Greków początek swój wzięły a upowszechniły się wielce, z powodu nauki jaką nam w żywych przedstawiają przykładach. Pamięć pozagrobowa—jest na ziemi najwyższą i jedynie może godną nieśmiertelnego ducha nagrodą lub karą za jego czyny i uczucia. Kto więc za życia miał jakieś ważne do spełnienia zadanie, tego charakter i czyny a nawet i słowa poddają pod sąd współczesnych, by hołdem mu złożonym potomnych zachęcić, lub potępiającym go wyrokiém powstrzymać ich od naśladowania tegoż. Takiemu sądowi—głównie podlegają ludzie biorący udział w sprawach krajowych czy-to mieczem, czy piórem,—czyli téż słowem żywém, a wtedy bijograf maluje epokę w jakiéj żyli,—wypadki, w których czynny udział brali, pracę jakiéj dokonali i z historyczną ścisłością przedstawia moralną i umysłową ich stronę. Do historyi i literatury takie bijografije są konieczne; w pierwszéj dla sprawiedliwego osądzenia czynów człowieka według pobudek jakiemi się kierował,—w drugiéj: dla sprawiedliwego ocenienia prac jego umysłu, względnie do ducha czasu, i indywidualności pisarza. Takich ludzi Żywoty, pisali: And. Trzeciecki—Żywot Mikołaja Reja; Jan Śniadecki, Naruszewicz, Hoffmanowa, Bartoszewicz, Pruszakowa Wł. Wojcicki i inni.

W Cmentarzu Powązkowskim wydanym p. K. Wł. Wójcickiego znajdują się także pięknie skreślone żywoty nietylko głośnych w świecie, ale i takich ludzi, co nie występując po-za granicę prywatnego, rodzinnego życia, zasłużyli jednak na bardzo chlubną pamięć, przez cnoty swoje i ciche a gorliwe s[illegible] obowiązków powołania swego.

Pamiętniki.

Pamiętniki — są to pismem zebrane osobiste wspomnienia ludzi, którzy — albo wiele czuli i chcieli swemu sercu ulżyć tym sposobem, albo jakiś udział brali w ważnych wypadkach krajowych i chcieli je upamiętnić, zapisując wszystkie swe czyny i koleje życia, a także i wydarzenia, które przed ich oczyma płynęły.

Ważny-to rodzaj jest pisma, bo pamiętniki takie, mogą być bogatym dla historyi materyjałem, a w każdym razie zajmują one żywo, dając obraz życia, wyższych zazwyczaj umysłem czy stanowiskiem ludzi. W starożytnych jeszcze czasach — już zajmowano się ich spisywaniem — i doszły nas pamiętniki Julijusza Cezara o wojnie z Gallami; w naszéj zaś literaturze, od XVII-go wieku coraz więcéj upowszechniać się zaczynały. Z tego-to wieku mamy wysoko cenione pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, który w swych zapiskach dla siebie samego czynionych, zostawił nam dokładny obraz spółczesnych mu ludzi i obyczajów. Z XVIII-go wieku mamy pamiętniki: Karpińskiego, Niemcewicza, Jędrzeja Kitowicza i innych, zawierające historyczne fakta podczas panowania Augusta III-go i Stanisława Poniatowskiego zebrane, — a jeszcze późniejsze czasy dały życie wielu bardzo pamiętnikom — przez różnego stanowiska ludzi pisanych.

Formę pamiętników przybierają: charakterystyczne obrazy ubiegłéj już przeszłości, — jak np: *Pamiętniki kwestarza* Ignacego Chodźki i *Pamiętniki Soplicy*, Rzewuskiego, a także i powieści głęboko uczuciowe, w których autor głównym osobom każe wszystko samym o sobie mówić, aby ich wrażenia, uczucia i myśli z najsubtelniejszą ścisłością odmalować

się mogły. Do takich powieści należą: *Wspomnienia wygnanki* P. Kraków; *Pamiętniki młodéj siéroty* tejże; *Pamiętniki Wacławy* Elizy Orzeszkowéj, i inne, a na czele wszystkich postawić należy *Dziennik Franciszki Krasińskiéj* przez Kl. Hofmanową pisany, który ślicznym, i prawdziwie znakomitym jest jéj utworem.

Historyja.

Historyja jest obrazem przeszłości i wiernem zebraniem wypadków składających się na losy pojedyńczych lub wielu razem narodów i odpowiednio do swego zakresu jest powszechną, lub szczegółową tylko.

Początek historyi jest w kronikach — czyli rocznikach, spisywanych po klasztorach przez zakonników, którzy je pisali w języku łacińskim, z powodu niewyrobienia polskiego. Kroniki te jednak kraj cały obchodziły — bo zbierano w nich nietylko dowody poczynionych klasztorom nadań i fundacyj, ale zarazem kréślono wypadki rodzinne i czyny fundatorów klasztornych, którymi, że zwykle bywali książęta i panowie znakomici wielkie znaczenie w sprawach kraju mający, ztąd życie każdego — było cząstką życia narodowego i na całość się jego składało.

Te to kroniki, wraz z podaniami ludu, pamiętnikami i dokumentami, stały się bardzo ważnym materyjałem do utworzenia historyi, która obejmuje nietylko już wypadki polityczne i sprawy wojenne, ale i całe życie narodowe, malując dzieje kościoła, oświaty, przemysłu, handlu i wszystkich wydarzeń wpływających na wzrost lub téż upadek narodu.

Zadanie historyi jest wielkie i bardzo ważne dla

potomnych czasów; wskrzeszając nam przeszłość ubiegłą, uczy nas ona zarazem, co z niéj jak świętą po praojcach spuściznę przechować mamy w uczuciu, a co nam za smutną, lecz pełną nauki przestrogę na przyszłość może posłużyć. Z tego téż to względu spisywanie dziejów narodowych o ile ważném, o tyle jest trudném dla historyka zadaniem. Nic-tu jego uczucie ani wyobraźnia według swéj woli tworzyć nie ma prawa; wszystko na autentycznych, pod ścisłą krytyką rozpatrzonych dowodach, opierać się musi, a historyczna prawda, zarówno nienawiścią do swych przeciwników, jak miłością do kraju swojego, naruszoną w niéj być nie może. Sumienność bez granic, bezstronność zupełna, wyższość moralna nie lękająca się namiętnych sądów ludzkich, wykształcenie wysokie i wszechstronne, umiejętność wynajdywania i korzystania ze źródeł historycznych, są to niezbędne przymioty, jakiemi historyk odznaczać się powinien.

Podróże.

Stósownie do celu w jakim kto podróże swoje odbywa i opisuje, stają się one: naukowemi lub opisowemi, a nawet do działu powieści zaliczonemi być mogą.—Naukowe—dają nam tylko statystyczne wiadomości o krajach zwiedzanych; opisowe—rzucają jeszcze światło na umysłowe ich życie, na ich obyczaje, na sztuki; powieściowe—urozmaicone są jeszcze osobistemi wrażeniami i przygodami piszących.

Między podróżami jakie liczymy w literaturze naszéj wyróżnia się: *Pielgrzymka do Ziemi Swiętéj* X. Hołowińskiego, którą przed nim odbył i opisał: Mikołaj

Radziwiłł Sierotka; *Podróż do Włoch* Józefa Kremera w któréj głównie miał na celu tylko sztuki piękne; *Kartki z podróży* J. Ig. Kraszewskiego; Podróże Kl. Hofmanowéj; *W Alpach i za Alpami* Łucyi z Gedroiców Rautenstrauchowéj; *Miasta, Góry i Doliny* — (téjże) wchodzą już w zakres powieści, a do tegoż rodzaju zaliczają się: Podróże Ewy Felińskiéj po Syberyi, i Podróże Tripplina—które jednak, mimo wielu zalet stylowych, mianowicie dowcipu i żywości opowiadania, nie mają wielkiéj wartości dla braku *prawdy*, która podstawą takiego pisma być winna.

Przysłowia narodowe.

Każdy z osobna naród, ma swoje własne przysłowia, w których zawiera prawdy moralne, spostrzeżenia czynione nad ludźmi i życiem, a są one tak dalece objawem jego osobistych uczuć i myśli, że nigdy dosłownie na obcy język tłomaczone być nie mogą, bez zatarcia ducha, jaki się w nich odbija. np:

„Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Cudze ręce lekkie, ale niepożyteczne. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.“

Podstawą takich przysłów jest, albo jak w powyższych: prawda moralna; albo jaki wypadek historyczny, albo zdarzenie miejscowe, którego pamięć lud przechowuje i umie zeń zręcznie korzystać, zastósowując je do odpowiedniéj mu okoliczności. I tak z historycznych są takie jak:

Sprawił się jak rycerz z Babińskiéj wyprawy.

Porwał się jak gdański burmistrz na polskiego króla[1])
Plecie jak Piekarski na mękach

Okolicznościowe:

Szkoda czasu i atłasu. Wyrwał się jak Filip z Konopi. Ślusarz zawinił, kowala powiesili. Wyszedł jak Zabłocki na mydle. Znać pana po cholewach i t. d.

W epoce Zygmuntowskiéj zbierali te przysłowia: Salomon Rysiński i Grzegorz Knapski; późniéj: K. Wł. Wójcicki, Maks. Fredro, Karol Lipiński,—i wydali je dla przechowania wspomnień narodowych i dopełnienia dziejów ojczystych, wykazaniem ducha i obyczajów naszych.

Myśli i zdania.

Znakomici pisarze,[2]) gruntownie pojmujący treść życia ludzkiego, podstawę jego szczęścia,—i obowiązki względem Boga—kraju i bliźnich, w krótkich—oderwanych zdaniach wypowiadali swoje przekonania, zawierając w nich wielką prawdę religijną albo téż moralną; piękny objaw zacnego pojmowania rzeczy, lub trafny pogląd na stósunki społeczne, i myśli te wraz ze zdaniami, jakich mnóstwo mamy w Piśmie Świętém, stanowią głęboką dla nas naukę, jak w przytoczonych tutaj naprzykład:

Wierny przyjaciel jest mocna obrona; kto go znalazł—skarb znalazł. Jałmużna nie zuboży; prawda nie ohydzi, statek nie oszpeci, msza nie opóźni.

1) Za Zygmunta II-go. 2) Za Stefana Batorego. 3) Za Zygmunta III-go
2) Krasicki. Potocki. Woronicz, Mickiewicz, Morawski, Brodziński i inni.

Prawdziwie mądrym jest, kto pełni wolę Boga a swojéj się wyrzeka. Prawdziwie jest wielkim, kto ma wiele ducha miłości. (Z pisma Świętego)

Dobrze czyniąc innym, sobie łaskę wyświadczasz; milsze jest czucie prawemu sercu, gdy daje, niż gdy bierze.

Wiele umie, kto nie umie nad potrzebę. Nic nie sprawi, kto serca nie ma. Dość z siebie czyni, kto wykonywa co może. Kto tylko tego szuka, co jest łatwém, nigdy tego co jest wielkiém nie znajdzie. Nie wymagaj niczego po ludziach, a wszystko ci odbiorą. Ten nie żył, po kim piękna pamięć nie została. Kto się na swój rozum zupełnie spuszcza, pyszny racéj, a nie mądry. i t. d.

Powieść.

Powieść—obszerny ma zakres i wysokie stanowisko zajmuje w literaturze tegoczesnéj, ale u nas taka—jaką ją dziś znamy, dopiéro od roku 1831 rozwijać się poczęła, gdy po wielu próbach od końca XVIII wieku aż do powyższéj daty dokonywanych, na właściwą drogę dla siebie trafiła. Naprzód, wziąwszy za swój przedmiot życie polityczne narodu, jego obyczaje i jego potrzeby, pojawiła się w charakterze powieści: tendencyjnych i historycznych; w następnéj zaś epoce jéj rozwoju—wyrobił się jeszcze rodzaj powieści: obyczajowych, moralnych i humorystycznych.

Najpierwszym pisarzem powieści był u nas Ignacy Krasicki, (urodzony w roku 1734 † 1801) który dał wzór do pisania powieści: *tendencyjnemi* (czyli *dążnościowemi*) nazwanych.

Powieść tego rodzaju ma na celu wykrycie wad społeczeństwa całego, lub jego pewnéj części;—wykazanie potrzeby zreformowania jakichś ustaw lub instytucyi, a w ogóle—dąży do poprawy obyczajów i takie-to dwie powieści Ig. Krasicki napisał. *Pan Podstoli* sta-

nął jako wzór zacnego i rozumnego obywatela kraju, a *Przygody Mikołaja Doświadczyńskiego* wykazały go takim, jakimi byli wszyscy naonczas z ich lekkomyślnością, marnotrawstwem i zamiłowaniem obczyzny. W rodzaju *Podstolego* — i jakoby dalszy jego ciąg, napisał Massalski p. t. *Podstolic—czyli czém jesteśmy i czém być powinniśmy.*"

Z nowszych pisarzy, w rodzaju tendencyjnych powieści, Jan Zacharjasiewicz odznaczył się takiemi jak: *Swięty Jur*, jak: *Na krésach* ze stósunków księstwa Poznańskiego schwyconą i *W przededniu* na późniejszych wspomnieniach osnutą.

Romans historyczny — jest obszernego zakresu powieścią, będącéj właściwie dopełnieniem historyi ze strony jéj wewnętrznéj, to jest, ze strony uczucia i myśli. Przedmiotem jéj jest jeden wielki ustęp z dziejów narodowych, ubarwiony dodatkami i szczegółami z życia osób biorących w nim udział, w celu odmalowania wszystkiego, o czém historyja przemilcza, a co ma ścisły z nią związek jak: rodzinne stosunki, zwyczaje, obyczaje, a nawet domowe urządzenia, zabawy i ubiory z pewnéj epoki schwycone. Walter-Skott, pisarz angielski, dał początek takim romansom [1]) a za jego przykładem poszedł Julijan Ursyn Niemcewicz, napisawszy powieść z czasów Zygmunta Augusta: *Jan z Tenczyna*; późniéj: Feliks Bernatowicz, którego *Pojata córka Lizdejki*, czyli *Litwini* w XIV wieku była pięknym i starannie obrobionym romansem historycznym, trzymającym się ściśle *prawdy* ze względu na osoby, fakta historyczne, miejscowości opisywane, i ten był na obce

1) Tłomaczone przez Dmochowskiego.

języki tłomaczony. Daléj—Aleksander Bronikowski pisał takież powieści, z których najpiękniejszą jest: *Hipolit Boratyński* z czasów Zyg. Augusta, a dzielniejszym od niego malarzem historycznéj przeszłości był: Henryk Rzewuski w romansie: *Zamek Krakowski*—a więcéj jeszcze: w *Listopadzie;* Zyg. Kaczkowski—w takich ślicznych utworach jak *Dziwo-żona*, *Sodalis Marianus*, *Annuncyata* z czasów konfederacyi Barskiéj, *Bracia ślubni* z czasów St. Poniatowskiego, — *Starosta Hołobucki* — z tychże; J. Ig. Kraszewski w powieściach: *Kordecki*—z wojen szwedzkich;—*Zygmuntowskie czasy* i innych.

Powieść obyczajową polską stworzył pierwszy Józef Ignacy Kraszewski i dał jéj za tło całe życie społeczne ze wszystkiemi jego cnotami i wadami,—z jego marzeniem i rzeczywistością,—zabiegami i zawodami, i odtąd to wszystko przedmiotem jest tego rodzaju powieści.

Ślicznie się ona rozwinęła pod piórem swego twórcy, a także: Zyg. Kaczkowskiego,—Józefa Korzeniowskiego, Zacharyjasiewicza, Pługa i innych—i wysokie stanowisko w literaturze naszéj zajęła, bo jest obszernem polem do wypowiedzenia głębokich prawd, szlachetnych zasad i do wpłynięcia na obyczaje społeczne. Ztąd téż każda powieść musi mieć jakiś cel czyli założenie będące ideą pisarza, który ją w ciągu powieści rozwija i przeprowadza w ten sposób, aby w końcu, po przeczytaniu dzieła, — była ona jasną i wybitną wśród wielu szczegółów i dodatków, służących tylko do plastyczniejszego jéj uwydatnienia i zjednania dla niéj przekonania czytelnika, a które to dodatki właściwie są tylko formą zewnętrzną, czyli téjże *idei* sukienką.

Wielu jednakże warunkom powieść odpowiedzieć

musi, aby była tém, czém być w istocie powinna; bo jeżeli który, to ten rodzaj pisma, w całém znaczeniu tego wyrazu powinien mieć za podstawę: prawdę, za środek do jéj wykazania piękno, a za cel swój dobro, i brak jednego tylko z tych warunków odbiera jéj prawo do uznania wszystkich innych w niéj zalet.

I tak: w powieści wymagamy prawdopodobieństwa—co do charakterów i uczuć wprowadzonych osób, do obyczajów, wydarzeń i miejscowości w niéj opisywanych; piękna—w pełném wdzięku i uczucia malowaniu obranego przedmiotu, w obmyślaniu żywo interesujących wydarzeń i położenia działających osób, w wytworném i ozdobném wysłowieniu, a wystrzeganiu się wszystkiego, co razi ucho dobrze wychowanych i uczucie zacnie myślących ludzi; dobra—w uszanowaniu zasad moralnych i religijnych, w zacném dążeniu do rozwinięcia pojęć o obowiązkach i cnocie, do wykazania w czém wielkość i szczęście człowieka prawdziwe, a obudzeniu wstrętu ku temu, co jest ohydném i niskiém.

Jeżeli powieść prawdobieństwa nie odbije w treści, to piękno formy utraci cały swój urok, bo niéma piękna bez prawdy. Jeżeli się znajdzie prawdobieństwo bez piękna w jego przedstawieniu, to nie zająwszy, nie trafi téż do przekonania i uczucia drugich; — najgorzéj zaś,—jeżeli w powieści znajdzie się piękno bez dobra na celu, bo wtedy złe jest poetyzowane, a w pociągającéj serce formie przedstawione, fałszywą drogę życia ukazuje,—brudzi myśli i uczucia, przytłumia głos surowych obowiązków i prawdy i do zepsucia obyczajów prowadzi; dlatego téż czytanie powieści bez wyboru i umiejętnego kierunku największą szkodę duszy i umysłowi przynosi. O takich-to utworach powiedział Józef Kremer, iż „po przeczytaniu dzieł

tego rodzaju, gdy spojrzysz w siebie rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątnicy zrabowanéj i znieważonéj od hordy złodziejów; ołtarze obdarte, świecznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione, albo zdeptane i sponiewierane.“

Z powieści odpowiadających wszystkim powyższym warunkom: najwyżéj stoi *Spekulant* Korzeniowskiego, a daléj: *Garbaty*, *Emeryt*, *Wędrówki Oryginała*—tegoż; *Dziwadła*, *Świat i Poeta*, *Chata za wsią* i wiele innych Kraszewskiego; *Handzia Zachornicka* i *Szandor Kowacz* Jeża; *Oficyjalista* A. Pługa, *Wnuczęta* Kaczkowskiego *Marek Poraj*, *Marcyan Kordysz*, *Czerwona czapka*, *Wiktorya Regina* Zacharjasiewicza: i t. d.

Z kobiet piszących piękném piórem i w duchu prawdziwéj moralności odznaczyły się: Kl. Hoffmanowa, w takich powieściach jak: *Jan z Czarnolesia i Krystyna*; Elżbieta Jaraczewska: *Wieczór Adwentowy*, *Zofija i Emilija*; *Pierwsza młodość, pierwsze uczucie*; Gabryela z Güntherów Puzynina, Maryja z Chomętowskich Borkowska (b. Redaktorka *Kółka Rodzinnego*) Maryja Ilnicka Redaktorka *Bluszczu*, Paulina Wilkońska autorka powieści: *Wieś i Miasto*, *Mrowin i Trock* i innych; Narcyza Żmichowska, która wypowiedziała wiele pięknych prawd i głęboko uczuciowych myśli—w opowiadaniach prozą, mającéj prawo liczenia się do poezyi. Dzisiaj—odznaczają się talentem: Waleryja Morzkowska i Orzeszkowa Eliza.

Powieść moralna ma na celu w pięknych obrazkach dać młodzieży i dzieciom wzór cnoty, zaszczepić w nich zasady moralności prawdziwéj, zachęcić do nauki i pracy, rozbudzić w nich szlachetne popędy, a wy-

stawić zarazem szkodliwość wszystkich wad i nałogów ich wieku. Na tém polu nieoszacowane zasługi położyli Teofil: Nowosielski, Kl. Hoffmanowa, a daléj Paulina Krakowowa, Pruszakowa, Prusiecka, Trojanowska (Horoszkiewiczówa), Izdebska, Kamieńska, Jan Kanty Gregorowicz jako Redaktor *Przyjaciela Dzieci.*

Powieść humorystyczna jest rodzajem dowcipnéj satyry wymierzonéj przeciwko wszystkim, nietyle wadom, ile śmiesznościom społeczeństwa, a tym rodzajem powieści odznaczył się August Wilkoński autor *Ramot* i *Ramotek*; A. Wilczyński autor *Starego komendanta* i innych drobnych powieści; Jordan autor *Wędrówek Delegata.*

Powieści ludowe,

Jakkolwiek powieści ludowe [1]) były pierwszą rodzimą powieścią,—uważamy je jednak za ostatni rodzaj prozy bo są najbliższe poezyi, i jeżeli formą do pierwszéj, to duchem już do téj drugiéj się liczą.

Powieść ludowa, z legendami, podaniami i pieśnią, jest gruntem, na którym się oparła i zakwitła czysto narodowa literatura nasza; niewykwintna formą, całe skarby uczucia i fantazyi zawiera w sobie jednakże. W swoich podaniach historycznych przechowała takie wspomnienia, jak o królowéj Kindze; w miejscowych—otacza urokiem nadzwyczajności i cudów Krzyże i figury przydrożne, niedostępne miejsca lasów ś-to Krzyzkich,—wierzchołki ich gór Łysą górą nazwanych,—sterczące głazy i skały, źródełka i pieczary; w utworach swéj wyobraźni dziwnie jest poetyczna jak: w określeniu szczęścia ludzkiego przez symboliczną paproć; a w opowieściach z życia swojego schwyconych, tworzy nieraz całe poemata wiary, miłości i poświęcenia, jak: w Marysi sierotce, służącéj u Matki Boskiéj i gotującéj na Jéj słowo z kilku ziarenek kaszki cały obiad dla swéj pani, dla siebie, dla pieska i kotka; jak w Urocznych oczach, które ojciec poświęca dla szczęścia dziecka swojego, jak w chłopku topiącym się dlatego, by nie zanieść *powietrza* do swojéj wioski rodzinnéj.

1) Zwane *klechdami* od *klechy* sługi kościelnego, który jako najmędrszy we wsi—najlepiej opowiadać je umiał.

Odgadli w nich te skarby ludzie wysokiéj za to zasługi jakimi są K. Wł. Wójcicki, Karol Baliński, Michał Gliński, Żegota Pauli, Roman Zmorski, Barszczewski, Adam Czarnocki, (Zoryan Dołęga Chodakowski) Ludwik Jucewicz, i inni; oni-to jasno zrozumieli, że trzeba się nam zwrócić do owego źródła niewysłowionych piękności, z którego lud je czerpał, i że tylko po nitkach z jego piersi i myśli wysnutych dojdziemy do owego gruntu, na którym jedynie—może śmiało stanąć i wznieść się wysoko pyszna budowa, wyrobionego już słowa. Zebrali więc owe baśnie, podania i pieśni, i wydali drukiem pomiędzy 1825-tym a 30-tym rokiem, i dopiéro na tle uczuć i pojęć w nich zamkniętych, wielcy nasi pisarze i poeci osnuwają swoje pełne uroku pieśni i powieści, bo wszystko to są rzeczy, z których tryskające myśli obejmują niebo, ziemię i bliźnich, i o których nasz wielki wieszcz powiedział:

„O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty."

Z Konradą Mickiewicza.

Podział stylu ze względu na epokę. (wiek)

Uważając styl za zewnętrzną formę w jaką układamy swe myśli, można go słusznie przyrównać do ubioru, podlegającego różnym zmianom stósownie do ducha czasu, czyli inaczéj mówiąc: do charakteru wieku, który ze zmianą wypadków składających się na historyją kościoła, oświaty i całego kraju—kładł także cechę swoją na stroju ciała i myśli.

Zmiany te uderzające są w wieku XVI-ym, XVII-ym, XVIII-ym i XIX-ym, bo poprzedzające były tylko jakby przygotowaniem do tego, co się na nasz *Wiek złoty* złożyło, od którego-to, styl polski zaczyna swoje koleje.

W wieku tym słusznie: *złotą epoką* nazwanym, język wyrabiający się na tłomaczeniu Pisma Ś-go znalazł w swym skarbcu wyrazy na odmalowanie i pełnych prostoty obrazów patryarchalnego życia pierwszych ludzi Starego Zakonu i najwznioślejszych Objawień,—najgłębszych Tajemnic—Nowego; styl zaś naginający się do wzorów Greckich i Rzymskich pisarzy, przyswoił sobie ową zwięzłość, jędrność i siłę, do jakiéj nawykł, wyrażając się przez kilka wieków w ich mowie. Pisarze ówcześnie czysto *szlacheckiego* nastroju, występują jako stróże cnoty, moralności i obyczajów narodowych; zbierają wspomnienia przeszłości, wyświetlają zasługi przodków, rozbierają kwestyje polityczne i religijne, a wszystko to były przedmioty poważne, malujące życie rzeczywiste i surowo pojęte obowiązki obywatelskie, więc styl tego rodzaju doskonale się do nich nadawał i najwłaściwszą był formą téj myśli, w jakiéj się duch narodowy objawił.

Mniéj od dzisiejszego gładki i ozdobny, pozostanie

na zawsze wzorem stylu dobrego, bo oprócz powyżéj wymienionych zalet, cechowały go jeszcze i wszystkie inne, jakieśmy za główne przymioty stylu uznali, to jest: naturalność, prostota, przedziwna czystość pod względem wyrazów, a także: i zwrotów języka.

Wiek XVII (aż do połowy XVIII) był najsmutniejszym czasem dla oświaty i literatury naszéj, a styl ówczesny daje wymowne świadectwo o upadku języka i piśmiennictwa naszego.

Epoka-to przewagi *panów* w widokach własnych posługujących się szlachtą; więc rozwiały się dawne jéj tradycyje,—duch narodu przestał tworzyć samodzielnie i umilkł w obec głosu podnoszącego się na schlebianie próżności magnatów, dla czysto materyjalnych korzyści. Z drugiéj znów strony—system uczenia po szkołach doprowadził do tego, że językiem pokaleczonym wyrazami i całemi łacińskiemi zdaniami pisasano w sposób tak napuszony i górny, że stylowi zabrakło nawet najważniejszéj podstawy, nietylko zalety, bo jasności w myślach, a naturalności w wypowiedzeniu tychże. W panegirykach układanych na cześć panów, a nawet ich herbów rodzinnych, przy ubieganiu się za szumnobrzmiącemi, a bez żadnego sensu wyrazami, nie umiano się zdobyć nawet na prosty tytuł dla swych dziwacznych utworów.

Jedna tylko historyja pod formą pamiętników, prawdą i życiem na tle téj panegirycznéj literatury jaśniała, a język, pełen makaronizmów w świeckiéj i potocznéj mowie, w ustach kaznodziejów kościelnych pięknie o własnéj już sile, się rozwijał i nie oglądając się na klassyczne wzory, natchnione myśli malował przecudnie, w sposób nieuczony, stylem—aż rubasznym mo-

że wielką prostotą swoją—ale niemniéj przez to—przemawiającym do duszy.

Świetne-to były wyjątki—ale zawsze *wyjątki* i dlatego wiek ten zasłużył na napuszoną, w skażonym języku nazwę: *scholastyczno—makaronicznéj—panegirycznéj* epoki.

Wiek XVIII (aż 1825) przyniósł wielkie przemiany w wyobrażeniach, obyczajach, a także i w kierunku oświaty i literatury naszéj. St. August rozmiłowany we wszystkiém co francuzkie było, pierwszy daje pohop do przejmowania ogłady, mody, i etykiety tamtejszego dworu, a Konarski dojrzawszy w literaturze kwitnącéj za Ludwika XIV-go myśl zdrową, zdolną usunąć czczość panującą w naszéj—daje ją za wzór do naśladowania pisarzom i poetom ówczesnym.

Wznosi się więc oświata, — ale obce wpływy zawładnęły myślą i na obce nam pole niewiary i materyjalizmu sprowadziły ducha, literatura więc czysto-narodowa nie rozbudza się jeszcze, bo nie na swojskim gruncie, i nie własném uczuciem pisarze téj epoki, tchnąć życie w nią usiłują. Serce ni wyobraźnia nie ma żadnego udziału w ich pracach: historyja i wymowa, tak obszerne teraz pole do rozwijania się mająca, na podstawie: prawdy, rzeczywistości i faktów występuje w poważnéj i uroczystéj formie, a we wszystkich pismach w ogóle, bo nawet w p o e z y i, rozsądek bierze górę nad uczuciem, nauka trzyma wyobraźnią na wodzy i największy nawet talent hamuje się w swobodzie wypowiedzenia siebie, by niczém nie uchybić przepisom przez klassyków francuzkich podanym. Choć więc skutkiem reformy, przez Konarskiego zaprowadzonéj w szkołach, język całą swą świetność odzyskał, choć myśl zdrowsza ozdobniejszą formę przybrała, a styl wyrobił się znakomicie pod piórem Śniadeckich, Trembeckiego, Krasickiego, Woronicza, Piramowicza i innych, to jednak —że był ograniczony formami jakich za przykładem francuzkich, nasi pisarze pilnowali się ściśle,—że myśl w cudze ślady wstępując, nie miała ni żywotnéj treści, ni swobody polotu w wyższe, nad materyjalny—światy, więc ta epoka znowu—wzorów ślepo się trzymająca—nazwę *klassycznéj* przyjęła.

Nareszcie wiek nasz epoką *odrodzenia* nazwany—jeszcze inaczéj tym świetnie już wyrobionym językiem przemówił. Zeszłowieczny styl, naginający się ku pięknu według wzorów francuzkich, teraz w całym blasku odbił nam to piękno, gdy stał się obrazem myśli i uczuć czysto narodowych i swojskich, przechowanych w bajkach, klechdach, legendach i pieśniach, a teraz o d r o d z o n y c h i ze mgły wieków w jasnym występujących blasku. Oparłszy się na gruncie literatury rodziméj, pierwotnéj, wszyscy pisarze i poeci nasi nietylko już świat rzeczywisty, ale świat ducha, świat pełen fantazyi i marzeń malować zaczęli, i styl swój nacechowali uczuciem całego narodu i własnéj swéj duszy, i tą dziwnie lotną wyobraźnią, co wysnuta z myśli ludu naszego, po-za świat materyjalny wybiega. Do wszystkich więc przymiotów jakiemi się odznaczył styl XVI-go i XVIII-go wieku, stylowi naszego czasu przybyło wiele jeszcze uroku i wdzięku, bo językiem prześlicznym i dziwnie harmonijnym dla ucha wypowiada śmiało a naturalnie, ozdobnie a z prostotą, rozumie a z uczuciem wszystko, co tylko czy z świata zewnętrznego czy z duszy piszącego ma jako przedmiot do obrobienia wypłynąć. Nie krępuje się już żadnemi

formami, nie trzyma się żadnych przepisów,—ale swobodnie bieży w ślad myśli i wrażeń pisarza i wypowiadając wszystko, co jego sercu i drogie jest i święte,—co go oburza i boli, co zachwyca i w uniesienie wprawia, każe ludziom płakać od jego tęsknoty i bólu—czcić to co on uwielbia i kocha, rozmarzać się słodkiém, a burzyć namiętném jego uczuciem, unosić się ku temu pięknu, które jego dusza na ziemi i niebiosach dojrzała i w tém pięknie szukać owéj wielkiéj—i jedynéj prawdy, co z Boga poczęta, ku Bogu téż i dąży—i jest jedyną podstawą wszystkiego dobra na ziemi.

WZORY STYLU EPOKI ZŁOTÉJ W WIEKU XVI.

Wyjątki ze Zwyerciadła Reja.

Jakiego ćwiczenia mają życzyć poczciwy rodzicy dziatkom swoim.

„A tak poczciwi rodzicowie mają to sobie iście pilnie uważać w jakie ćwiczenie, a w jakie sprawy dziatki swe wprawować mają, gdyż się przyrodzenie nasze rodzi jako goła tabliczka, a co na niéj napiszą, to już tak zawzdy na sobie nieść musi. Boć mądrość na świecie jest, jakoby jaki ozdobny ratusz w jakim zacnym mieście, rozlicznemi cnotami, jak on ratusz wieżyczkami osadzona. A nauki poczciwe, a ćwiczenia roztropne są jako gościńce, do onego miasta z rozlicznych stron, które łacwie, kto ma baczność roztropną przewodnikiem, doprowadzą do ratusza onego. A tam już między onemi wieżycami rozkosznemi, to jest między cnotami onemi, pewnie sobie znajdziesz spokojną gospodę do każdego poczciwego postanowienia żywota swego!

„Potém, gdy już téż ona młodość podrastać będzie, nie wadzi mu téż *poczetłszy* (poczytawszy) sobie, czego potrzeba nauczyć się: i konika osieść i jako sobie na nim poigrać, a jakoby *gi* téż czasu *potrzeby* (wojny) obrócić. A jeśliby mógł i *drzeweczko* (drzewco, dzida) znieść, tedy i to nie wadzi z nim sobie poigrać, ręką uważać, do pierścionka albo do czapeczki pomierzyć, a poduczać się z młodu, coby sie i czasem z poczci-

wym a nie opiłym towarzystwem posiedzieć, pomówić, pożartować, bo ztąd i ćwiczenie i zachowanie na potym i znajomość *roście*. Niewadzi mu też czasem pouczyć się, i poszermować, i poskakać, na *luteńce* pograć; wszystko to są poczciwe zabawki.

„Przodkowie nasi święci jako pychy używali.“

Zapomniałeś podobno onych świętych przodków twoich, a wielkich miłośników Pańskich, jeśliże też tak wzgórę podnosili głowy swoje, albo jeśliże tak sprośnie nadymali twarzy swoje przeciw bliźnim swoim, albo jeśli tak szukali a zabiegali pożytkom świata tego dla nędznéj a téj szaréj pychy jego. Mało ci znali alabastrów, marmurów, złota, srebra, pstrych opon, i innych dziwnych przysmaczków ku temu u Boga sprosnemu grzechowi. Kwiateczki, a piękna traweczka to było obicie ich: namiotek albo chruściana budka, to były marmury i alabastry ich: podpłomyczek na węglu upieczony, a kawalec baraninki, to były półmiski ich: miłość wierna, powinność życzliwa, sprawiedliwość, bogobojność, pomierność, to były wszystkie ubiory ich, wszystkie klejnoty ich. A zwali się sługami Bożemi, i sługami bliźnich swoich, a patrz jacy tam byli wielcy panowie, oni prorocy, oni zacni patryarchowie, daleko zacniejsi. Nie graniczyli się, nie pozywali się, nie łupili sobie oczu, dla marnych pożytków świata tego, tak jako dziś widzimy, leda dla sprosnéj, a małéj krzywdeczki, nie to człowieka zabić, nie to ręce mu osiec, nie to z majętności jego wypozywać go. A oni święci ludzie, niczym się inszym nie sądzili, jedno prawdą świętą, a cnotami swojemi, a słowa ich były *jest? jest! niemasz? niemasz.!*

„Ale jako nastały odmienności czasów, jako nastały wystawne zamki, kosztowne miasta, dziwne kształty, dziwne ubiory, dziwne a wymyślne, a snadź i z postrachem na poły, jedła a picia rozliczne; także też pospołu z tym nastała sprosna pycha, niepobożne łakomstwo, srogie łupiectwo, okrutna niesprawiedliwość, tak iż się łzy leją niewinnych ludzi, wołając o pomstę do Pana na ty, które tu na to wystawił, aby ich dobrodziejami a obrońcami byli, gdyż je pismo zowie bogi ziemskiemi, a dobrodziejami ludzi im poruczonych. A ztąd

Pan doślepi oczu każdego takiego, że się już nie będzie mógł obaczyć w każdym z tych szkodliwym przypadku swoim, aż go dowiedzie do onych mocnych dekretów Pańskich a do srogiego a pewnego zginienia jego.

Wyjątki z Dworzanina polskiego.

Łukasza Górnickiego.

Była przypowieść u Greków: „Tak żyj, jakoby tego nikt nie uczuł, żeś żył na świecie,“ którą przypowieść Plutarch szkaluje i gani; a wywodzi, iż nikomu w téj ciemności żyć nie przystoi. Albowiem kto cnotliwie a mądrze żyje, ten w kącie nie siedząc i przykładem i pomocą użyteczny ludziom być może; a kto zaś źle a głupie, ten, wżdy (przynajmniéj) nie pokrywając swoich niedostatków, swoich chorób, na takowego człowieka trafić może, który ono wszystko uleczy i naprawi.

Jakoż ja w téj mierze z Plutarchem dzierżę (trzymam) i powiadam, iż tak mądremu jako (i) głupiemu uledz między trupy nie przystoi, ale głupiemu, (gdyż to jest pierwszy stopień do mądrości, chcieć się dać leczyć) do tego się mieć trzeba, żeby za pokazaniem prostoty swojéj ludziom, pozbył głupstwa, a mądremu zaś to należy, iżby obmyślał dobro pospolite; a odnosząc za poczciwe sprawy sławę i pochwałę, nie szedł milczkiem z świata, jako nieme zwierzęta schodzą.

Przymioty dworzanina.

Dworzanin ten mój sercem męzkiém a wspaniałą myślą zawżdy się znacznie popisać ma. Jedno też zaś nie chcę, aby zuchwalstwo w nim panowało, iżby pochmurném wejrzeniem, postawą srogą, odętym wąsem straszyć miał, a nie umiał łagodnie mówić, jedno z fukiem, a wszystko o wojennych rzeczach, a jako zbroja najmiększa jego pierzyna, a z przyłbice (y) najsmaczniejszy trunek: bo kiedyby takowy miał być, prędkoby każdemu człowiekowi obmierzł, a zasłużyłby słyszeć one słowa które poczciwa pani jedna takiemuż zuchwalcowi na biesiedzie,

powiedziała; bo gdy ten po kilkakroć poczczon (uczczony) tém był od niéj, żeby się abo do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wżdy rozmową się jaką z pannami bawił: a każdy raz dobry pan nic innego nie powiedał, jedno, iż to jest lekkich ludzi dzieło, nie jego ćwiczenia rzemiosło. Spytała go nakoniec pani: A to rzemiosło waszmości jakież wżdy (przecie) jest? Odpowiedział jéj, uczyniwszy pierwéj postawę srogą: We krwi, prawi, nieprzyjacielskiéj brodzić, a swéj nie żałować. Rzekła zatém pani: Mnieby się zdało, ponieważ teraz wojny niemasz, abyś dał się waszmość tłustém (tłustością) namazać, a wespółek (razem) ze zbroją i z tém wszystkiém, czego waszmość przeciwko nieprzyjacielowi używasz dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abyś waszmość bardziéj niż teraz nie zardzewiał.“

O Języku polskim.

Z Górnickiego.

Dworzanin będzie miał we wszystkiém gracyą, a zwłaszcza w mowie; jeśli się strzedz będzie wydwarzania, któréj wady pełno wszędzie; podobno u nas w Polszcze więcéj niż gdzie indziéj: albowiem nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczéj mówić jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał: jeśli był we Włoszech to za każdym słowem: Signor; jeśli we Francyi, to: par ma foi; jeśli w Hiszpanii, to: Nos ostros cauaglieros: a czasem drugi chociaż nie będzie w Czechach, jedno iż granice Szląską przejedzie, to już inaczéj nie będzie chciał mówić jedno po Czesku; a Czeszczyzna, wie to Bóg jaka będzie. A jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił: to powiada iż zapomniał, albo że mu się przyrodzony język prawdziwie gruby widzi: czego dowodząc, wyrwie jakie staropolskie z Bogarodzice słowo, a z Czeskiem jakiem gładkiem słówkiem na sztych je wysadzi, aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał: nakoniec i z tym na plac wyjedzie, że niemal każdy w Polskim języku wymowca, Czeskich słów, miasto polskich używa, jakoby to było nazchwał dobrze.

Nie ma się co podobać, kiedy kto mając własne Polskie

słowo, zarzuciwszy one pożycza na jego miejsce z cudzego języka a miasto *Stanów* Koronnych, mówi: *Sławy* koronne, bo to jest nie inaczéj, jedno jako kiedyby kto Polaki wyganiał z ziemię, a Czechy do niéj przyjmował: w czym jakiby był rozum, widzi to każdy. Prawda to jest, gdzieby słowa Polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak ochrzcić miał, albo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi, potrzebowałby cudzego słowa: nietylko tego nie ganię, kiedy z tak podobnego mowie naszéj języka, jak jest Czeski, weźmie słowo, ale też i z Łacińskiego, zwłaszcza jeśliby łatwie ku wyrozumieniu, abo już nieco utarte słowa było, wziąć mu dozwalam. Takżeć podobna naszy wymowce Polscy sławni czynili. Czego nierozumiejąc dzisiejszy z onegoż wydwarzania, które tak bardzo człowiekowi nie przystoi, przyszło im na to, że jęli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów Polskich stawiać Czeskie, dobrze niż nasze podlejsze. Za tym to idzie, iż tych nowych Cyceronów mało rozumiemy; a tego, prosto nic, co nam kiedy na piśmie podadzą.

Nie wiem czemuby inaksze pisanie bydź miało niż mowa; gdyż pisanie nic innego nie jest, jedno jakiś kształt a wyobrażenie mowy, które zostaje, chociaż już człowiek wypowiedział, jakoby wizerunkiem tego, co się rzekło: a prosto jest pisanie ta rzecz, która daje żywot słowom. Otoż ona trudność, która z słów cudzoziemskich roście rychlejby się jeszcze zeszła w mowie niż w pisaniu: bo gdy mówiemy, ci którzy nas słuchają, mogą spytać, jako się co rozumiéć ma; ale kiedy ja cudze pisanie czytam, gdyż nie masz tego co pisał, trudno nam wiedziéć co to jest, czego wyrozumiéć nie mogę. A przeto jeśli mowa nie ma bydź trudna ku wyrozumieniu, pogotowiu pisanie. Zwłaszcza iż uczeni ludzie tak powiadają: że to najcudniejsza mowa, która jest podobna pięknemu pisaniu. Co jeśli tak jest, to pewnie pismu się to nie zejdzie, aby trudne bydź miało, mali bydź mowa każdemu ku wyrozumieniu łatwa.

. . . .

Co się tycze Polskich słów starych, jeżeli je odżywiać mamy tak powiadam: iż ktoby tymi słowy, których teraz używamy, zamietać, a starodawnych na to miejsce chwytać się chciał, nie inaczejby czynił, jedno jako ów, ktoby chciał wzgardziwszy chlebem, żołądź jeść, jako starego wieku ludzie jadają.

Słów używać mamy jako menice, bo której ludzie nie znają, téj nie biorą, także i słów nie rozumieją innych, jedno te, które są w zwyczaju pospolitym. Lecz gdzieby dzisiejszego słowa nie było na tę rzecz, którąby Dworzanin opisać chciał, nietylko mię nie obrazi starożytne słowo, ale ja wolę, niż cudzoziemskie.

A com mowę Łacińską wspomniał, widzę bydź ten obyczaj, iż niektórzy naszy, chcą pokazać, iż wiele umiejąc co trzecie słowo to po Łacinie mówią: a może je przyrównać do owéj kuffy, w któréj troszkę wina; albo do pęcherza, w których jedno kilka ziarn grochu; albowiem gdy zakołaczesz w próżną kuffę, wielki dźwięk daje, a pełna nie; jako i pęcherz pełen grochu. Także i ci, iż kilka tylko słów umieją, więc z nimi coraz na plac: a w tym i ono głupie swoje wydwarzanie pokazują i drudzy ich nie rozumieją.

. . . .

Wyjątek z mowy ks. Piotra Skargi.

miancj na pogrzebie Królowéj Polskiéj Anny Jagiellonki d. 12 Listopada 1596 r. w Krakowie.

Godzi się po śmierci człowieka pobożnego chwalić, przykład cnót jego ludziom zostawić, pamiątką wieczną dobroć jego uczcić, i żałować a płakać śmierci jego.

„Przed śmiercią nie chwal nikogo,“ dla odmiany i nie dotrwania, któremu ludzka słabość podległa; lecz po dokonaniu pracy i drogi żywota tego, i po skończeniu roboty „chwalmy dobre robotniki,“ aby wspominanie ich było ku błogosławieństwu, nam do zbudowania, onym do zapłaty, Nie będziem chwalić téj białéj głowy Królewskiéj z urody i wdzięczności, bo to lekkie i spólne ze złemi dary; ale jako mędrzec każe, z bojaźni Bożéj i z cnót, które z niéj rosną, sławić je winni jesteśmy. Pierwéj jednak włożyć to chcę do serc waszych dla zbawiennéj przy pogrzebie nauki: jako śmierć wielkich ludzi płci obojéj, większe w nas użalenie nad ludzką nędzą wzbudza; jaśniéj w niéj na słabość szczęścia świeckiego patrzymy: znaczniejszy jest i głośniejszy ich upadek, większa w nich bojaźń

mocy Boskiéj, straszliwszy do sądu Bożego przystęp, większa szkoda i żałość, gdy wielkiego i królewskiego stanu ludzie umierają.

Okrom samego w ciele żywota niewiele ubogiemu śmierć odejmuje. Mało miał, niewiele traci, i nie jest wielkie nad śmiercią jego użalenie. Lecz człowiek stanu i szczęścia wielkiego, z bogatego staje się ubożuchny nędznik; póki żył, tysiącami szafował, skrzynie złota i srebra napełniał; swojem to być mienił, i w tém się kochał i przygód żadnych się nie bał: a gdy zasnął nic nie znalazł w ręku swoich! Ze wszystkiego złupiony i odarty, jako pojmaniec najnędzniejszy został. Z owego rozkosznika w potrawach, w szatach, pościeli, jedwabiach, w woniach drogich, staje się brzydki i sprosny trup; z owego podniosłego i gromadnego wielkim dworem ludzi ubranych i zacnych otoczonego, staje się u grobu i w ziemi, odbieżany, wzgardzony i osierociały. Z owego możnego, przed którym wszyscy drżeli, staje się pośmiewisko i wzgarda; jako straszydło u prosa, po którym ptacy depcą, co naprzód przystąpić do niego nie śmieli. Z onego, który do siebie wszystko garnął, zbierał, brał, zamykał, ściskał, stała się rozbita puszka, w którą młot śmierci uderzył, i z niéj wszystko wysypał.

O! dziwna i straszliwa odmiano! Tak gdy Amaza wielki Dawida Króla hetman, zabity, na drodze z wyciekłemi trzewy leżał, żołnierze mijający mówili: „Onże to tak wielki Pan co chciał być na miejscu Joabowem? patrz na co przyszedł.“ Gdy Jezabelę, przed którą ziemia drżała, z okna zrzuconą i zdeptaną kopytami końskiemi, psy jadły, lud mówił? „Onaż to Jezabel?“ Srogie i ciężkie odmiany w śmierci panów wielkich; smutne użalenie nad nędzą ludzką pobudzają, czego na ubogich i nizkich ludkach nie znać.

Na wielkich panach gdy umierają, łacniéj doznawamy słabości wszystkiego ludzkiego szczęścia i niepodobnéj naprawy i trwałości jego. Gdy ubogi umarł, mówimy: nędza go i niedostatek umorzył; nie miał co jeść, grubemi potrawami się zepsował, i robotą zerwał: nie miał się czem leczyć, ani barwierza, ani doktora mieć nie mógł, ani lekarstw potrzebnych. A panu wielkiemu z Indij lekarstwa przywożono, z Włoch doktory miał, co najkosztowniejszych i najzdrowszych potraw używał, a przecię nic nie pomogło, odjąć się śmierci nie mógł.

Gdy ubogiego kmiotka zabija i wszystko po nim zginie, nie dziwujemy się i ludzkiéj niepotężności nie znamy, bo mały odjąć się nie mógł, i jako robak zdeptany jest. Ale gdy pan i król wielki, który takie wojska i taką straszliwą moc i dostatek wojenny i domowy miał, upadnie i polęże, i wszystko się po nim rozproszy, dopiéro mówimy: „Nie na świecie nie masz mocnego ani trwałego, odmiana i nędza najwyższe szczęście czyni, trochę się ukaże, a wnet odbieży i zdradzi.“ Gdy kto ubogi umrze, wstrzęsienia, wzruszenia i odmian żadnych po nim nie masz; jakoby liść z dębu cichuchno zleciał, jako o jego narodzeniu tak téż o śmierci ledwie kto wiedział i nie masz po nim rozruchów ani swarów, ani niepokojów, ani odmian. Lecz gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny ogromny głos i trzask lecąc na ziemię uczynił. Wszyscy się przelękli, drudzy w niepokoje i w swary wielkie po nim wpadli: drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli, i jest z śmierci panów i królów większy przestrach i nauka dzielniejsza. Przestrach jest, bo jeśli lew tak poległ, a cóż szczeniątko? jeśli się dąb tak mocny obalił, a cóż z małą wierzbinką będzie? Nauka jest, iż szczęścia świata tego, nie takie są jako się widzieć dadzą, ale są, jako je apostoł nazwał, malowaniem, rzeczy saméj w sobie nie mające.

Na pańskich śmieciach straszliwsza jest moc Boska. Panowie są jako morze, które się wiatry podnosi i burzy, i straszliwi są, wszystkim zatopieniem grożąc. Lecz im Bóg mówi: „Ucichnij! póty wylewéj, tu stój,“ gdy im koniec żywota zamierza i moc ich króci. Nie wielka siła trzcinę złamać i ubogiego umorzyć, ale żelazo przełomić, króle i pany zniszczyć, to moc jest najwyższa i straszliwa, któréj się wszyscy zawsze bać mamy.

Nakonice większa jest szkoda i żałość z pańskiéj śmierci, niżeli z ubogiego; bo panowie i królowie dobrzy, wielkie pożytki ludziom czynią, rządem, sprawiedliwością, obroną: pokojem i czujnem o poddanych swoich obmyślaniem. Gdy król Saul zabity jest na wojnie, kazał Dawid białym głowom płakać, mówiąc: „ Córki Izraelskie płaczcie nad Saulem, który was odziewał jedwabiem w rozkoszach, który dawał ubiory złote strojom waszym,“ Pewnie ręką swą Saul niewiastom poddanym niedawał ubiorów; ale je dawał obroną i pokojem,

za którym się bogactwa i dobre mienia rozmnażają pod pany, którzy miłują swój lud. Jako był on Machabeusz i bracia jego miłośnicy narodu swego, dla którego radzi zdrowie swoje kładli; gdy w bitwie polegli, płakał lud mówiąc: „Polegli mocarze, którzy wybawili lud Izraelski.“ Nad Abnerem, gdy umarł, Dawid płakać téż kazał, bo wiele wszystkim na jednym królu, albo hetmanie dobrym zależy. Gdy dobry pan umrze, słusznie jako jest u proroka mówić i żałować mamy: „Upadła korona z głowy naszéj, biada nam, żeśmy zgrzeszyli.“ Acz téż z drugiéj strony wielka jest ludziom ochłoda i radość, gdy zły pan i niepożyteczny albo tyran umiera. Bo inaczéj światby nigdy pokoju nie miał, gdyby śmierć nie pomagała. A kto go ukróci? a kto złego naprawi? a kto jadowitego lwa i wilka, który się ludzką krwią karmi, uskromi? sama śmierć, która w téj mierze bardzo jest pożyteczną, iż złym nie da na wieki grzeszyć i szkodom i niepokojom ludzkim zabiega, gdy tyrany i niesprawiedliwe morzy i zabija.

Nie o takich nam teraz rzecz, ale o téj wielkiéj królowéj Annie Jagiellonce, któréj żałosny ten pogrzeb czynim, która nietylko szkody żadnéj królestwu temu i ludziom swym nieczyniła, ale osobliwą miłością narodu swego będąc, wielce im pożyteczną była; pokój, dobre ich rozmnażała i z wielkich trudności wyrywała, iż zejścia jéj bez żałości i serdecznego bólu i wylania łez naszych wspominać nie możem. Nietyle wszystkim pożyteczna i rzeczpospolitéj i poddanym swym jako matką była, ale tę cnotę przełożonych dobrych z przodków swoich wzięła i ona rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła. Prawnuczką jest Jagiełły, ta Anna królowa, który Litewskie szerokie państwa z koroną tą złączył, poznawszy Boga prawego, cały naród litewski mu uzyskał,—córką jest Zygmunta. On między wszystkiemi braty swemi w panowaniu najsławniejszy i najszczęśliwszy był,— wielki obrońca wiary, nabożeństwem Bogu miły, zwycięztwy wielkiemi sławny, nieprzyjaciołom koronnym straszliwy, domowym swym wdzięczny, miłośnik wielki ludu swojego, mądry, sprawiedliwy, cnot chrześcijańskich pilny. Między czterema córkami Zygmuntowemi, dla wielu niebezpieczności, które Bóg przez nią oddalał, została.

Młodość jéj i wychowanie przystojne królewskiéj dostojności i chrześciańskiéj było. Od starszych swoich wiary kalickiéj nabożeństwa przyuczywszy się, dziwnie je rozmnażała

i statecznie w nich trwała. Na modlitwie i kościołach wiele godzin, nad zwyczaj i siłę niewieścią trawiła między pospólstwem, nieznajoma, jako uboga jedna w kościele zostawała, zwłaszcza w Warszawie u Bernardynów. W postach była bardzo surowa. zwłaszcza, gdy do SS. Sakramentów przystępować miała, abo gdy w potrzebach pospolitych jakie modlitwy nakazane były; abo gdy mąż jej Stefan na wojnie przemieszkiwał. Środy nigdy jedzeniem mięsa, aż do śmierci i z czeladką swoją nie przestąpiła,. W ceremonjach i służbie kościelnéj tak była umiejętna i ćwiczona, iż sama kapłanom, zwłaszcza Warszawskim, za biskupa i wizytatora stała i na nią się w pilności służby Bożéj oglądać musieli. Miłowała stan panieński i w nim miała wolę zostać aż do śmierci, by jéj była miłość ku rzeczy pospolitéj i ojczyzny, uspokojenie królestwa tego nie odradziło.

Po wszystek wiek swój żadnéj nigdy przymówki, ani podejrzenia ze strony skromności nie miała i była zawdy wszelakiéj nieuczciwości nieprzyjacielem, swoim nie przepuściła, i dlatego wiele prześladowania i frasunków od wyższego stanu białychgłow cierpiała. Żywot wszystek jéj pełny był frasunków i utrapienia, na których królom i wielkim stanom nie schodzi; drudzy mniemają, że to największe szczęście na świecie królem być albo królową; a wysokie drzewa więcéj wiatrom mocnym podległe, częstsze na nie troski i bojaźnie, na wyniosło wieże częściéj gromy biją. Bardziéj ich każda krzywda i nędza boli, bardziéj ich każdy przypadek stroszcze.

Z młodości patrzyła na śmierć ojca swego Zygmunta wielkiego, patrzyła na smutny odjazd matki swojéj Bony z Polski, po któréj z siostrą Katarzyną zostając i oną się ciesząc, i tę pociechę żegnając ją do Szwecyi utraciła, i sama w sieroctwie wielkim została, które acz król August opatrował, jednak srogie przypadki przymięszane były, w których oczu swoich od łez nie osuszała. Przypadła ciężka pokusa wszystkiemu królestwu, a jéj najbardziéj jako ostatnie osierocenie: śmierć brata jéj króla Augusta, bez zostawienia potomka płci królewskiéj. Sama tylo we płci swéj z domu królewskiego zostając, oczy wszystkich ludzi na się obracała. Przychodziły na nią takie czasy, iż w niedostatku niemałym zostawać musiała, nie wiedząc czém i kuchnią opatrzéć. Raz nie została jeno przy

jednym kubeczku srebrnym, na który, aż do śmierci *sierotką* go zowiąc, rada patrzyła.

Na wielkie zamieszania w królestwie podczas *bezkrólewia* i rozdwojenia ludzi patrząc, gdy jedni tego, drudzy owego, niezgodnie i z niebezpieczeństwem ojczyzny obierali, jako była wielka miłośnica ojczyzny swojéj, na modlitwach i postach prawie omdlewała; kapłany i inne, które mogła nabożne, do wołania ku Bogu, pobudzając. A gdy jéj większa część Stanów koronnych dała znać, iż pokój i utrzymanie ojczyzny, inaczéj stać nie może, jedno, żeby *wojewodę Siedmiogrodzkiego Stefana*, za małżonka wzięła, długo się rozmyślając, uczyniła nareszcie miłości ku ojczyznie zadosyć, i na męża takiego przyzwoliła. Z czém się często i przed ludźmi nietylo przed Bogiem oświadczała, iż to z samego szczerego ku ludu swemu baczenia i chęci uczyniła. Co się nam wszystkim i koronie szczęśliwie powiodło. Bo za takiem małżeństwem pokój i jedność królestwu się wróciła, i cokolwiek dobrego i sławnego, i téj R. P. pożytecznego Stefan, król wielki, dzielny i mądry, małżonek jéj uczynił, to się słusznie ma przyczytać jéj ku ojczyźnie miłości.“

Lat jedenaście z Stefanem wojennym przeżywszy i z jego się rycerskich niebezpieczeństw frasując, a zwycięztw gęstych i mądrego królestwa sprawowania pociechę mając, wielkiego smutku z śmierci jego zażyła i nowe się trwogi dla bezkrólewia otworzyły, w których ona znowu do zgody lud przywieść chcąc, życzyła siostrzeńcowi swemu Zygmuntowi, dzisiejszemu panu naszemu jako własnemu synowi, królestwa. Do czego, za jakiem staraniem i uczuciem i pilnością za kłopoty wielkiemi i nakłady przyszła, wy lepiéj wszyscy pamiętacie. Jakie miała prześladowania i bojaźni od przeciwników téj elekcyi, wiecie. Wojny one i oblężenie Krakowa jako ją dręczyły? U Piotrkowa z jaką się trwogą i bojaźnią do Warszawy wracała? Jednak po wielkich troskach pocieszył ją Bóg, iż ośm lat patrzyła na królowanie jakoby syna swego, iż oglądała tego potomstwo, wnuczki swoje, córeczki i syna króla Imści na ręku swoich piastując. Lecz po téj pociesze nastąpił kłopot nieodbyty, to jest ostatnia niemoc i śmierć bliska. i t. d.

Bitwa Obertyńska.

Stanisława Orzechowskiego (po polsku pisana)

Skoro Hetmanem Jan Tarnowski został, Piotr Wołoski Wojewoda, podniósł walkę, hołd rzuciwszy, na króla Zygmunta, hołdownego swego Pana. Posłan był na niego Jan Tarnowski Hetman Wielki z pięcią tysięcy ludu tylko, między którcmi młodzików, aniżeli ćwików więcej było. Widział Jan Tarnowski, że go Wołoszyn był przesiągł ludem i mocą: wiedział téż w wojsku swoim być trwogę i rozpacz, jako to zwykło na młodziki, którzy Tyrones po łacinie się zowią. Chcąc tedy niebywalce one na nieprzyjacielu z nienagła zaprawić, a serca im dodać, u Grudca na Pokuciu z sześciu tysięcy bitwę zwiódł, i nieprzyjaciela poraził: w której bitwie, acz sam Hospodar Mołdawski nie był, a wszakże onym szczęśliwym początkiem, tak był młodziki swe Tarnowski zaprawił, że z chucią wszego wojska naprzeciwko Hospodarowi samemu ku Obertynu obozem pociągnał. Miał Piotr Wojewoda pięć i dwadzieścia różnego ludu tysięcy: miał nakonice wszemi rzeczami przeciwko naszym przyprawne wojsko. Który to Piotr wiedząc o małości wojska polskiego, hardzie i swobodnie nocą przyszedł na obóz nasz, urągając, wyzywając, i hańbiąc wojsko polskie nasze. Wtenczas Jan Tarnowski Hetman pokazał się czém był; albowiem sprawiwszy wojsko porządnie, sam na krzyż między wozy upadł, wzywając przeciwko mocy onéj wielkiéj Wołoskiéj, ratunku Bożego na pomoc; polecając ziemie Ruskie, sam siebie, i wojsko swe w obronę przeciwko mocy onéj, Panu Bogu. Takowe nabożeństwo nieżyczliwi jemu za bojaźń poczytali: co i ja im przyznawam i powiadam, że sroga tam tego Hetmana bojaźń natenczas była! Bał się o Ruskie ziemię, które na bitwie onéj jako na szańcu były wystawione; bał się o cześć Królewską, o którą Zygmuntowi Królowi z Hołdownikiem swym szło: bał się o wojsko swe jemu zwierzone; bał się sam o się, jako człowiek śmiertelności poddany. Bojaźń tedy ona była, która tam wtenczas męstwo Hetmana ostrzyła. Strach ci męstwo pokazuje. A przeto Jan Tarnowski w onym wielkim strachu będąc, ku samemu się Panu Bogu uciekał, widząc nikczemne być siły wojska swojego, i to téż pewnie wiedząc, iż nie w wielkości ludu, ale w siłach

Bożych położone są wszystkie ludzkie zwycięztwa. Jako ta pokora wielkiego tego Hetmana u Pana Boga ważna była, wnet się na świtaniu ukazało. Albowiem dał mu był Pan Bóg serce mężne, sprawę mądrą, rycerstwo posłuszne; przeto on oną małością wojska swego, wielkie i nadęte wojsko Wołoskie poraził. Piotra Wojewodę rannego, i ostatek wojska jego gonił, działa mu pobrał, ziem Ruskich obronił. Pokucie wygrał, sprawiedliwość Pana swego i króla wszemu światu okazał. Czego wszystkiego w wielkiéj pokorze płaczliwemi dziękami ku Panu Bogu używał, jemu samemu cześć i chwałę oddawał, rycerstwo swe umiłował, i każdego cnotę, i męztwo bez zwłoki wystawił, upominki wszystkie tak od króla, jako od innych Panów sobie posłane, między Rycerstwo rozdawał, zbite ludzie znaczne, z płaczem pogrzebował. Takiéj ci pokory w wielkim zwycięztwie zażywał, że go nikt nigdy nie słyszał tak mówiąc: poraziłem, wygrałem, ale: poraziliśmy za łaską Bożą, i sprawiedliwością Pana, a Króla naszego. O cnoto! jakoś ty dzielna! Paniś jest, gdy na swego trafisz!

Po téj sławnéj bitwie ruszył się do Zygmunta króla pana swego. Gdy od Mohiły ku Krakowu się przybliżał, Rada Koronna, i Duchowieństwo, i wszystek Kraków jezdno i pieszo przeciwko niemu wyszedł, witając. Toczono naprzód odbite działa sztuk kilkadziesiąt, na których były herby polskie, przez Olbrychta króla w Wołoszech na Bukowinie stracone. Więźnie też zacne, Wołoską radę przed nim wiedziono. Lud ten pospolity Krakowski palcem sobie na działa i więźnie pokazywał, mówiąc: „ten jest Logofet Kanclerz ziemię Mołdawskiéj; ten Hetman Mołdawski, Dwornik Burkulap: to wszystko był Król Olbrycht na wojnie potracił, co teraz nam Pan Bóg do naszego Krakowa wraca; bądźże Tobie Boże chwała; a ty bądź zdrów Tarnowski, bądź nam szczęśliwym Hetmanem,“ i tak tryumfując na zamek wjechał.

Tam w kościele naprzód przed głównym ołtarzem na swe kolana z radami Koronnemi upadłszy, Panu Bogu dziękował, że posługę jego i królowi Panu zwierzchniemu, i wszystkiemu narodowi poszczęścił. Po modlitwach onych chorągiew ziemi Wołoskiej z wielką bawolą głową i z innemi chorągwiami mniejszemi, na wojnie Wołoskiéj zdobytemi, na grobie świętego Stanisława zawiesił, nie ku chlubie swéj, ale ku chwale Bożéj, i ku ludzkiéj wiecznéj pamięci.

Potym z kościoła z wielkiemi tłumy ludzi wyszedł Jan Tarnowski ku Królowi. Gdy na pałac wchodził, tę cześć Zygmunt król, temu hetmanowi wyrządził, któréj był za wieku królowania swego żadnemu hetmanowi nie wyrządził. Albowiem on wielkiéj powagi król z miejsca swego królewskiego powstał, i przeciwko niemu aż na ganek wyszedł. Tamże Jan Tarnowski Zygmunta, jako poddany, a hetman Króla swego z wielką uczciwością witał. Summa witania była, dzięki wprzód Bogu za zwycięztwo, a pokorne do Króla upominanie, aby drugi raz Bogiem nie kusił: mało ludu przeciwko nieprzyjacielowi wielkiemu na harc sadowiąc. Po tym męztwo rycerskie (a o swojem nic) opowiadał i prosił Króla, aby rycerstwo miłował. Na co Król łaskawie odpowiedział, zdrowia i szczęścia się jego radował, łaskę jemu i rycerstwu obiecował.

Wykład cnoty.

Jana Kochanowskiego.

Cnotę i w nieprzyjacielu, i w nieznajomych miłujemy. Ale to słowo cnota wiele w sobie zamyka. Naprzód mądrość, która czego szukać, a czego się chronić, uczy, Potém sprawiedliwość, która każdemu, co jego jest dać każe. Trzecia wielkość umysłu, która na wzgardzeniu rzeczy doczesnych zależy. Czwarta, skromność tak w mowie, jako i w uczynkach. A z tych czterech cnót, jako czterech studzien, wiele inszych cnót pochodzi, które obyczaje ludzkie naprawiają. Na rozumie zasię nauki się przyjmują, których jest wiele najpierwsze miejsce, rycerskie i prawne, po nich nauki wyzwolone mają.

Dwie tedy rzeczy człowieka szlachcią, obyczaje a rozum; obyczaje z cnót pochodzą, a rozum z nauk: obiedwie rzeczy w sobie mieć rzecz nieprzepłacona jest człowiekowi. Ale jeśli przy jednéj tylko masz zostać, raczéj przy cnocie, niż przy nauce zostań: bo nauka bez cnoty jako miecz u szalonego, i sobie i ludziom szkodzi; cnota, choć dobrze sama będzie, chwalebna jest i pożyteczna. Miłują tedy ludzie cnotę, a przy cnocie nauki, miłują też i pożytki. A prostych ludzi niczem rychléj nie przybawisz, jako hojnością, a dary: ale taki przyjaciel trwały nie jest, albowiem datek więcéj, niż ciebie miłuje, a kiedy nie będzie co dać, i przyjaciela nie będzie, okrom którzy na dobrodziejstwa pamiętają, których bardzo mało.

Trzeba tedy dwie rzeczy w tej mierze. Naprzód abyś tak dawał, jako być zawżdy dostawało. Druga, abyś tym dawał, którzy tego są godni: bo dobremu dobrze czyniąc, sobie dobrze czynisz. Ale i słowy może człowiek pożyteczeń być drugiemu, kiedy mu w jego potrzebie poradzi; kiedy go z jakiej nieprzystojnej sprawy wystrzeże: za to wszystko człowieka ludzie miłują.

Trzeci sposób jest zachowania dostawać, kiedy kto komu jest ku rozkoszy; w czym tego trzeba przestrzegać, aby dla podobania komu, przeciwko cnocie, a przystojności nic się nie występowało. Chwalić go nie tak w oczy, jako przed ludźmi, kogo chcesz przyjacielem mieć, dobrze.

Ale że jest rzecz niepodobna wszystkim się podobać (bo co jeden miłuje, drugi się tym brzydzi), dosyć będzie, kiedy ten który zachowania szuka, cnotliwie a przystojnie się w każdej rzeczy zachowa, przeczby go każdy słusznie miłować miał. Czego jeśli dostąpi, nie jego wina będzie (bo on wszystko uczynił co mogł,) ale tych, którzy cnoty nie miłują.

Ale i wiele przyjaciół sobie jednać, nie jest do końca dobrze: albowiem miłość roztargniona na wiele części, nie tak mocna, jako spólna, a spojona, a kto kogo pomału miłuje, tego też pomału miłują.

Moja rada tedy, aby człowiek niewiele przyjaciół miał, ale takich, którymby się dufać godziło.

Jednakie też obyczaje, jednakie zabawienie człowieka ku człowiekowi pospolicie ciągną; jako żołnierz ku żołnierzowi, myśliwiec ku myśliwcowi zawdy się ma.

Ale jako złota w ogniu, tak przyjaciela w potrzebie doświadczamy. Jeśli tedy na towarzysza co przyjdzie, pomnij, że na ten czas masz miejsce okazać się, jeśliś mu przyjacielem: bo pochlebce pókiś w szczęściu, jako cień w jasny dzień, tak cię naśladują: jako najmniej fortuna zmyli, równie jako i cień, kiedy słońce za chmurę zajdzie, ani wiedzieć gdzie się podzieją. Przystoi tedy prawemu przyjacielowi, na złość fortunie, która niestała jest, przy towarzyszu mocnie stać.

Ale że fundament przyjaźni cnota jest, niech się o to czło-

wiek naprzód stara, aby co najlepszym był: potym będąc sam dobrym, u dobrych przyjaźni szukał.

Gnuśny, utratny, łakomy, zwadliwy, niedobry przyjaciel. Dobrodziejstwo, nadzieja, miłość, nauka, powolność, pochlebstwo, wszystko to nam miłość u ludzi jedna.

Dwie są przyczyny, które miłość w ludziach pobudzają: rzecz własna, a to co w sobie ma godność miłości, albo co jest godne miłowania.

O Miłości nieprzyjaciół.

Z mów Fabijana Birkowskiego.

...—I którez może być szaleństwo więtsze, jako chcieć bydź szalonym dla tego że drugi szaleje? Co mi za rozum, abyś ty czynił źle, że drugi złość uczynił? Bo nieprzestaniesz ty złym bydź, jeśli temu któryć krzywdę wyrządził, złość wyrządzać abo równą, abo więtszą będziesz; bo kiedyż niesprawiedliwość w sprawiedliwość urośnie? kiedyż krzywda niewinnością będzie zwana?

Grzech grzechem nie da się się znosić: głupia tedy sztuka, krzywdę czynić, niesprawiedliwym bydź, chcieć grzeszyć, żeć drugi krzywdę czyni, abo czego się wielkiego dopuścił przeciwko tobie. Pytam ja ciebie, gdybyć się trafiło iść drogą błotną, i trafiłbyś na kogo, któryby cię nieobacznie kroplą jedną, abo dwiema oprysnął onego błota; aty się rozgniewawszy, abyś zemścił despektu, wskoczyłbyś w środek onego błota tym umysłem, abyś go też wzajem popluskał; któżby się wstrzymał od śmiechu? i mądry i głupi—każdy śmiałby się z ciebie, i gardziłby tobą, żeś się tak pomazał. Coś takowego podobnego temu czynisz, gdy żebyś się krzywdy twojéj zemścił, drugiego przeciwko prawu Bożemu obrażasz.

Cobyś mówił o tym, gdybyś widział kogo, żeby nieprzyjaciela ranił, puinału dobywszy, naprzódby serce swoje przebił, aby piersi swoje zraniwszy, tymże puinałem obraził nieprzyjaciela, który z trafunku za nim z tylu stanął? Przez swoje piersi puinałem sięgasz nieprzyjaciela! Co czynisz? głupcze! Takąż sentencyją wydaj sam o sobie, gdyś dla zemsty nieprzyjacielowi czci uwlókł, gdyś go z majętności złupił, a co najwiętsza,

zdrowiaś go pozbawił; bo te wszystkie rzeczy złe, iże są doczesne, nie barzo mają bydź szacowane, a zgoła mniéj, niż te szkody, któreś sam sobie zadał, gdyś sam nad sobą katem zostawał. Pierwéjś zabijał duszę twoję, anizeliś ciało drugiego zranił; abowiem kto nie miłuje, ten trwa w śmierci. *Joan 3v, 14.*

I zaprawdę ci, którzy *zemtsę* z braciej sobie czynią, słusznie pszczele podobnymi mogą bydź nazwani, która gniewem zapalona w koło lata, bęczy, i nakoniec troche człowieka zakole, ale z więtszą swoją szkodą, a niż tego, którego żądłem zraniła; bo ten trochę błota wziąwszy i przyłożywszy, prędko bywa uleczony, a pszczoła nieszczęsna zdycha: gdy się mści, duszę gubi. Tak pszczołom swoje nieprzyjacioły słusznie przyrównywa *Dawid 1 Psal. 117s.* 12: Obtoczyli mnie jako pszczoły. Zaprawdę rozgniewanego człowieka myśli jako z Filona Hieromin S. mówi: są rodzaje jaszczurki, które jelita matki swéj przegryzają z cudownéj tajemnice przyrodzenia.

Co iż tak jest, ruszyło to barzo serca szlachetnego Platona, że się nie lenił napisać prawie chrześciańskiéj sentencyjéj w dyalogu, któremu dał tytuł *Kryto*, w te słowa: Żadnym sposobem nie trzeba krzywdzić, byś téż i ucierpiał krzywdę jaką, abyś się zemścił jako pospólstwo rozumie. I Plutarch toż mówi w książeczce, któréj dał tytuł: *De capienda ab inimicis utilitate.* Gdy się poda (mówi) okazya pomsty nad nieprzyjacielem, puścić ją mimo się, jest to serca równego, a kto się zmiłuje nad nieprzyjacielem udręczonym, i ratunku daje potrzebnemu, tego wszyscy miłują, chwalą, dla ludzkości jego i dobroci. I toć jest o co spytany niegdy Dyogenes: Jako się mam pomścić nad nieprzyjacielem? krótce, ale barzo do rzeczy odpowiedział: Dobrym bądź. Nad-to gdy kto nieprzyjaciela swego chwali, więtszą ma ztąd chwałę, a niż ten sam, którego chwali. Powiadają o Cyceronie, że miał tak o Cesarzu mówić: Gdy zakazał statuj Pompejuszowych obalać, swoje utwierdził.

Pisze *Aelianus*, iż Arystoteles Aleksandrowi z natury gniewliwemu radę dawał, aby rozumiejąc o sobie, że jest nadewszystkie, pogardzał złą mową innych. Acz chrześcianin

nie ma tak pogardzać złą mowę, jakoby lepszym był nad złorzecznika, ale że mężniejszym jest nad złorzeczeństwo. Wszelka abowiem krzywda mówi Tertulian *lib. 1 de poenit.* bądź od języka, bądź od ręki wniesiona, gdy trafi na cierpliwość, tak zginie, jako więc strzała, która trafi na twardą skałę, otrąci się, skrzywi się, i tamże zaraz upadnie, nic nie sprawiwszy; a drugdy odbiwszy się, tegoż uderzy, który ją wystrzelił: zgoła dlatego cię kto obraża, abyś bolał, abowiem pożytek obrażającego jest w boleści obrażonego. Przetoż gdy pożytek jego wywrócisz nie bolejąc, musi on sam boleć, iż stracił pożytek swój. Jest to własna prawdziwej spaniałości, mówi *Seneca lib. 3 de ira cap. 25* nie poczuwać się bydź uderzonym. Tak okrutna bestya na szczekanie psów ledwo się obejrzy: tak uderzony wał morski o wielką skałę skacze. Kto się nie gniewa, ten stoi krzywdą nie poruszony; kto się gniewa, już się ruszył: nie krzywdę tedy cierpieć, ale krzywdę czynić, abo nie umieć cierpieć, zła jest rzecz.

Nauczył tego nadobnie S. Jan Złotousty *Homil 76* „Jako (mówi) żaden nas obrazić nie może, jeśli sami od siebie obrażeni nie będziemy; tak jeśli się sami nie zganimy, żaden nas inny nie zelży. Dajmy jakiego cudownego i znakomitego męża, którego wszyscy zowią złodziejem, grobowców otwieraczem, mężobójcą, rozbójnikiem. Niechaj że się on o to ani gniewa, ani to za przykre znosi, ani na się żadnej rzeczy czuje, któraż, proszę, nagana go obrazi? Żadna zaiste. Co rzeczesz, jeśli go tak wiele ludzi w złej opiniej mieli? Żadna go nagana nie obraziła: ale oni się sami zelżyli, którzy go za inakszego człowieka udawali, a niż się godziło. Powiedz mi, proszę cię, gdyby kto słońce zwał ojcem ciemności,—słońcu, czy sobie ten uwlókł? Sobie pownie samemu, gdyż przyszedł o mniemanie szalonego i nie całego rozumu. Takimże kształtem, którzy złych dobrymi zowią, i dobrych złymi, siebie tacy lżą. Dobrze mówi Jan Złotousty: Jest to abowiem białogłowska, łajania łajaniem zbywać; bo jako Ambroży S. uczy: Kto się prędko da ruszyć krzywdzie, godnym się czyni zelżywości, gdy chce widzianym bydź niegodnym. Te szkody są tych którzy się mścić pragną.

WZORY STYLU EPOKI PANEGIRYCZNÉJ Z WIEKU XVII.

Oracya.

Winszując Imięnin J. W. Imć Pani Teressie z Wychowskich Sapieżyny Kasztelanowy Trockiey, Starościny Mereckiey ect: Fundatorce Scholarum Piarum Wileńskieyo. (początek)

Obowiązana Fundatorskiemu JWW. Mci Pani Dobrodziejki Imieniowi wiecznym wdzięczności Prawem Szkoł naszych pobożność, aby się na solenny Pańskich Imięnin rekurs z uprzejmą serc y affektów popisała dewocyą, całe chwały y wotów *compendium* w iedney szczegolnie Herbownego Abdanku literze koncentruje. N. Należałoby z dozgonnego obligu nie skąpey w szafunku Dobrodzieystw na ubóstwo nasze Prowizorce złotym sławy piórem pamiętne następuiącym wiekom pochwał pisać folialy, w trojakiey kwalitetów istności prawdziwey wieku tego *Teressie*, czyli jedney cnot wszystkich istocie należałoby jednostayną ust wszystkich harmonią, zgodnym wotow popisem solenny Imięnin ogłosić tryumf, wielkich w Oyczyznie Statystow Corce, Dam Sarmackich ozdobie, sławnych Mowcow na powinna werbować Panegiryki, ale z kądże wiadoma tey władzy nabydź może niezdolność, aby wybor Pańskich kwalitetow w jakimkolwiek podobieństwie publicznemu na widok wystawiła oku? bo czyli herbowne J. W. Domu Twoiego zważam ozdoby, Rodowity Abdank dla tego podobno Polskiego na piersiach Orła wyrażony, że lubo sobie złotey

ten wolności charakter nieodmienną Regnantów miłość, stateczność Senatu, affekta sprzyiaiące poddaństwa chęci, wszystkich uprzeyme serca zapisuie, przecież trudno mu takiey dobrać ręki, ktoraby doskonale *pretium* tego okryśliła; czyli Seraficznego w Osobie JWW. Mci Pani Dobrodziyeki wysokość miarkuję Imięnia, nietylkoś tytułem, ale doskonałym cnot, i życia Patronki naśladowaniem prawdziwa tych wieków *Teressa*, to jest troista doskonałości istność przy którey stogębna Krasomowcow perora trzech zliczyć nieumie.

Impety winszuiące Imięnin z różnych cyrkumstancyi.

1) *Winszuiąc komu Anielskiego Imięnia.* Luboć w sercu moim ku Osobie W. M. W. Mci Pana *nunquam tardat amor*, przeciesz *in expressionem* życzliwey Imięniowi W. M. W. Mci Pana aggratulacyi wyżey dnia dzisieyszego guruje affekt, kiedy Anielskie Patrona jego skrzydła wolnego mu dodaią polotu, ktore ażeby samemu W. M. W. Mci Pana *Signa viarum praeeunte volatu* do wszelkich w honorach preeminencyi pokazały, a oraz *in tabulis* niezgluzowaney u świata pamięci *famam scribant perennem*, życzliwe *suffragatur votum.*

Respons. Tymiż Patrona moiego pióry, ktore życzliwey W. M. W. Mci Panu ku Osobie mojey *suffragantur* propensyi wieczną na podziękowanie za winszowny appllauz *in tabula cordis* zapisuię obligacyą, *cum appendice* wzajemnych apprekacyi, ażebyś W. M. W Mci Pan jako w affektach u wszystkich tak w godnościach nad równych gurował: *Tibi prima feratur, sparssque applaudat gloria pennis.*

2) Przy solennym Imienin W. M. W. Mci Pana rekursie nie złotym spojone ogniwem donatywy, jedynie tylko *vinculum amoris*, nierozdzielnym serce obowiązane affektem *in votivum.* W. M. W. Mci Panu *ligamen* konsekruję, to uprzejmych chęci przywiązując votum, aby się W. M. W. Mci Panu od dnia dzisiejszego w niezmierzone lat przeciągi złotym do myśli pasmem fortunne snuły sukcessa, a na długim w Nestorowe wieki życia wątku niezbywało: *properent parcae nescium rumpi Tibi destinatos stamen in annos.*

Respons. Luboć nierozerwana nigdy od pierwszych życia y poznania początkow z Osobą W. M. W. Mci Pana szczerych affektow *nunquam vincla remittit amor*, dziś jednak w ścisleyszy nad Gordyski związek zachodzę oblig, kiedy mię W. M. W. Mci Pan *vinculo amoris* nowym ścisłey przyiaźni tytułem dewinkujesz, za ktorego powodem jako powoli W. M. W. Mci Pan chodzić będę *me tua vincla trahent*, tak nim fasciculum szczerożyczliwych wiążę apprekacyi, ażebyś W. Mci Pan *in funiculis charitatis* wszystkich sobie serc zagarnąwszy dotąd szczęściem Tymoteusza z Państwy fortunę łowił, aż się sam honor bliskim W. M. W. Mci Pana wyzna kolligatem.

Mowa.

Prosząc o Damę Rodzicow przez przyiacioł.

(Zakończenie).

Pozwolże W. M. Pan Przeświętnego Domu *dextro pede tangere limen*, przyimiy otwartym sercem w Ojcowski respekt szczyrą do uslug W. M. Pana garnącego się powolnością przyjaciela, razem y Syna. *et Pater esse velis* przy nas assekuracya, że będzie *ad mensuram* wielkim W. M. P. expektatywom; wszak urodzenie Jmci jako *dives avis et utroque Jovem de sanguine ducens;* tak wszystkim wiadome, a innych talentow znaczny wybor, czyli to *a Parente natura* czyli *a Magsitra experientia rerum* chwalebnie nabyty głośniey nad Krasomowcow mowi sam za sobą. *Ipsa sibi virtus laus est, nec fastibus altis erigitur vlausumque, petit clarescere vulgi.* A z tąd że oczekiwanych W. M. Pana nie zawiedzie nadziei, gotowy dowód. Już że tedy W. M. Pan to nam deklaruy miłościwie, co z łaski na darowiznę chowasz. Tchnij w łaskawym responsie swoim *Verbum vitae*, ktorym Jmć Pan N. w upragnionych chęciach ożywiony, gdy życie dla życia, bo kochanego z ręki W. M. P. odbierze przyiaciela, y Jego jak własne życie pieszczono piastować będzie, y oraz

z nami W. M. Panu żyć będzie w obligu wdzięczności nieśmiertelnym: *Ipsaque post verus funera vivet amor.*

Mowa.

Oddaiąc Pannę Młodą.

(skrócone).

Nic więcey od akcydentalnego w życiu błogosławieństwa zgodnieyszego, jako w miłey z przyiacielem żyć y umierać komitywie N. N. Niechay kto na pieszczonym przychylney fortuny spoczywa łonie, niech serce w nieoschłe pomyślnych szczęśliwości opływa kanary, jeżeli kochany przyjaciel troskliwych w życiu nie cukruje momentow, gorzkim stanie słodycz w gardle piołunem, opłakanym wesołości smutkiem *nullius boni fine amico jucunda possessio.* Jakoż kto przyiaciela nie ma, jednym cało życie kłopotem: *sine amico omnis cognatio est taedia, omnis terra peregrinatio, omnis vita tormentum,* kto go z Boskiego odebrał Dekretu, z nim jedyne chęci *coronamentum*, .serce serca *in Convictorem* życia y przygod, z nim *pretiosum et speciosum thesaurum* w ktorym wszystkie życia błogosławionego losy zamknęła fortuna: *amicus fidelis medicamentum vitae.* Tegoż dziś błogosławieństwa y szczęścia odbierasz Maxymę Mci Panie N. kiedy *dotibus et fortuna parem*, urodą Pulcheryą, wspaniałością Augustę, wszystkiemi wdziękami jednę z trzech odbierasz Gracyi. Nietrzeba tu *verborum colore* Jmć Pannie dodawać lustru, którą tak natury jako i fortuny wyborem wdziękow łaskawe utalentowały nieba. Wszak ieżeli pięć najosobliwszych Talentow przezorna w Damach upatrzyła starożytność: *sit pia, sit prudens, pulchra, pudica, potens.* Nad tych wymiary i liczbę większa się nie rownie w Osobie Jmć Panny zacnych przymiotow aukcya wynajduje. Żyie w niey pobożność, ktorą jako z kandorem dziecinnego mleka z piersi wysała Macierzyńskich, tak teraz *intaminatis fulget honoribus;* kwitną wstydu roże, ktorym purpurowego glansu bez podchlebstwa może ustąpić Jutrzenka, tey kształt urody i symetrya, którey owe gładkości *dolum* wstydzić się może, ktoremu kłamliwa poety podchle-

biła Muza: *Nec Tibi par usquam Phrygiae, nec solis ab ortu inter formosas altera nomen habet.* Bierz że iuż Mci Panie N. *in sociam vitae* szczęścia i przygod Towarzysza Jmć N. Bierz tak zacnego przyiaciela, ostatnią nadzieij koronę, niech dalszych szczodrze przydają Nieba: *feliciter aevum ducite concordes, sint nati sintque nepotes, cernat et in proavo sibimet quod pronepos optet.*

Impety winszowne Stanu Małżeńskiego.

Kiedy dnia dzisieyszego łaskawe Nieba umartwione dotąd codzienny w oschłościach expektatywy serca i chęci W. M. Pana już to *sertorum vere perenni*, już *coronide* spełnionych skutkiem obietnic koronuią, i ia przy jasnych goraiącego Hymeneusza pochodniach niezwiędły mov przyjacielskich szczerości explikuję kandor przy winszownych doszłego szczęśliwie mariaża applauzach to przydaiąc Votum: ażeby kwitnące W. M. Państwa młodością lata przy czerstwym długoletniego zdrowia wigorze: *in fructus, solatorium* Przeświętnym Familiom, *in Coronam* godnych potomków w Oyczyznie kwitnely: *Blandos vobis fundant cunabula flores.*

Respons. Nie mogąc *verborum flore* za nie zwiędły W. M. Pana ku mnie affekt podziękować, ile że z owych nie jestem komputu, z ktorych o jednym napisał poeta: *dum loquitur; vernas fundit ab ore rosas*, więc kwitnący serca W. M. Pana kandor *florida votorum corona* kompensuię, życząc: niech go szczęściem y fortunami Niebo koronuie, a mnie dotąd *in recenti memoria* nie przestanie kwitnąć, poki zazdrosne parki głowy o fatalny marmor nie uderzą.

Mowa.

Przy depozycyi Ciała J. W. Jmci Pana Antoniego Dunina Regenta W. X. Lit: Starosty Zahorańskiego etc.

Haec requies mea in saeculum saeculi, hic habitabo, quoniam elegi eam. Psalm. 131 mo:

Ciekawą daleko nie zachodzę kwestyą, kto dnia dzisieyszego wybraną sobie w tuteyszym szkoł pobożnych Collegium zamawia stancyą: *hic habitabo, quoniam elegi eam;* nie pytam co za gość w tym Domu Boskim długi aż do dnia Sądnego dla spoczynku oblicza nocleg *haec requies mea in saeculum saeculi* rzecz y pod czas okropnego wieczoru przy zapalonych u katafalku pochodniach wszystkim jaśnie oczywista stawa! co mówię? dał ci by Bog, aby na podporę Przeświętnego Domu, na utrzymanie interessów publicznych powstał, y stanął: ale już upadł, y leży: *superest ex nomine pulvis;* leży w oczach J. O. J. W. Wielmożnego Spektatora J. W. W. X. Lit: Regent! Ten ci to dnia dzisiejszego twardym pioro zahartowawszy żalem, po ostatniey z życia y świata rumacyi, stancyą sobie w podziemnym zapisuie grobie: *hic habitabo* dokąd go owa na ostatnią potyczkę nie wzbudzi pobudka: *surgite mortui ad judicium.* Ten się do ciemnego przenosi locha, ktorego honor, y sławę herbowny Łabędź rownym Orła przymiotem do jasnoświętnych wyniosł splendorow: *junctisque aera cygnis carpsit iter.* O iak nie spodziana w krotkim czasie odmiana! Tey ci, tey, podpadaią ludzkie szczęścia fortuny, sukcessa, alternacie: *miscentur tristia laetis;* tak się przemieniaią y przemiiaią świata tego stany: *fors omnia versat.* Ale dostoy placu, do upadłey na placu gradywa niegdyś stoiący Pułkowniku! stoy y osądź W. Regencie, sprawiedliwy sądow Assessorskich Arbitrze czy słuszna życie za śmierć, za grob Pańskie reyteraty, pokoie, krzesła, rezydencye za trumnę, wspaniałe za katafalk kotary równie zamieniać: *quae societas lucis ad tenebras?* Słyszę! ach słyszę! co za Dekret z Regentowskiego wypada piora: *aequa lege necessitas insignes fortitur, et imos;* trudno się ma temu prawu sprzeciwić, ktore rowną wszystkich uymuie obligacyą: *aequa lege fortitur;* ten Dom wieczności wszystkim stoi otworem. Tu się naypierwsze świata tego stany, tu po woynach Hektorowie etc na wieczny się kładą spoczynek: *Haec requies mea;* tu się nietylko herbowne gnieżdżą Łabędzie, ale też koronne Orły, Jastrzębie, Korwiny, Pogonie, Gryfy, etc z krolewskich bereł na śmiertelny przelatuią cyprys: *sic numina fatis volvimur, et nullo Lachesis discrimine saevit.* Ale nie mogłżeś się na życie tak ostremu śmiertelney przycięciu kosy, kawalerskim założyć pałaszem W. Pułkowniku? nie mogłżeś surowey na gwałt fatów zawziętych rzucić kondemnaty, albo dłuższego przywiley napisać życia, W. W. X. Lit. Regencie? Niemasz, nie y podczas walnego Seymu na śmierć rady! ach iaka zuchwałość zawziętych w imprezie fatów!

Oracya.

Winszuiąc od Herbowney J. W. IMć Panow Łuszczewskich Lilij.

Przy okropnym mroźnych czasów Decembrze *in primo vitae Aprili inscriptus Nomine Regum Flos Nasareth* pożądaną pomyślnych pociech herbownym W. Pana liliom przynosi Wiosnę. N. N. poszedł dawno ten przeświętnego Domu zaszczyt na niezwiędłą wspaniałych Imion ozdobę, gdy już ledwo nie w Dodońskie rozrosł się lasy, w Pestańskie rozkrzewił ogrody, osobliwie jednak dnia dzisiejszego *spem* nie tylko *in herba fovet,* lecz *fructus aureos* szacownych wiekow estymacyą, honorow *messem auream appromittit,* kiedy od Mistycznego kwiatu niezwiędłego zabrawszy wigoru *in ver gratiarum ac Purpurarum* rozwiia się Centyfolie: *Lilia per vernos lucent velut alba colores,* y takci mu przynależało, który w Imperyalne korony przy naywyższych Dygnitarstwach *in titulorum fasces,* przy subselliach w złote kwiaty, *in liliatos equites,* przy latach fortunnych rozkwita: *flores supereminet omnes,* aby przy zimowych kwadrach w kwitnięce rozkrzewił się kornukopie, od którego w powinney aggratulacyi niezwiędły zabieram impet apprekacyi, aby roskwitła, W. Panu prognostykuiąc fortunę *aeviternae crescant in floribus horae,* przy hipostatyczney Perle, nie iuż baieczne iak Hesperyskie kwiaty, ale prawdziwie perłową W. Panu awizował wiosnę: *Perpetuum ver spiret hyems semperque, sit idem floribus honor.*

Impety winszując Narodzenia Pańskiego.

Lubo nigdy powzięty ku Osobie W. M. W. M. Pana affekt przyrodzoną żołwiowi własnością *per devia serpere nescit*, dziś jednak górę biorąc *viam superas molitur ad auras*, kiedy mu *Aquila magnarum alarum* Nowonarodzony Zbawiciel wysokim dosyć polotem bo *Coelo descendit ab alto* do uprzeymych przodkuie aggratulacyi, wyżéy iednak sufragio życliwych chęci wygorować niemogł, iako kiedy za metę imprezy swoiey godną W. M. W. M. P. zamierzywszy Osobę ztą do stop łaskawych upada apprekacyą, aby ten mistyczny Orzeł Infant Boski *Solis ales* pożądane W. P. intencye w słońcu iasno świętnych tytułow wniezgasłym pożądanego szczęścia stawił południu *Luce magistra sudoresque tuos ingeniumque probet.*

Respons. Kiedy się na doznane w tylu okazyach affektu y łaski W. P. reflektuię dokumenta, wyznać potrzeba, że ieżeli komu z życzliwych przyjacioł to W. M. M. M. Panu ku osobie moiey *alas addit Amor*, osobliwie iednak dnia dzisiejszego tey się na mnie prawdy wypełnia praktyka, kiedy W. M. W. M. Pan *in suffragium* nieustanney ku mnie propensyi lotnych od mistycznego Orła przybierasz skrzydeł, za co gdy z głęboką dziękuię submisyą, w rewanż życzę; aby mistyczny ten Orzeł iako affekt Jego tak Samego W. M. W. M. P. w gorę pierwszych w Honorach wyniosl preeminencyi *Cantando sublime ferat ad sydera Nomen.*

WZORY STYLU EPOKI KLASSYCYZMU W WIEKU XVIII.

Pierwsze Lata Doświadczyńskiego.

Ignacy Krasicki.

Ktokolwiek opisanie życia mego czytać będzie, niech wie zawczasu, że to ani spowiedź, ani panegiryk. Nie dla próżnéj chwały, ani upokorzenia mojego, te pracę przedsięwziąłem; ale siedząc na wsi, gdy mam czas wolny, wolę go obrócić na to pisanie, niż łamać kark za zającem albo w kuflu podagry szukać.

Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim: którego roku, nie wyrażam, bo to się nikomu na nic nie zda: do mojej historyi chronologija mniej potrzebna, a mnie też nie bardzo miło przypominać sobie, żem stary. Gdybym się chciał zasadzać na świadectwach konkluzyi i panegiryków, przypisanych przodkom moim, które zbutwiałe dotąd u mnie w kaplicy wiszą, znalazłbym się może w pokrewieństwie ze wszystkiemi familiami w Europie; alem ja od téj próżności dalcki. Niesiecki nas w swoim herbarzu, na złość Paprockiemu i Okolskiemu pomieścił: i mnie samemu dostało się czytać w jednym starym manuskrypcie, iż podczas owego sławnego glinańskiego rokoszu, Doświadczyński niósł buńczuk przed Rafałem Granowskim, Marszałkiem naówczas i Hetmanem Wielkim Koronnym.

Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się, nadmienić cokolwiek o tych, od których życie wziąłem, to jest poprostu o moim ojcu i o mojéj matce. Oj-

ciec mój po stopniach Skarbnik, Wojski, Miecznik, Łowczy, Cześnik, Podstoli, sześćdziesięcioletnie ziemi swojej i województwa usługi, a ustawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacye, przy kresie życia szczęśliwie nagrodzone i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacyi już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do Podsędkowstwa; ale przeciwna cnocie fortuna nie pozwoliła dójść tego stopnia· prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym refleksyą nad marnościami świata tego.

Dopomogła do takowej rezolucyi nader szczęśliwa natura, był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicię nazywają: Dobra dusza. Nic on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec, a jak starzy twierdzieli, jeszcze lepsza dusza, niż on, to też samo on nam ustawicznie powiadał: tak dalece, iż u nas nie tylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie był to człowiek rzetelny, szczerzy, przyjacielski; i choć nie umiał cnót definiować, umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć, jest toż samo, co się z nim upić. Ztąd poszło że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadwyrężyło; znosił jednak podagrę sercem heroicznem; i kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanéj ojczyzny. Matka moja z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzala pobliższe miasta: zkąd każdy łatwo wnieść sobie może, że jéj na wielu talentach teraźniejszych brakło. Nie obchodziło ją to bnajmniej; i gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maxymy i dzikość niejaką, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerości ducha: że woli prostacką cnotę, niż grzeczne występki.

Pierwsze lata niemowlęctwa mojego, przepędzone były w orszaku niewiast; nie dobrze jeszcze artykułowane słowa tłumaczyły piastunki i niańki za dziwnie roztropne odpowiedzi; te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojéj, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdém posiedzeniu; potakiwali ziewając sąsiedzi, a nie jeden byłby może nakoniec i zasnął, gdyby ich był ojciec nie budził częstemi kielichy. Orzeźwieni naówczas, wynurzali koleją obfite życzenia i proroctwa, a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciągu nie raz na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowéj edukacyi, i zastanawiałem się nad tém, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się nadto nasłuchał; i częstokroć mimo rozumną konwikcyą, muszę się z sobą pasować żebym gusłom i zabobonom nie wierzył lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaję bez światła, albo na osobności.

Nadto wkradał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jak każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały, wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni, cokolwiek téż przed niemi na drugich mówić, a gdy brakło okazyi, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że jak wieczorne rozmowy były zwyczajne o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach: jedna drugiej z kobiet opowiadała, co się jéj śniło; a z ich tłumaczeń i wróżek nauczyłem się, iż gdy się komu ogień marzy, gościa w domu spodziewać się trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się iż przyjechał do nas brat matki mojéj, człowiek urzędem, nauką i wiadomością świata znamienity. Przypatrywałem się pilnie wujowi memu, tym bardziéj, iż wiedziałem, że go Rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż dwa dni u nas siedząc jeszcze się był nie upił; Księdzu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał.

To mi wstręt do niego zaczęło czynić, iż zemną, nie tak jak drudzy bawił: a co gorsza, zapędzoną w pochwały moję matkę nie pomału, mnie zaś niezmiernie zmięszał, gdy się zapytał, czy ja umiem czytać i pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości.

Pierwszy raz obiły się o moje uszy natenczas takowe słowa; matka z początku chciała o czem inszem dyskurs zacząć, ale gdy coraz bardziéj nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jéj dyskurs pamiętam. Podobno się zdziwisz braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się spieszyć z jego nauką. Najprzód dziecię jest delikatne, słabe; mogłaby mu szkodzić zbytnia sedentarya, którą i nad elementarzem mieć trzeba. Potém, jak sam W. M. Pan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora dali, straciłoby fantazyą: ta zaś raz stracona powetować się nie może. Trudno téż znaleść doskonałego takiego człowieka jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, jużto ostatnia rzecz, jak mówią, młode źrebię łamać.

Dobrze mówisz moja Panno, odezwał się Jegomość; świętéj pamięci nieboszczyk Ojciec mój (Panie! świeć nad duszą jego) tož samo o mnie mówił; ale jednakowo, kiedy Jegomość tak mówi, podobno lepiéj dać Mikołajka do szkół. Opatrzy z łaski swojéj miejsce i człowieka, a tymczasem wypijmy za zdrowie Jegomości, mojego Miłościwego Pana i kochanego mego dobrodzieja.

Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny nasz nieprzyjaciel, wyrazić trudno: jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresyą. Coraz mowę zaczynał o szkołach; nawet kupiono elementarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak jako była bogobojna, gdy jéj w tém uczyniono skrupuł, że mnie na zgubę moją pieści, uczyniła zapewne najheroiczniejszą w życiu swojem ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych; ojciec albowiem upornie i z wielką natarczywością ganił domową edukacyę, dla téj przyczyny, że tego przedtem w Polsce nie bywało. Co na to odpowiedziała matka, nie pamiętam, to wiem i dobrze pamiętać będę, że po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szół wyprawiony zostałem.

Klęska Krzyżaków pod Płowcami.

z Naruszewicza.

Po takich ułożeniach wrócił Szamotulski do Krzyżaków zapewniając o wszelkiém bezpieczeństwie, że Król świadomy dobrze ich większości, myślił tylko o porządném cofnieniu się, aby z tak niebezpiecznego kroku swoich wyprowadził. Krzyżacy ufając powieści wojewody, jako mającego u nich wiarę zaniechali gotowości do boju: a w przedsięwzięciu tylko uprowadzenia za Wisłę niezmiernych plonów z Kujaw, Sieradza i Wielkiéj-Polski zabranych, poczęli ruszać się zwolna, ile przy nadchodzących już jesiennych niewczasach, od Prus Otton Wielki Komandor, z niejakim Reus de Plauen, wyszli przodem z częścią wojska, dla opanowania Brześcia (Kujawskiego). Druga część obciążona zdobyczą, ciągnąc ku Radziejowu zbliżyła się ku wsi Płowcom, czyli Blewo, i tam na noc obozem stanęła. Równiny okoliczne, zdatne do wysworu i bitwy jezdnej, w któréj najbardziej Król ufał, determinowały go, aby nie czekając daléj na tém miejscu spotkał się z krzyżakami, ile już rozdzielonymi na dwa zastępy. Dnia 27 Września 1331 roku ze wschodem słońca zbliżył się Król pod oboz nieprzyjacielski, gdy jeszcze krzyżacy spokojnie zasypiali trunkiem całonocnym rozmarzeni i bezpieczni. Za ostrzeżeniem Setników, powstała w ich obozie trwoga, tém większa, że na słowo wojewody nikt się nie spodziewał, aby Polacy nastąpić mieli. Mgła straszna nie dała Królowi korzystać z rozruchu nieprzyjacielskiego. Trąby, kotły i wrzaski żołnierskie słychać było z obu stron: strony siebie nie widziały. Nieprzyjaciel miał czas do szyku; a Król też, nim przyszło do sprawy wymówniejszy wiekiem i pracami podjętemi, niżeli w słowa, po krótkiem swoich upomnieniu, na czele wojska oczekiwał. Wszakże szanowny Monarcha, w bojach zrosły i osiwiały niosąc szczątek życia na ofiarę dobra poddanych, uchylić się kazał acz poniewolnie, synowi Kazimierzowi oddając go pod straż szlachcicowi Nekandzie, herbu Topór, aby w przygodzie śmierci ojcowskiej, miał naród mściciela i obrońcę.

Z rozegnaną mgłą, gdy dzień jasny mężów i oręż i losy ich z pomroki wynurzył, ukazał się krzyżacki zastęp straszny

i ścisły. Albowiem kommendaci i waleczniejsi bojownicy, żeby się w szykach i związku odstępując, do upadłej bronili, łańcuchami, przez pasy puszczonemi samych siebie powiązali. Z pięciu Królewskich hufców poskoczył pierwszy, złożony z nadwornego ludu i przebranego rycerstwa: za nim inne kolejno ze szlachty, z różnych księstw zebranéj. A gdy się zmięszały oba wojska, jak Krzyżacy mężnie się bili, tak Polacy, choć od przewyższającéj liczby wojska ogarnieni, ostatnich sił, nie cofając kroku dobywali. Wstąpiła w skrzepłe siedemdziesiątletniego starca członki zielona pierwszych lat jędrność. Biegał pomiędzy nieprzyjacielskiemi szykami Król waleczny, zasłaniając się puklerzem od ciosów, mieczem wzajemnie przeciwnikom zadając razy. Po kilkogodzinnych zapasach, gdy Wojewoda obiecanéj nie dawał pomocy, i wątpić poczęto o jego wierze, ukazał się on nakoniec, biorąc z tyłu nieprzyjaciela. Świeża moc na zmordowanych i niespodziewana, wprawiła Krzyżaków w większą słabość, a daléj w utratę serca, zmięszanie i rozsypkę. Cisnęli ich tym dzielniéj nasi i byłaby już wygrana zaraz, gdyby Otton z Plauenem, uwiadomieni około Brześcia o rozpoczętéj bitwie, uciekających swoich nie wstrzymali: za ich nadbieżeniem odnowiła się bitwa, lecz nie nadługo. Zwycięzcy nie chcieli dać sobie wydrzéć wygranéj: Krzyżacy téż znużeni drogą i nie mogąc już do ładu przywieść swoich, podali tył sromotny. Tu już nie była równa walka, ale rzeź i zabój, mianowicie gdy Teodoryk, marszałek, w głowę cięty, dostał się w niewolę z Hrabiami de Plauen i Honstein. Do samego wieczora ścigany i bity nieprzyjaciel zasłał szeroko trupami pola. Legło wiele braci i niemieckiego rycerstwa, a więcéj nierównie innego gminu. Liczba wszystkiéj straty wynosiła do dwudziestu tysięcy. Z naszych zabito kilkaset, a między innemi znaczniejsi Zegota z Morawicy, Chorąży Krakowski; Krystyn z Ostrowa Chorąży Sandomierski, syn Prandoty, kasztelana krakowskiego, i Jakób z Szumska, kasztelan Żarnowski.

Z pamiętników Franciszka Karpińskiego.

Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem! Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko Malickiego i Sosnowskiego tak jak oni do mnie przylgnąłem? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniéj wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączyć zwykło. Z Sosnowskim, który był w niższéj szkole odemnie, do takiéj przyjaźni przyszło, żeśmy nietylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w któréj, prócz poprzysiężenia przyjaźni, była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwéj umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak natenczas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedziéć. Co żeby tém mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na téjże saméj mszy obadwaj komunikowali. W pół roku potém pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszéj pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł; jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wyspowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy, śmiały potém, w nocy nawet ku kracie grobowéj szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, to mi się nigdy nie pokazał! Tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi, czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła. Starsze klassy, jako to: Poetowie, Retorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami się modliły. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim pod czas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potrącali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moję i zaszedłszy po-za ławki, z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek przydawszy głośno: „złego i kościele biją!“ A potém poszedł do

swojéj ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojéj strony, przypominały mi na potém skromność w kościele.

Krew żywa, która do swywol poruszała, była mi razem pomocą, żem się i nażnaczonych mi na pamięć pensów najłatwiéj zawsze nauczył, i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiéj się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół, pensów na pamięć wydawanych, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojéj religii wpojonéj przez ojca gorąco przywiązanym. Nasłuchawszy się żywotów SS. Pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszéj gospodyni, uciekłem w nocy, do blizkiéj Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcéj bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz ś. Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary. Wiedziałem, że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyznie, nie tak od Stanisławowa odległe; umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka Muzułmanów, ostatniemi lżyć wyrazami; tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwéj jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały. Dużą szpilkę utkwiłem sobie w udo. Z bólu krzyku narobiwszy, i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziéj na skrzypcach, chciałem się jéj uczyć najusilniéj; ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak i mówić po francuzku, na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia połączona z chęcią nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu, tam służąc przy kapeli kościelnéj, razem N. P. Częstochowskiéj przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na

spowiedzi odradził: nie czynić zle (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko) człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został. Nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nic więcéj nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na takąż funkcyję. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku. Pokazano tedy woźnemu i dwom szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowem: że nic się po nim nie zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega, i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blizko byli kościoła, kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uśpiła była) ruszać się począł a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. Czasy to były, w których najwięcéj w upiory wierzono i biedni chłopi zląkłszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopa kryjącego się, na Boga zaklinać począł, ażeby do niego przystąpił. Póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi nie dowierzali; ale potém zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powrócili, gdzie on przybywszy prosił najusilniéj tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo „ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniéj służąc, za jego szkody.“ Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz odesłał go do starego jego pana, u którego stanąw-

szy, wszedł mniemany trup do pokoju, w tym samym kontuszu, w którym był uciekł, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącém na stoliku pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiéj izby, gdzie się zamknął. On biedny prosić przede drzwiami począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: „Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu,“ ale przecież poznano po wszystkich przestrachach co się stało, i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Wyjątek z Epoki natury.

Staszica.

Jak piękną jest natura! jak za starannością człowieka ślicznie i wspaniale przybrana! on sam staje się jéj najpierwszą ozdobą, on jest najwspanialszém dziełem; on swoją sztuką wyjawia to wszystko, co natura zaniedbana kryła w łonie swojém. Jak wiele skarbów było utajonych, jak wiele bogactw dobytych! kwiaty, owoce, nasiona wydoskonalone i rozkrzewione nieskończenie; zwierząt pożyteczne gatunki sprowadzone, powiększone i rozmnożone niezmiernie; gatunki szkodliwe wygubione, zmniejszone i wypędzone zupełnie; złoto i żelazo od złota nierównie potrzebniejsze, z wnętrzności ziemi wykopane; wód potoki wstrzymane, spław rzek ułatwiony, brzegi nad ich koryta wywyższone i wzmocnione; morze samo już poznane, zwiedzone i dokoła objechane; ziemia wszędzie dostępna, wszędzie zaludniona i wszędzie obfita; w bogatéj dolinie ciągną się roskoszne łąki, po rozległych błoniach szerzą się żyzne pastwiska, lub milszy jeszcze widok sprawia bogate żniwo; pagórki okryte winnicą i owocami; ich wierzchołki uwieńczone pożytecznemi drzewy lub młodocianym laskiem; pustynie zamieniły się w miasta bogate, najliczniejszym ludem zasiadłe, który zawsze czynny, z nich, jakoby z powszechnego środka, rozchodzi się w pograniczne okolice; drogi otwarte, wolne i uczęszczane; wszędzie przeprawy ułatwione stają się świadkiem siły i jedności społeczeństwa, tysiące innych dowodów mocy i sławy okazują dosyć jasno, że człowiek, pan ziemi, odmienił, odnowił jéj wierzch zupełnie i że od wszystkich czasów z naturą pracuje wspólnie. Przecież on nie panuje tylko pod hasłem zwycięztwa; więcéj używa niżeli posiada, a nic nie dochowuje, tylko przy codziennem ponawianiu swojéj staranności. Niech się bynajmniéj opuści, natychmiast wszystko schnie, wszystko się psuje i wszystko powraca do rąk natury. Ta obejmuje swoją władzę, psuje pracę człowieka, zasypuje popiołem i okrywa mchem jego najwspanialsze dzieła; z czasem rozwala je zupełnie i smutne tylko z nich zostawia rujny, któreby mu tę żałosną powtarzały pamiątkę, że utracił to swojém niedbalstwem, co jego ojcowie posiedli pracą. Tych czasów, w których człowiek utraca swoje prawo; tych okrutnych wieków, w których wszystko ginie, zawsze poprzednikiem bywa wojna, a towarzyszem głód i mór. Człowiek, który nie staje się dzielnym, tylko przez liczność; który nie jest mocnym, tylko przez społeczność; który szczęśliwym być nie może, tylko przez pokój, zapamiętały na swoje nieszczęście, uzbraja rękę, a na własną zgubę stawa na placu zabójstwa: uwiedziony brzydkiem łakomstwem, zaślepiony jeszcze brzydszą dumą, wyrzeka się uczucia ludzkości; obraca cały gwałt na siebie samego; usiłuje sam się zniszczyć i w istocie sam się niszczy; dopiero po tych okropnych dniach krwi rozlewu i wściekłéj ludorzezi, gdy zniknie dym czczéj chwały, smutny obumarłém okiem spogląda na spustoszoną ziemię; widzi z żalem rzemiosła zagubione, lud rozproszony, narody osłabione, własne szczęście utracone, i istotną swoją moc zniszczoną.

O języku polskim. (*)

przez Jana Śniadeckiego.

Język polski godziż się uważać w swem niemowlęctwie i w tym stanie nieokrzesania i dziczyzny, jakby w nim ani rzeczy oddawna znano, dobrze nazwane nie były, ani nazwiska i wyrazy wymawiano i pisano właściwie? Oto pierwsze za-

(*) Porównaj z rozdziałem: O języku polskim Górnickiego na str: (157) i z ustępem z Kremera na str: 43.

pytanie, którem sobie robił biorąc się do pisania w tym języku. Kiedy naród cały, mówił od swego początku tym językiem, stanowił i pisał w nim prawa; kiedy w tym języku ma przełożoną biblią i najszacowniejsze dzieła starożytnych i dzisiejszych narodów europejskich; kiedy tyle posiada rozlicznych wiadomości i nauk w tym języku ogłoszonych; kiedy wydał tylu prawdziwych i wielkich poetów, a w prozie po Reju z Nagłowic, Stanisławie Orzechowskim, Łukaszu Górnickim, Piotrze Skardze, Kazimierzu Kojałowiczu, miał jeszcze znakomitych pisarzy: w Ignacym Krasickim, Adamie Naruszewiczu, Franciszku Dmochowskim, Hugonie Kołłątaju, Grzegorzu Piramowiczu, Onufrym Kopczyńskim, nie wspominając tylu innych dotąd żyjących: język tylu pracami od trzech wieków zbogacony, tylu pięknościami i zaszczytami świetniejący, nie może się uważać w stanie dzieciństwa i niedojrzałości!—Wszystko więc, co było dawno znane, musi mieć swoje nazwisko, które potrzeba tylko w tym języku wyszukiwać i wydobywać z zamieszania a na rzeczy dawno wiadome nowych słów i nazwisk stwarzać się nie godzi.

Nie godzi się téż słów i wyrazów znanych i powszechnie przyjętych wykrzywiać, przerabiać i odmieniać. Bo jeżeli chlubimy się z tego, czego inne europejskie narody za sobą nie mają, że rozumiemy wszyscy język wieku Zygmuntów, starać się powinniśmy, aby ci ojcowie mowy naszéj, gdyby wyszli z swych grobów, w rzeczach sobie znanych mogli nas wzajemnie rozumiéć.

I na tém zdaje się mi polega stałość, ocalenie i zachowanie narodowego języka. Język nie jest strojem kobiecym wystawionym na dziwactwa mody i wymysły przymilenia, któreby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać, żeby go potém porzucić i zaniechać. Jest to owszem ustawa, wskazana przez towarzyską potrzebę; wyrabiana wiekami ze skłonności, obyczajów i charakteru narodu, doskonalona postrzeżeniami i talentem znakomitych ludzi, a utwierdzona zgodném przyjęciem i powszechném całego ludu używaniem. Tak ustanowiony język jest znamieniem rozróżniającém od siebie narody i ich pokolenia tak jak imiona, nazwiska, herby i przydomki, rozróżniają osoby i familie w towarzystwie. Jeżeli więc każdy obraża się i oburza, kiedy kto jego nazwisko przekręca i kaleczy, albo co

w jego znakach i herbie odmienia: z równą słusznością urażać się powinien naród, kiedy ktoośmiela się przerabiać i odmieniać jego język i wyrazy od dawna i powszechnie przyjęte. Dla tego taki krok nieuwagi, nie wiem czy źle, czy dobrze, brałem zawsze za winę obrażonego narodu. Wszystkie oświecone Europy kraje tkliwe są na podobne wykroczenia, i przebaczać im nie zwykły. Wiemy na jak skrzętne szpiegowania, na jak uszczypliwe wyrzuty i szyderstwo wystawiona była akademija francuzka w Paryżu trudniąca się doskonaleniem języka, ilekolwiek razy chciała się odważyć na jaką w języku lub jego wyrazie odmianę!—Naród, który wydał tylu wielkich pisarzy, uważał swój język, jak ową Arkę świętą, któréj nie godziło się dotykać, tylko uprzywilejowanym, to jest nadzwyczajnym talentem udarowanym ludziom. Wszystkich fabrykantów nowych słów i odmian okrywano obelgą i szyderstwem, i ogłaszano jako nieumiejących języka. I lubo w tym narodzie do przesady skłonnym, często zbyt daleko posuwano tę żarliwość, wszelako ostrość ta i surowość miała swoje pobudki w miłości własnéj, i dumie narodowéj.

Język jest skazówką stopnia, do którego przyszedł naród w cywilizacyi i oświeceniu. Jeżeli język jest ciemny, nieokrzesany, ubogi w wyrazy na znaczenie rzeczy, myśli i namiętności w rozmaitych ich cieniach, przemianach i stopniach; jeżeli prawidła jego nazywania, wymawiania i pisania nie są ustanowione i dobrze oznaczone, naród nie wyszedł jeszcze z dziczyzny, ani do rzędu oświeconych i ucywilizowanych ludów nie ma prawa należéć. My Polacy na cóż się chlubimy wiekami Zygmuntów i Stanisława Augusta? Na co stawiamy na naszą chwałę tyle dzieł wzorowych w różnym rodzaju nauk i wiadomości? Na co w tych dziełach wychwalamy tyle zaszczytów dowcipu i umiejętności, na co uwielbiamy języka naszego jasność, bogactwo i dzielność, jeżeli w XIX wieku pozwalamy twierdzić i drukiem ogłaszać potrzebę przerabiania nazwisk, sposobu ich inaczéj wymawiania i pisania, w rzeczach i myślach potocznych? Cóż nam po prawidłach grammatycznych przez Kopczyńskiego tak pracowicie wyszukanych, tak umiejętnie i gruntownie dowiedzionych, jeżeli ich nie mamy słuchać i zachowywać w pisaniu? Na co się zda ogrom tak potrzebnych, tak nieocenionych mozołów Lindego w jego sło-

wniku na to sporządzonym, aby nas obeznać z rzetelném znaczeniem i wdrożyć we właściwe użycie słów i wyrazów? Na co się, mówię zda tak ważna robota, jeżeli się otworzyła nowa i bogata mina geniuszów, reformatorów, i fabrykantów słów, którzy depcząc wszystką powagę wielkich pisarzy, podają się i ogłaszają za doktorów narodu?

Takiem sobie w bolesnem wzruszeniu porobił pytania, kiedy mi wpadły w ręce książki i pisma, w których, jak gdyby w szpitalu chromych i kalek, znalazłem wyrazy prawdziwie polskie i czyste, zmienione, powykręcane, i jak na łożu tyrańskiém Prokusta, obcięte i podręczone; inne znowu bez żadnéj potrzeby niezgrabnie potworzone i polepione! W innych krajach ludzie bardzo długo są uczniami wielkich pisarzy, pracowitego ćwiczenia i głębokiego rozmyślania; u nas każdy zaraz chce bydź nauczycielem, reformatorem i prawodawcą! Geniusz polski jestże to twór złożony z pierwiastków nieładu i dziwactwa: kiedy czego się tylko dotknie, wszystko mięsza burzy i wywraca, własnéj nawet mowie nie przepuszczając!!

Zygmunt August w Wiśniczu.

z Niemcewicza.

Królestwo odpocząwszy nieco, wyszli na wieczerzę do przygotowanéj ku temu sali; poprzedzali ich z laskami wielcy marszałkowie: Kmita i Mielecki. Królestwo z senatorami u osobnego siedzieli stołu; uginał się ten stół od pozłocistych sreber i złotych roztruchanów, usługiwali giermkowie i pokojówcy wojewody. Przy wetach ofiarowała gospodyni królestwu marcypan, zalecając, że był przez jéj siostrzenice pieczony. Kmita, jako był do kielicha sławny, napełnił małmazyą szczerozłoty, ogromny roztruchan i wychylił go za zdrowie Królewskie: toż gdy uczynili i inni, zadrżały okna zamkowe od huku dział, strzelby, kotłów, trąb, i odgłosów przytomnych. Król małym kieliszkiem pił wojewody zdrowie.

Po skończonéj wieczerzy Kmita, zbliżywszy się z uszanowaniem do króla:

—Miłościwy Panie, rzekł mu—mam Waszą Królewską Mość prosić o łaskę jednę.

—O cóż, mój Wojewodo?—spytał król.

—O to, byś Wasza Królewska Mość pozwolił panu Tęczyńskiemu pasować na rycérzów dwóch siostrzeńców moich, pana Barzego i Stadnickiego.

—A sąż przygotowani do tego?

—Zupełnie—odparł wojewoda—ostatnie obrządki dzisiejszej nocy odprawią.

—Całém sercem—odpowiedział król; niech się to jutro stanie. Przyzwał Kmita siostrzeńców, którzy Królewską ucałowali rękę.

Dwaj młodzieńcy, kilka dni poprzednich na modlitwie i pokucie strawiwszy, w towarzystwie kumów, których jak do chrztu potrzebowano, weszli o świcie do kaplicy zamkowéj dla odprawienia spowiedzi i przygotowania się do komunii świętéj. O godzinie dziesiątéj pokazali się królestwo i dwór cały w wyższéj loży; na wzniesioném krześle w bogatéj szacie, lokką tylko mający karacenę, usiadł Jan Tęczyński. Ksiądz Podlodowski, biskup sufragan krakowski, śpiewał mszę świętą. Ta gdy się skończyła, ujrzano dwóch młodzieńców w odzieży białéj, z mieczem rycerskim na ukos zawieszonym na szyi, zbliżających się do wielkiego ołtarza i miecze te oddających księdzu Podlodowskiemu: ten poświęciwszy je, znów je zawiesił na szyi Barzemu i Stadnickiemu, którzy ze złożonemi rękami i pobożnie spuszczonemi oczyma uklękli przed młodym Tęczyńskim i oręże mu swoje oddali, prosząc, by ich raczył na rycerzów pasować.

—Dlaczegóż żądacie zaszczytu tego? zapytał Tęczyński.

—Byśmy się stali godnymi bronienia wiary świętéj, ojczyzny, króla i uciśnionéj niewinności.

—Wyrzekacież się—zapytał znowu Tęczyński—wszystkich czynów, któreby zaszczyty rycerstwa splamić mogły: bojaźni w boju, nieuczciwości w pokoju, obłudy, pochlebstwa i chciwości?

—Wyrzekamy!—zawołali młodzieńcy.

Tu panny dworskie podawały im koleją zbroje, zaczynając od lewéj ostrogi, dalej pancerz, naramiennik, naręczaki, nagolenniki, nakoniec miecze. Natychmiast powstał z krzesła

Tęczyński i dobywszy szpady, po trzykroć płazem jéj uderzył klęczących po ramieniu i raz dłonią po policzku, co było znaczeniem, że jeżeli chcą godnie dokonywać powinności stanu swego, gotować się powinni na cierpliwe wszelkich przykrości wytrwanie. Tęczyński raz jeszcze dotykając ich szpadą, rzekł do każdego. „W imię Boga, świętego Michała, i świętego Jerzego! bądź mężny, śmiały, i wierny!"

—Natychmiast giermkowie podali im szyszak, tarczę i kopiję. Na dziedzińcu stały już bogato przybrane bachmaty, na które młodzieńcy, nie kładąc nogi w strzemię, wskoczyli, nowém chlubiąc się dostojeństwem, toczyli na koniach, potrząsając do góry kopijami i błyskając w powietrzu głowniami ostrych oręży.

Przygotował był Kmita turnieje, lecz Zygmunt August, ogłosiwszy je także na wkrótce odprawić się mającą koronacyją królowéj Barbary, prosił, aby się igrzyska te odprawiły razem. Resztę poranku strawił król na oglądaniu pysznych zamku wiślickiego pomieszkań. Lśniły się wszędy ogromne stosy srebér i złota: srebrne wanny, cebry, perłowe konchy na podstawach z drogich kamieni, dęte ze złota małe posągi i rozmaite drogich ciekawości przedmioty. Najdłużéj atoli zastanawiał się król nad obrazami, wizerunki dawnych, sławnych polaków przypominającymi. Widziano tam portret Gowórka, nieodstępnego Leszka Białego przyjaciela; Bodzanty, arcybiskupa gnieźnieńskiego, co pradziada królewskiego na królestwo polskie koronował; Zbigniewa Oleśnickiego, któremu król ten w bitwie pod Grunwaldem życie był winien; Zawiszy Czarnego, głośno po świecie z dzieł rycerskich znanego.

Królowa Barbara prędko przeszedłszy, długo wlepione miała oczy w duży obraz, wystawiający wesele Władysława Jagiełły z Jadwigą. Jakoż przechodził on inne malowania pięknem pokupieniem figur, wyrażeniem w twarzy rozmaitych duszy poruszeń, żywością farb, bogactwem i przepysznym ubiorem, całym nakoniec sceny téj układem.

Tu Piotr Baranowski, podczasy piotrkowski i marszałek dworu wojewody, dał znać, że już dano do stołu. Wziął król małżonkę swą pod rękę i udał się do sali jadalnéj. Trwała wspaniała uczta, aż do wieczora prawie. Tymczasem Kmita, nigdy hojniejszy jak przy końcu biesiady, przystąpił do króla

i schyliwszy kolano prosił, aby August na pamiątkę, że uczcił progi jego, przyjął dar mały. Był to puhar jaspisowy, na którym cyfra królowéj B. R. z koroną na wierzchu w dużych dyamentach wysadzaną była. Obróciwszy się potém do królowéj:—„I ty Pani! rzekł—z prawa—Polski, z wdzięków—Cypru królowa, racz od sługi Twego upominek ten przyjąć!" Tu położył przed królową Barbarą kanak z dużych szafirów, obwiedzionych perłami, mający wpośrodku pyszny onyx z wyrżniętym podobnym nader wizerunkiem królewskim. Królestwo spojrzeli na siebie: zakłopociły ich nieco te dary, lecz nie chcąc obrażać wojewody, z dobrą je chęcią przyjęli. Lecz nie tu koniec gospodarza hojności; wszyscy panowie i dworscy królewscy odebrali od niego pamiątki: ci konie, owi pierścienie, inni łańcuchy, lamy złote i tym podobne. Tęczyński przyjąć musiał zupełną zbroję i szyszak, należące niegdyś do powinowatego przodków Kmity, Zawiszy Czarnego. Była ta zbroja cała powleczona szmelcem czarnym i gęsto przesypana gwiazdami z uryańskich pereł.

—Nikomu—rzekł—zbroja ta nie należy właściwiéj, jak Waszmości: jesteś bowiem Zawiszą wieku naszego.

Po obiedzie poszedł król w karty. Grano w flusa: potrzeba było mieć trzy króle, by wygrać. Żartobliwy pan pokazując dwa, rzekł: „Wygrałem."—„Miłościwy Panie!—rzekł grający z nim Spytek z Zakliczyna, podskarbi w. kor.—nie widzę jak dwa króle."—„A mnieżto za nic liczysz? odparł August, —Ja trzeci."

Zaledwie słońce promienie swe zgasiło, gdy pałające łono tysiącznych świateł uderzyło o potężne szyby okien wiśnickiego zamku.

Król i królowa, postrzegłszy to, zeszli coprędzéj do ogrodu.

Co za widok uderzył oczy ich! Cały ogród i łączący się z nim zwierzyniec płonęły w niezliczonych ogniach. Roztaczające się wpośród gajów tych wody we wszystkich zagięciach swoich kilkakrotnie odbijającym się szeregiem gęstych lamp otoczone były. Ognie te tło lazurowe niebios, przesypane tysiącami gwiazd iskrzących odbijając się o czyste wód kryształy, wystawiały zadziwionym oczom migające się pole szafirów i dyamentów. W lampach ze szkieł rozmaitych kolorów, za-

wieszonych na drzewach, kształty różnych owoców noszących, jaśniały pąsowe granaty, złoty owoc pomarańcz i inne płonące dary Pamony. Sploty jaśminów i róż świeżych, łącząc szereg długi ogromnych drzew pomarańczowych, napełniały powietrze najprzyjemniejszą wonią. Tu i owdzie zawieszone były tarcze w gęstych ogniach, noszące na sobie cyfry króla i pięknéj królowéj.

Na końcu nieprzejrzanéj ulicy z modrzewiów, nad brzegiem czystych strumieni, wznosiła się okrągła koryncka świątynia, cała gorejąca w lampach; wpośród niéj widzieć się dawał przezroczysty obraz w naturalnéj wielkości z portretem Zygmunta Augusta i królowej Barbary.

Tu zaszły królestwu drogę hoże dziewice i młode chłopięta w białe lekkie suknie ubrane, niebieskiemi wstęgami przepasane; zawieszone u góry w postaci aniołków dziecięta, na srebrnych unosząc się skrzydłach, przelatywały przed nimi, i wonne rzucając kwiaty, śpiewały.

Naprzeciw świątyni rozbity był bogaty namiot turecki, szyty perłami i złotem; podniesione ściany jego odkrywały stół dla królestwa przygotowany. Ustały chóry, królestwo usiedli na wywyższoném miejscu; w oddaleniu dęta muzyka słyszéć się dała, wszyscy podawali się weselu, gdy nagle przezroczysty obraz naprzeciw świątyni zajął się płomieniem. Rzucono się zewsząd na ratowanie go; uratowano tylko połowę, druga nosząca wizerunek królowéj, całkiem ogniem spłonęła. Królowa Barbara postrzegłszy to, zemdlała i bladą swą głowę na ramieniu królewskiém zwiesiła. Powszechna radość zamieniła się w trwogę: przelękniony król pierwszy zaczął ją trzeźwić; przypadli lekarze, za pomocą ich otworzyła królowa Barbara oczy. Ach! wszystko—rzekła z westchnieniem, potwierdza smutne me bliskiego końca przeczucie.

Przypadek ten przerwał tak świetnie przygotowane gody.

WZORY STYLU EPOKI ODRODZENIA W WIEKU XIX.

Ofiara pierwszego Kwiatka.

Jeszcze zima nie zupełnie opuściła naszą krainę, jeszcze nie wszystkie pączki otwierać się zaczęły i ziemia w wielu miejscach ostrą i nierozmarzłą się wydawała, kiedy razu jednego, biegło przez lasek sześcioletnie dziecię.

Mimo przykréj drogi, mimo tylko szmatkiem owiniętych nóżek, pospieszał chłopczyna niemal coraz żwawiéj, odgarniając kiedy niekiedy jasne włoski nasuwające mu się na czoło. Zatrzymał się wreszcie, zboczył już i tak z krętéj ścieżki, podskoczył w lewo, to znowu na prawo, a nakoniec z krzykiem radosnym pokazał, że dobiegł kresu swych życzeń. Pod małeńkim jałowcowym krzaczkiem, był śliczny, świeżuchny, dopiéro co rozwity pierwiosnek. „Ach cóż-to za radość, rzekł sam do siebie, śliczna panienka dotrzyma obietnicy i bez wątpienia, da mi jeszcze co więcéj nad okrągłą, białą złotówkę. Ileż ja sobie rzeczy za nią kupię... a kto wie, może... i w uniesieniu dziecięcém, spójrzywszy na przeziębłe nóżyny: trzewiczki! zawołał głośno,

I urwał kwiatek nadobny, a wziąwszy go ostrożnie w rękę ku udeptanéj pospieszył ścieżce. I biegł znowu bez wytchnienia, póki nie ujrzał szerokiéj, wysadzonéj drogi, do ładnego prowadzącéj dworku. Lecz tu na samym skręcie stoi kapliczka, a mimo wielkiego pośpiechu, jakże-tu nie wejść do niéj, nie ucałować drogiego obrazu Najświętszéj Dziewicy, którą mateńka nim zasnęła na zawsze, kochać jak drugą ma-

kę przykazała. Wszedł więc chłopczyna niepewnym krokiem ukląkł przed obrazem, złożył drobne rączki i modlić się, polecać opiece Matki Boskiéj zaczął, tak jak matka jeszcze uczyła; a twarz jéj tak mu się wydała piękną, takim tchnęła dobroci wyrazem, że złożyć przed nią w ofierze kwiatek, tyle przed chwilą ceniony, niczém mu się teraz zdało, byłby chętnie dał co więcej jeszcze. Złożywszy pierwiosnek przed obrazem, pełen lubéj radości opuścił kapliczkę, już i ponętne zabawki i ciepłe trzewiczki zniknęły z myśli, lecz nigdy jeszcze tak swobodnym, tak pełnym dobréj myśli się nie czuł.

Boska dziewica nie opuściła dziecięcia co tak wcześnie jéj opieki wzywało. Janek wyrósł zdrowo na uczciwego i użytecznego człowieka, Bóg mu błogosławił, kochali ludzie, bo pamiętał na słowa matki, nie wahał się uczynić ofiary dla téj, która mu pierwszą zastąpić miała.

Powietrze.

Była to niedziela—niedziela dzień tak ważny, tak uroczystych dla pracowitych wieśniaków; jednak nie widać radości na twarzach skromnych mieszkańców Wierzbowa. Czemuż milczą ochocze skrzypki niegdyś do miléj wzywające rozrywki? Czemuż ustał wesoły gwar zebranych kumoszek i głośno rozprawy starszych wiekiem gospodarzy? Co znaczy posępność, ten wyraz przerażenia?—Kto pozamykał te chatki? gdzie są ich właściciele?—Co przyczyną łez téj rozpaczającéj niewiasty? Kto wydarł Matkę tym tułającym się dziatkom? Zaraza! okropna zaraza!...

Powoli, donośnie, ozwał się odgłos kościelnego dzwonu do wieczornéj wzywając modlitwy. Ucichły szmery, wszyscy jakby jedną niewidzialną pchnięci siłą, padli na kolana, i gorącemi słowy i pełném czucia wejrzeniem błagali litości Boga.

Ostatni raz dzwon uderzył uroczyście, żałośnie, a w jego dźwięku było coś tak smętnego, tak okropnego, jak gdyby był echem konających jęku, skargą pozostałych sierot, lub nowych klęsk przepowiednią. O! długo, długo ten odgłos złowieszczy drżał w uszach słuchających, choć coraz ciszéj, choć coraz słabiéj, lecz zawsze z równém wrażeniem, aż nareszcie skonał zupełnie. Ale powstał jęk drugi, już nie marzeń, przewidzeń,

nie urojenia, tylko jęk boleści.—Małe wynędniałe dziecię w odartéj sukience, z piętnem choroby i wyniszczenia przywlekło się do murów cmentarza okrążającego świątynię—chciało postąpić daléj—zadrżały nóżki i padło bezsilne na ziemię.—Jeszcze raz wzniosło zapadłe oczy, w których ogień gorączki walczył z mgłą śmierci, poruszyły się spieczone usta jakby chłodzącego szukając napoju, podniosła się zsiniała rączka, i dziecię zawołało na wpół umarłym głosem „wody!... kropelkę wody dajcie!...

Posunęło się kilka osób—ale myśl zarazy nagle ich cofnęło, i rozpierzchł się tłum patrzących—a bojaźń śmierci ostudziła uczucie ludzkości w sercach tych ludzi, którzy przed chwilą sami tak kornie błagali miłosierdzia.

Wtém się wyrywa z pośród tłumu niewiasta—jéj odzież nosi cechę kilkodniowéj podróży—na licach maluje się wyraz zmordowania i pośpiechu. Ona jedna zrozumiała błagalny głos dziecięcia! Ach ten głos jéj tak drogi, ledwie zachował cząstkę dawnego dźwięku—jednak poznało go serce!.. Wstrzymuje ją nieczułych zgraja,—zabrania—grozi—straszy; ona nie słucha—ona wyrywa się z rąk natrętników i bieży, bo któraż Matka lęka się śmierci na widok konającego dziecięcia?

O już są razem!... synu mój! zawołała chwytając go z dziką rozpaczą w swoje objęcia; synu mój! jęknęła mocnym, przedłużonym głosem i w tych wyrazach wylała się cała jéj dusza.

Stanęła niema, martwa—jakby nagle rażona uderzeniem piorunu. Znów porwała dziecię, okrywa je pieszczoty, uściski, jak gdyby chciała wspomnieniem szczęścia, obietnicą rozkoszy zmusić do pozostania ulatującą duszę—i własném tchnieniem przedłużyć coraz wolniejszy oddech swojego syna.

Poznało nakoniec dziecię obecność Matki! chciało jéj czułem nagrodzić wejrzeniem—ale łza śmiertelna zaćmiła oko,—uśmiech skonał na usteczkach—a kiedy wezbranéj tkliwości kropelka potoczyła się po wybladłém licu, już w osłupiałych oczkach nie płonął ogień życia!

Z Zorzy

Śpiew skowronka.

Gdy żyjące przyrodzenie budzi się ze snów zimowych śpiew skowronka jest jakby hasłem do życia wzywającém.

Dźwięczna i tkliwa piosnka jego jest niby kwileniem dziecięcia, jest jakby głosem natury, która na podobieństwo pierworodnéj córy przedwiecznego Ojca, pierwszém słowem po imieniu Go wzywa, i o ciągłą opiekę nad sobą prosi!—

Lecz dla nas, co kipiącą czarę żywota już dopijamy, cośmy z niéj znikliwą pianę nadziei już spili, dla nas, którym do spełnienia gorzki tylko męt pozostał, godzi się przynajmniéj w tym śpiewie dosłuchiwać się głosu pocieszycielki Wiary.

Bo i powiedz tylko, jeżeliby tobie się zdarzyło, zdala od społecznéj wrzawy, stanąwszy wśród niwy, posłyszéć tego śpiewaka, co w górną wzbijając się krainę, zawsze miłém, zawsze rzewném, ale coraz to słabszém do Ciebie odzywa się pieniem, jakież to wtenczas w twéj duszy obudziłoby się uczucie? Za tym głosem, czyliżby i duch twój, nie ulatywał ponad ziemię, coraz wyżéj, coraz wyżéj, gdzieś w przestwory nadziemskie gdzieś w krainę pożądaną, przeczuwaną, chociaż nieodgadniętą, w któréj spodziewasz się znaléźć to, co w mowie ludzkiéj szczęściem zowiemy, która jest prawdziwą naszą dziedziną, w jakiéj ujrzymy niebieskiego Ojca naszego?

Na głos ten baczne natężaj ucho: bo to nie dźwięk sztuczny, co przebrzmi jałowo. Jakeś za nim oderwał się od ziemi, tak z nim znowu do ziemi powrócisz, i przypomnisz sobie, że tu jest pole twojéj zasługi, że to są szranki doczesnego bojowania, z którego wyszedłszy zwycięzcą, zamieszkasz na zawsze ową niebieską ojczyznę, do któréjś tęskną duszą gonił, i którą ci przypominał, wprawdzie w zmysłowy sposób, zawsze jednak o niéj do ciebie mówiący głos skowronka! Ale chodź jeszcze posłuchać śpiewu tego na innéj niwie wspomnień; chódź na cmentarz. Może tam, chociaż przedwczesne, masz już swoje wspomnienia. Jeśliby ci tu klęczącemu z pochylonémi od smutku czołem nad mogiłą drogiéj ci osoby, zdarzyło się zasłyszéć śpiew skowronka, cóżbyś uczuł w téj chwili? Są wrażenia, do których oddania nie staje głosu w językach żyjących; są to nieprzystępne ducha tajemnice; nie dająca się podzielić, wyłączna własność duszy; zmysłowym nie wystawisz jéj sposobem!! . . . . . My przynajmniéj nie możemy tu nic innego powiedziéć jak tylko: Błogosławionaś, jedyna pocieszycielko, Wiaro święta! . . .

Z pism peryjodycznych.

Poklask i Błogosławieństwo.

Czy znacie dziewicę piękną jak młodzieńcze marzenie, świeżą jak rozkwitająca róża, z myślą jasną jak jutrzenka, dziewicę nadobną, wielbioną?—Czy w tańcu lekkim i uroczym, cały skarb wdzięków swoich rozwinie, czy w duszy jéj, boskiém ożywiona natchnieniem, iskra poezyi zabłyśnie, czy harmonijna z piersi wydobędzie się piosnka, czy też w towarzystwie zadziwia dowcipem i trafnością sądu, zawsze równie powabna i miła, zawsze zachwyca i uwielbienie wzbudza.—Więc ona bardzo szczęśliwą być powinna, więc życie jéj powinno być jasne, pogodne, jak jéj dni opiekuńcza gwiazda, co się w nadobne wpatruje oblicze.—Dziewico! jestżeś szczęśliwą? pełneż jest serce twoje? na niczém-że mu nie zbywa? uśmiech igra na ust twych purpurze, oko błękitne nadziemskim jaśnieje blaskiem, ale ja nie wierzę tobie, nie wierzę tym powierzchownym oznakom zadowolenia; w twojém sercu jakaś tęsknota, jakiś smutek;—czyż nie znudziły cię hołdy, których jesteś przedmiotem? czy nie sprzykrzyły ci się pochwały, jakiemi cię obsypują? czy może zdradliwy robak zazdrości nieczystém tchnieniem rumiane każe lice? . . . ja nie wiem tego, ale wiem, że nie jesteś szczęśliwą.

Czy znacie niewiastę, co często w najpiękniejszych chwilach życia swojego, opuszcza świat i ułudne jego rozkosze; zrywa związki z krainą złotych marzeń, ażeby pędzić dni swoje wśród nędzy i utrapienia? Czy znacie niewiastę, co potrzebując pociechy, wyrzeka się saméj siebie, zapomina o sobie, by nieść pociechę nieszczęściu i nędzy, by zamknąć zgrzybiałego starca powiekę, by zastąpić matkę sierocie; czy znacie Siostrę Miłosierdzia? Jakże jéj poświęcenie pokorne i wzniosłe, jak godne poszanowania! a jakiż jest cel tego poświęcenia, téj pracy? jaka jéj nagroda?—Oto nędzarz przy którego łożu niejedną bezsenną noc spędziła, powie jéj: Niech Bóg wam to nagrodzi! i tò błogosławieństwo powtórzy głos tłumu nieszczęśliwych, co jéj staraniom ulgę w cierpieniach życia winni, a te słowa, jak echo dobroczynne odbiją się w duszy najzacniejszéj niewiasty, i napełnią jéj serce szczęściem nadziemskiém, szczęś-

ciem boskiego zachwycenia.—O! ona jest szczęśliwą! choć nie śmieją się jéj lica, choć łza błyszczy w jéj oku, ja wierzę jéj szczęściu!.

z Zorzy.

Listy Brata i Siostry.

List pierwszy. Zdzisław do Wandy.

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie kochana Wando, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tulając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u Ciotki naszéj, która już za córkę cię uważa. Zaczęła swoją opiekę od przedstawienia ci twoich obecnych powinności, ona pierwsza cię nauczyła, że nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie twój list, i słodką ku Ciotce przejął wdzięcznością; w saméj rzeczy, rodzeństwo osierocone więcéj od innego kochać się powinno, a wzajemném przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną rodziców stratę . . . Ale dla czegóż kochana siostro, te uczucia po francuzku wyrażasz? wszakeśmy oboje Polacy? wszak w kraju polskim mieszkamy? po polsku więc pisuj do brata. Mowa ojczysta najmilsza i najprzyzwoitsza każdemu; wyrazy przywiązania w niéj kreślone, jeszcze snadniéj do serca trafiają, bo sam dźwięk narodowego języka słodko to serce porusza . . . . Pamiętam, żeś od dzieciństwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie twoją pilność chwalono; z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i te pochwały mylnemi nie były; w dwunastu leciech trudno tłomaczyć się gładziéj i jaśniéj, a jeszcze w obcéj mowie; wyglądam zatém z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie po polsku napisanego; wierzaj mi, podwoi się tym sposobem wdzięk korrespondencyi naszéj, bo gdzież szukać milszéj mowy od mowy naddziadów? i w jakiéjżeby uczucia i myśli łatwiéj wydać można jak w téj, którą najpierwéj usta nasze przemówiły?

List trzeci.

Wiesz com zrobił z twoim polskim listem? nie odczytawszy go, rozdarłem. Wybacz Wando, ale w pierwszéj chwili nie mogłem się wstrzymać. Wiesz com jeszcze zrobił? oto na nieszczęście wpadł mi zaraz potém pierwszy twój list w rękę, i ten podarłem, bom się szczerze na ciebie rozgniewał. Tak dobrze na wiek swój obcym pisząc językiem, jak możesz ojczystym takie brednie prawić? Wstyd mnie za ciebie; a gdy sobie przypomnę, żeś gotowa do uznania tego błędu, szczerze cię żałuję. Nazwałaś mnie sama swoim opiekunem i ojcem; starszy od ciebie sześcioma laty, mam niejakie prawo do użyczenia ci rad dobrych; nie dziwuj się więc, jeśli do ciebie po ojcowsku napiszę; pochlebiam sobie, że i ciotka gniewać się na mnie nie będzie; ona dobrocią swoją tę śmiałość mi nadała.

Na miłość, którą masz ku mnie, zaklinam cię siostro, wejdź w siebie, zastanów się, i uznaj, jaką to jest niedorzecznością przyswajać sobie obcą mowę, w niéj jedynie mówić, czytać, pisać, mając własną tak piękną i bogatą. Wiem niestety! że ten przesąd jest niemal powszechnym u płci twojéj: że pomimo pozornéj jakowéjś odmiany, ciągle u was obcy język nad ojczystym przewodzi; wiem, że plemię wzrastających dziewcząt, nie wielkie postępy mowie naszéj wróży, wiem że gdybym w téj chwili mógł przejrzéć cudem jakim wszystkie dziewczynek twego wieku i stanu, dzienniki, listy, zeszyty, imienniki, modlitwy nawet, znalazłbym wszędzie francuzki język w robocie, a zaledwie odkryłoby się dziesięć na sto, które ojczystą zamiłowały mowę. Lecz ta ślepota im powszechniejsza, tem więcéj szkodliwa i bardziéj bolesna. Język polski drogą jest po ojcach naszych puścizną; za jego jedyną pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeżby gardzić tym skarbem!....

Twój list rozgniewał mnie, ale gdym się nad nim zastanowił, boleść miejsce gniewu zajęła, i nie do ciebie jednéj, ale do wszystkich rówiennic twoich głeboki żal powziąłem. Ach! pomyślałem sobie, gdybym miał z dziesięć lat więcéj, gdybym już pisał dobrze, zrobiłbym odezwę do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą; możeby moje słowa do ich serc trafiły. Ale tak, cóż uczynić mogę?..

Tańska

Jan Zamoyski

na kazaniu Melchiora Mościckiego.

p. Tańską.

Byłoto w czwartą Niedzielę Listopada 1582 roku: wielka Msza co dopiéro odprawiać się zaczęła w kościele Dominikanów we Lwowie, a po pierwszéj Ewangelii miał mieć kazanie jeden z najsławniejszych owego wieku kaznodziejów, syn ubogich mieszczan z Przemyśla, Melchior Mościcki: czém był, co umiał, własnéj pracy był winien: ozdoba Duchowieństwa polskiego i Dominikanów zakonu, kilkakrotnie urząd ich prowincyała sprawując odmówiwszy arcybiskupstwo lwowskie, do królów nietylko wolny, ale śmiały miał przystęp. On na Sejmie piotrkowskim, kiedy Zygmunt August pisma przeciwne wierze chciał podpisywać, pióro mu z ręki wytrącił· on--dowcipu ostrego, biegły w świeckich umiejętnościach, głęboki w duchownych, niespracowany w sporach, układny we wszystkich postępkach, przenikliwy w rozwijaniu wątpliwości, dobry przewodnik w tłomaczeniu Pisma S-go i niezmiernie w niém wyćwiczony, młot na przeciwników kościoła, niezwalczony w zapasach z nimi, roztropny w ich przekonywaniu, przez kilkanaście Sejmów kazywał.

On i dziś, lubo już starzec siedmdziesiątletni, miał się dać słyszéć spragnionym oddawna wymowy jego Lwowianom. Natłok też w kościele był niesłychany; wszystkie ławki, wszystkie miejsca zajęte były: troskliwe matki wynosiły niemowlęta swoje w górę, bojąc się, by ich nie przyduszono. Chociaż mróz tęgi dech prawie na dworze tamował, tu pary z ust idącéj widać nie było; ganki kościoła uginały się pod ciężarem natłoczonych widzów; a ci lubo spoglądali z góry, przecież prócz kapłana spełniającego ś-tą ofiarę, niczyjéj całéj postawy ujrzéć nie mogli; głowy tylko rozmaitego kształtu, wygolone lub z wymuskanemi czuprynami, w kapikach, kołpaczkach, w czołnkach, w warkoczach, przedstawiały się ich oczom; za lada pchnięciem, przez przybycie nowéj osoby sprawioném, wszystkie te głowy poniewolnie posuwały się naprzód i znowu w tył wracały, jak kłosy zboża, któremi wiatr kołysze, albo

rozbujanéj wody bałwany. Wtém przy drzwiach kościelnych wszczął się szmer jakiś: słowo Hetman, lubo cicho wymówiono z ust do ust przechodząc, o sam wielki ołtarz się odbiło, nagle obecni, i lubo tak ściśniemi, jakby dotknięci cudowną roszczką Mojżesza rozdwoili się i wolną wsród kościoła otworzyli ścieżkę. Powstał wprawdzie w tymże samym czasie płacz dzieci, skargi niewiast, gniew naciskanych mężczyzn; ale odgłos ten zagłuszonym został szelestem wchodzących, szczękiem ich pałaszów, brzękiem długich ostróg, odbijaniem się butów kowanych o kamienną posadzkę; a chociaż w takiéj ciasnocie ledwo oddychać mogli widzowie, wspinali się jeszcze na palce, wyciągali szyje ponad ramionami sąsiadów, ażeby ujrzéć ten świetny orszak, świetniejszego jeszcze Naczelnika. Był nim wielki Jan Zamoyski. Z zwykłą sobie odwagą i biegłością szczęśliwą prowadząc wojnę właśnie przed rokiem po zdobyciu Ostroroga, Hetmanem był został, z tąż samą władzą, jaką niedawno piastował tak godnie Jan Tarnowski. Po zawartym w Zapolu pokoju, jechał do założonego przez siebie Zamościa z orszakiem dworzan i rycerzy: rad był zapewne stanąć jak najprędzéj w domu, ale równie pobożny jak mężny, nie chciał gwałcić święta i w Niedzielę przed odbytém nabożeństwem puszczać się w dalszą podróż bez nagłéj potrzeby. Nie był mu przecież powrót do domu tak pilny, jak kiedy przed dwiema laty z połockiéj wracał wyprawy; wtedy czekała na niego z utęsknieniem ukochana żona; dziś młodą, piękną, cnotliwą Krystynę zimny głaz pokrywał; a bohatéra, którego cały kraj witał radośnie, w domu tylko własnym nie miał kto powitać. Jak do przejścia przez kościół tak i do siedzenia Hetman nim zażądał, wygodne znalazł miejsce; jeszcze nie doszedł do pierwszéj ławki, kiedy już próżną była; zajął ją; a nietylko nikt przy nim usiąść nie śmiał, ale skoro kto z bliska stojących, siłą natłoku wepchniętym do niéj został, cofał się natychmiast z tém uszanowaniem, jak gdyby stopni tronu się był dotknął. Nie mogły być niemiłe Zamoyskiemu te publiczne uszanowania oznaki: Kto, jak on, szablą, piórem, radą, majątkiem zasłużył się ojczyznie, temu nagrody i pochwały od współziomków są tylko należną daniną; nie próżną chlubę, lecz słodkie zaspokojenie w sercu rodzą, gdyż są sprawiedliwości wymiarem. Jednak to nieustanne szamotanie się, przery-

wało mu pobożne odmawianie łacińskich modlitw z bogatéj księgi, którą przed nim jeden z dworzan rozłożył, a widząc obok ławki swojéj sędziwego wojownika, już niemal zsiniałego od opierania się tłoczącéj ciżbie, wskazał mu, że wejść może. Dawny husarskiéj chorągwi towarzysz, okryty głębokiemi na twarzy krésami, skaleczały na jedną nogę i właśnie pod dowództwem Zamoyskiego przed kilkoma laty w te godła waleczności opatrzony, nie śmiał usłuchać od razu; ale zachęcony łaskawém Hetmana wejrzeniem, wszedł do ławki: dawny wódz spojrzawszy wtedy na nogę jego, dał mu jeszcze znak, żeby usiadł. —Już temu nie chciał być powolny sędziwy towarzysz, a cała jego postawa mówiła, że nie zapomniał jeszcze do tego stopnia obowiązków żołnierza dla starszego. Lecz Zamoyski trząsając ręką jego, rzekł mu po cichu: „Siadaj bracie! wiekiem i tą blizną starszyś ty odemnie, przed laty obok mnie walczyłeś, dziś spocznij:“ Usiadł towarzysz i podniósł z dumą głowę siwizną okrytą; blade jego lice i poorane czoło przybrały na chwilę barwę młodości; oko pomroką wieku zasute zabłysło równym ogniem, jak oko czterdziestoletniego Hetmana; poprawił rzemiennego pasa i zakręcił wąsa. W téj chwili Kapłan, sprawujący ofiarę, tyle znaczące życzenie: „Pan z wami“ oświadczywszy zgromadzonemu ludowi, roztworzył księgę Ewangelii i czytać na głos słowo Boże zaczął. Powstali wszyscy, powstał i Zamoyski, a dzielną prawicą dobył do połowy zawsze zwycięzkiego oręża: nie wielu z przytomnych poszło za jego przykładem, bo już u stanu rycerskiego szedł w zapomnienie ów zwyczaj, którym od Mieczysława ojcowie nasi okazywali swoję gotowość do bronienia wiary; ale na ten widok łzy rozczulenia stanęły w oczach starego towarzysza, i padły na pałasz jego, tyle razy w krwi maczany i także na pół dobyty.

Pasieczna

z listów ks. Karola Antoniewicza.

Jesteśmy w Pasiecznéj.—I cóżto jest ta Pasieczna? zapytacie. Oto skały najeżone do koła, kilka potoków wszerz i wzdłuż, i w prawo i w lewo krzyżują się, i huczą i szumią,

i pienią się i gniewają; to znowu pokornie liżą nogi tych skał: kilka chałup huculskich, jak gniazda orle zawieszonych na górach, to i cała Pasieczna; niby to wieś, niby obóz koczujących pielgrzymów, co przez puszczę świata ciągną do nieba wpośród łez i boleści, bo na łzach, nędzy i boleści nie zbywa tu nikomu: bieda, głód i choroby dziwnie sobie tę okolicę upodobały, i komorę zamieszkały w tych chatach huculskich! O! co tu nędzy! Ludzie jak bydło burzany i trawę zbierają po skałach, aby głód zaspokoić; gromady zgłodniałych dziatek, jak te polne ptaszęta, otwierają usta za okruszyną chleba, a opuchłe z głodu matki nie mają czém dzieci własnych ratować od strasznéj śmierci! Biedny góral podobno najlepiéj, jeśli nie rozumem i rozmysłem, to wrodzonym instynktem pojął, co to jest życie wygnańca na ziemi: jak ptastwo przelotne buduje gniazda, tak i on gniazdo swoje, ot gdziekolwiek, do skały przyczepi, bo te kilka deseczek do kupy zbitych, daleko bardziéj do gniazda, niż do domu podobne. I tu rodzi się biedna dziecina, i tu umiera stary huceł, i świat go nie znał, i on świata nie znał, chyba o tyle, ile ten sprawił mu boleści; i te górskie pokolenia, jak te jodły po parowach, wznoszą się i nikną; a pamięci ich ani na grobach, ani na sercach żadnego śladu niema.—Pięknie tu, i bardzo pięknie, i smutno i wesoło i posępnie i jasno, tak jak w duszy, że mi się czasem śmiać, czasem płakać chce, sam nie wiem dlaczego. Jak stare zamczyska dziwnych kształtów skały pilnują nas, abyśmy ztąd nie uciekli, a na ich wierzchołkach jak nieme straże, pojedyncze sterczą jodły. Gra chmur i słońca, które czasem nadgląda, co się dzieje w tych zakątkach, dziwna, przedziwna;—tu nie mnie, ale mistrza malarza potrzeba, bo ja tylko patrzyć się umiem, jako te chmury czepiają się skał wierzchołka, podobne do biednego serca, co się Boga ująć pragnie; ale pomimo całéj piękności skał, bo to polskie skały, wiatry cudzoziemskie pędzą biedną chmurę, która w rozpaczy łzami dészczu się rozpłynie, i tak przynajmniéj na rodzinnéj zostanie ziemi.

Cmentarz w Pasiecznéj na wysokiéj pochyłéj górze, na miejscu kamienistém, zasłany grobami, krzyżami, grób koło grobu, krzyż koło krzyża, kości koło kości. Biedni huculi, tak za życia jak i po smierci! ciasno im i gorzko, ale za to dusza w przestronnych raduje się przybytkach. Krzyżyki małe,

proste dwa patyki na krzyż przewiercone, które pierwsza śnieżna nawalnica łamie, i dlatego to cały ten cmentarz temi połamanemi krzyżów szczątkami okryty, dziwny przedstawia widok: tak tu coś smutnego i tęsknego, co na innych cmentarzach widzieć i czuć się nie daje; parę drzewek posadzonych na grobach, na pół wyschłych, cała jego ozdoba.

Było-to samo południe.... Z miejsca, gdziem siedział prześliczny był widok na małą dolinkę i wieże cerkiewne, baszty hamerni, domki i zagrody, potoki wężykiem płynące; szmer i gwar tak rozmaity wód i lasów, ludzi i bydła, a tu tak cicho, tak samotnie, tylko bąk jakiś przyłączył się do mnie, i rozgniewany mruczał, że nie było ani jednego zwierzęcia, gdzieby mógł usiąść, i wciąż koło mnie krążył, jakby się dziwiąc, co tu żywy między umarłymi porabia!

Po wszystkich górach i skałach, z kijem w ręku i brewijarzem pod pachą w Imię Boskie wędruję, wesoło lub smutno, jak Bóg da; znajomość mam tu po wszystkich zakątach, i niejedna chwilka zbawienna spędziła się przy gawędce w huculskiéj chatce. Ja ich nibyto nauczam, a tym czasem więcéj od nich korzystam. Oni cierpią! ale jak cierpią... a kto cierpi, ten ma więcéj mądrości jak najmędrszy filozof. O jakże się serce kraje, widzieć tych ludzi głodnych, błąkających się za kawałkiem chleba, te matki, co patrzą na dzieci umierające z głodu!.

Przed kilkoma dniami dwóch huculów kopało rudę żelazną do hamerni, wtém góra się usuwa, i zasypuje jednego z nich do połowy; towarzysz biegnie spieszno szukać pomocy; żona tegoż, młoda kobieta, mając w polu przy sobie małe dziecię, słyszy, że góra zasypała jednego z pracujących w kopalni, rzuca wszystko, porywa dziecię i biegnie w rozpaczy, lecz gdy jéj i dziecko jest przeszkodą, zostawia je na środku drogi i przybiega na miejsce nieszczęścia, gdy właśnie ludzie zebrani ziemię odrzucali, aby ratować przywalonego; pada na kolana, płacze, ręce załamuje; naprożno pokazują jéj, że to nie jéj mąż, ona patrzy i nie widzi, słucha i nie słyszy, i dopóty się nie daje uspokoić, dopóki sam mąż nie przyszedł i nie uspokoił ją. A to mówią, że ci ludzie uczucia nie mają! Oj mają, ale wtenczas, gdy im potrzeba, nie dla parady, aby się niém popisywać; tylko że to uczucie nierozumiane, boleśnie zawsze zranione, kryje się i tai w sercu jak potok górny w skałach, ale

w chwilach ważnych z całą potęgą na jaw się okazuje, i wszystkim wykrzyk podziwienia wywołuje: Ktoby się spodziewał że pod tą lichą siermięgą bije takie serce?“ kto?, nikt ludu naszego nie zna i znać nie chce.—Tego biednego z pogruchotanemi nogami przyniesiono do domu, nazajutrz poszedłem go odwiedzić: mieszka na dzikiém ustroniu, wpośród potężnych skał i jodeł; wszedłszy na podwórze, posłyszałem dzwonek cerkiowny i zapytałem przewodniczącego hucuła, na co to dzwonią; odpowiedział mi, że to własnie w téj chwili umarła matka tego biedaka; stara, słaba już była, ale widok syna w takim stanie dobił ją; dwadzieścia cztery godzin tylko przeżyła po téj boleści. Wszedłem do izby: blady, przy trupie na ławie położony, palił się kaganek, aby ten smutny obraz śmierci i nędzy w ciemnéj oświecił izbie; obok trupa matki syn cierpiący, dwoje dorosłych dziewcząt przykrywało ciepłe jeszcze ciało staréj, a gromadka dziatek obojętném okiem patrzała na życie i śmierć; a jednak taki był spokój na wszystkich twarzach, zaiste i we wszystkich sercach, bo biedny ten lud nie z książek, ale z własnego nauczył się doświadczenia, że ta ziemia jest łez i płaczu doliną. Zebrało się więcéj ludzi z sąsiednich chat, i wspólnie przyklęknąwszy, pomodliwszy się przy ciele, pomówiłem z nimi i pocieszyłem jak i czém mogłem, a z błogosławieństwem ludu pogoniłem w ciemny głęboki las, skąd też późno w wieczór do chaty naszéj wróciłem, bo mi dobrze było pozostać na chwilę samotnym. Mój Boże! tak historya całego życia naszego rozwinęła się w całéj prawdzie przed oczyma memi. Biedna huculka przeżyła lat siedemdziesiąt, całe je życie było pracą, boleścią i nędzą, i boleść była przyczyną jéj śmierci. I oto z pogrzebu wróciłem. Gdy ciało do grobu spuszczali promienie słoneczne przez ciemną przebijając się chmurę, oświeciły cmentarz i gromadkę zebranych w około grobu, w poważném milczeniu huculów i huculek; jeszcze raz ukląknąwszy i pomodliwszy się wspólnie, po serdeczném pożegnaniu rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Kto szuka wrażeń i pragnie wzruszeń, na co mu romansów i teatrów, niech tu przyjdzie, niech te skały odwiedza, a zobaczy; niech się z tym ludem rozmówi, a posłyszy w rzeczywistości to, co najbujniejsza wyobraźnia w czczych marzeniach dać mu nie może.

Kraków.

przez Ks. Antoniewicza.

Zbliżając się do Krakowa, jakieś dziwne, niepojęte uczucie rozrzewnia serce, które za każdym krokiem, coraz swobodniéj i boleśniéj się rozwija. Są to w początku pojedyncze głosy, które na dnie duszy się odzywają; głos nadziei, żalu, tęsknoty, miłości, przechodzą w akordy i rozpływają się w harmonią przedziwną! Niewiem, czyś doznał w życiu chwil takich? Lecz jakież szlachetne serce onych nie doznało? chwil, w których myśl, uczuciu ustępuje, gdzie usta się uśmiechają, oko płacze, a serce nie może sobie zdać sprawy z przyczyny tego wnętrznego usposobienia i rozrzewnienia. Takie uczucie owładnęło duszę moją, gdym w zmroku wieczornym dostrzegł w oddali wieże kościołów krakowskich i ten zamek na Wawelu, gdym w oddali szum wezbranéj posłyszał Wisły! Była to właśnie ta godzina, tak urocza i tajemnicza, gdzie światłość dniowa poczyna się gubić w cieniach wieczornych, gdzie gwar życia przechodzi w błogą ciszę uśpienia całéj przyrody; godzina, w któréj dusza rzewniéj czuje, serce goręcéj bije, oko boleśniéj płacze; godzina, która mimowolnie myśl do nieba zwraca! To przejście dnia w noc, jakże żywo przypomina nam te przejścia bolesne w życiu naszém, ze światłości wiary, w noc powątpiewania; z uroków nadziei, w odrętwienie odłudzeń; z życia jasnego w Bogu, w życie świata rozwichrzone. O szczęśliwy, komu po takiéj nocy jutrzenka wiary zabłysła,—komu po takiéj ciszy, głos nadziei z nieba zadzwonił!..

Ach! taka godzina tych przejść bolesnych, jest jakby godzina stała na zegarze życia, a w koło niéj, brzęczy jak rój muszek ten czas rozdrobniony na minuty, sekundy, ciągłego ruchu! Duszy naszéj uczucia są to struny lutni; już naciągnięte, czekają tylko na rękę, któraby je potrąciła, aby się rozbrzmiały śmiechem lub płaczem! O te godziny wieczorne były dla mnie najpożądańszemi życia godzinami; ile mi one szczęścia i boleści przyniosły!

Tętniły kopyta końskie, na gościńcu z Wieliczki do Krakowa wiodącym. Pocztylion wśród wieczornéj ciszy, wesołe wytrębywał tony, którym gromadki dziatek, igrające pod cieniem na pół wypróchniałych, krzewą pokrytych wierzb, z taką się radością i ciekawością przysłuchiwały! Wiesz, jak miłém i ulubioném była zawsze dla mnie drzewem ta wierzba, tak polska, tak narodowa, która niestety, musiała ustąpić w tak wielu miejscach, wysmukléj, ale czczéj topoli; ta wierzba, która przez tyle wieków, tak wiernie strzeże, ocienia, zasłania, ogradza polskie chaty. Ona zdaje się podzielać i niedolę naszą. Wyraz jéj tak smutny i bolesny; w wypróchniałym pniu dzikie roją się pszczółki, a po pożółkłych listkach białe snują się motylki; odarte z kory mchem porosłe konary, gałęzie pocięte, a jednak ukrywa w sobie soki żywotne, i zielone latorośle ku niebu, jakby o pomoc błagając, wyciąga! Zbliżałem się do Krakowa i przez mglistą powłokę krzyże wież krakowskich w duszę zabłysły, i coraz głośniéj szumiały fale Wisły, i odezwały się srebrném brzmieniem dzwony wieczorne, jakby wtorując modlitwom serc poranionych.

Żądałeś, abym ci pisał z Krakowa i czynię zadość woli twojéj, zaledwie z powozu wysiadłszy. Jak długo tu pobyt mój przeciągnę, nie wiem, lecz pisać będę. Jeśli sądzisz, że ci będę pisał o Krakowie, bardzo się mylisz—ja ci z Krakowa pisać będę nie to, co oczy ujrzą, co uszy posłyszą, ale to, co serce poczuje, to co Bóg do serca przemówi.

Urok, jaki Kraków wywiera, nie jest urokiem dla oka, ale dla duszy. Kto z ciekawością obiegnie to miasto i zakłady, i pamiątki jego, ten w krótkim czasie zaspokoiwszy zimną ciekawość swoją, niechaj nie żąda od starego Krakowa, aby go bawił, i nudne rozpraszał chwile; bo stary Kraków płacze, bo kocha, bo ufa: A kto od łez ucieka, kto wiarę stracił, kto z miłością wyziębił nadzieje, czego ma jeszcze się błąkać po tym cmentarzu grobowych przeszłości pamiątek? bo Kraków stał się tą Jerozolimą, nad którą Jeremiasz prorok, temi, duszę wskroś przenikającemi, zapłakał słowy: „Jako siedzi samo miasto pełne ludu; stało się jako wdowa, pani narodów; księżna powiatów stało się hołdowną. Płacząc, płakało w nocy, a łzy jego na czeluściach jego; nie masz ktoby je cieszył.“

Byłem dziś na majowém nabożeństwie, które bardzo przykładnie przy liczném ludzi odbywa się zejściu! O! jakże nie kochać Krakowa, kiedy Kraków Matkę Boską tak kocha!—Ale już późno w noc; gwiazdeczki migają na niebie, a lampki

u stóp Matki Boskiéj już pogasły; anioł pierwsze zapalił, a drugie pogasił; cześć Maryi z ziemi wzniosła się ku niebu— błogosławieństwo Maryi zstąpiło na ziemię!

Pożar puszcz.

p: W. Pola.

Wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła ogarnąć obszarów natury, wszędzie gdzie tylko człowiek nie zdoła wytłoczyć na niéj piętna swego ducha, powtarzają się też same zjawiska. Najprzód gospodarzy wicher i roznosi nasiona przyszłego życia; w ślad jego zaradzająca się roślinność, która jest warunkiem wszelkich wyższych potęg istnienia, a gdy ta płaszczem swoim okryje powierzchnię ziemi, zamieniając ją w uroczysko bogów i przybytek człowieka, wówczas dopiéro podejmuje człowiek walkę z potężnem życiem roślinności pierwotnéj, a jako dzikie dziecko natury, poczyna zniszczeniem serc dzieło.

Czując się za słabym do téj walki, wzywa pomocy niszczących żywiołów, a tak gospodarzy, wichrze roslina na ziemi, a po niéj ogień w przymierzu z człowiekiem.

Do osobliwości tedy tych okolic będą jeszcze należały letnie gory lasów, czyli pożary puszcz.

Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorejące błota lub stawiska niekiedy, tak tu są zwykłém zjawiskiem gorejące puszcze.

Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wichrami rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolice leśne.

Z trzaskiem czepia się pożar najprzód krzewów, wrzosowiny, mchów, wyschłéj trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęglając wszystko pod piaskiem, czego się tylko uchwyci, potém zbiega pożar wysokim słupem po sośnie lub jodle i osmala w jednéj chwili wszystką choinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z trzaskiem od gorąca pęka i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącéj się żywicy.... Powoli zbiega z niego płomień téj olbrzymiéj głowni w przelocie, gdy wiatr silniéj zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzywszy w piekielne ognisko!...

Widziałem pożar taki. Z rana na milę rozciągały się dymy pod sklepieniami puszczy, równą, wąską, błękitnawą smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdala huczało ognisko;—gorąco nie dozwalało przystąpić i cała puszcza drżała w ogrzaném powietrzu. W południe ścielił się dym po ziemi i nic nie można było widziéć. W nocy stał ogień ogromnym słupem śród puszczy, wysoko bił płomień, iskry leciały...... i wielka łuna świeciła na niebie. Po tygodniach i po miesiącach całych jaśnieją nad puszczami łuny takie, a co noc w téj saméj stronie, a co noc szerzéj, aż je w końcu szarga jesienna zalewa.

Przykrym jest widok puszczy zgorzałéj i wystygłéj; bo nie zaraz odżywia się roślinność na podobném spalenisku, zwłaszcza tam, gdzie roślinność północna zwolna się tylko dorabia swego istnienia, gdzie ze zniszczeniem lasu znika zarazem na długo, na bardzo długo, całe podsłanie roślinności drobnéj, które jest koniecznym warunkiem roślinnego życia w wyższych jego potęgach.

Widziałem jak się raz wyniósł ogień wązkim oszyjkiem torfów z puszczy na otwarte błota i zamienił je w ciągu jednéj nocy w pałający trzon. Nurtując po wyschłém torfowisku, płynął ogień w gorejących potokach, podobien do rzeki dzielącéj się na drobne ramiona, aż całą postać ogarnął.... Następnie zbliżały się pociągiem wiatru te ogniste rzeki ku sobie, i tworząc osobne centra, uderzyły płomieniami w górę. Przez jedną chwilę zdawało się całe obszerne bagnisko ognistą powodzią zalano, potém opadł płomień, a czarne dymy skręciły się w wielkich kłębach ku niebu.... Gdy je wiatr odniósł, poczerniało znowu całe bagno i tylko małe ogniska gorzały przez resztę nocy po każdéj wyniosłéj kępinie. Paląca się puszcza podobna była do gorejącego miasta, a paląca się torfowiska po kępinach do małych ognisk wielkiego obozu, który się rozłożył pod miastem ...

Jeśli podobny widok jest okropnym, osobliwym będzie widok puszczy śród ciemnéj nocy odwiecznem próchnem świecącéj. Miejscami śród zawalnych lasów leżą całe pokolenia drzew obok siebie, pokrywając pokładem swym tak gęsto ziemię, że noga nie dotyka piasku.

Na pozór czerstwe pnie i zwaliska rozsypują się za stąpieniem jak purchawka, i noga tonie w nich aż do dna.

Mchem porosłe i nietknięte kłody czernieją pośród nocy, lub są niewidzialne wcale, lecz stąpieniem potarte i rozrzucone próchno rozświeca się mdłém fosforyczém światłem i idący nocą, zostawia po sobie niby gorejące ślady upiora.... Ryś tropi tak sarnę, myśliwy zwierza wszelkiego, i *nocne tropy* śród puszcz zawalnych znane są w języku łowieckim na Litwie.

Ze stepu.

W. Pol.

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny—tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu. W czasie upałów letnich, powiewa od wschodu wiatr spiekły. Aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach rozpalone powietrze wali się wschodniemi wiatry—niesione spiekłą powodzią na Dniepr i cała noc niewystarcza nieraz na wychłodzenie téj spieki. Kiedy po zupełném uciszeniu się wiatru, słychać tylko lekki szum trawy, a potém znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą—zda się, jak gdyby z gorejącego pieca, upał powionął. Tenże sam wiatr wypala także na srokatém polu oziminy i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny lub w połowie lata smutnym jest ich widok.

Zżołkłą, rudą mietlicą, porastają trawy, lasy bodjaków wywiędłe osypują puchy.... Oczerety spłowiały.... Na wypasionym stepie szeroko popękała ziemia. Widokrąg przybliża się oku. Pomniejsze wyschły jeziora. O milę i o dwie pędzą spragnione stada do poiła.... Niebo jak za mgłą.... Czerwoną strężogą zadęte, bez jasności promiennéj, stoi słońce samotnie na niebie i step paszeje zgorzały—i odłogiem leżące ziemie jałowieją.... W powietrzu cicho—tylko gdzieś w dali przegania tuman kurzawą,—a gdy się młyńcem zawinie, idzie słupem wysokim w niebiosa, rwąc pod się pokosy trawy i prochy ze stepu!.... Naówczas to, kiedy spiekły wiatr jeszcze powieje, zda się, iż kropli wody niema w powietrzu, ani na ziemi, tylko po dolinach ściele się miejscami trawnik zielony, w małych płatkach. Są-to zaskórne wody, które i pod tę porę

podsycają trawy, a kopiąc w takich miejscach, napotyka się zawsze w pewnéj głębokości na wodę, a niekiedy nawet na żywe podziemne zdroje.

Piękną jest noc na stepie! Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry.—i tak spokojnie w powietrzu—i nawet gwarliwe milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy.—Głęboko roztwiera się niebo—i jaśniéj niż nad puszczami wyiskrza się mleczna droga.... Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i dziczą, i strzyże czujnie uszyma, a głucho na milę tętni ziemia tabunami zbita!... Spokojnie pod mogiłą gore ogień nałożony z wyschłego burzanu... Słychać lot dzikich kaczek wracających stadami z żeru na jeziorka... Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy! Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami! Przepiórki wabią się w zbożach—bąk wodny huka po trzcinach!

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy;—nizko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniéj, a na krótkiéj święto-jańskiéj nocy, zaledwo zgasła na zachodzie, a jużciż świta od wschodu—i zda się, że się jéj jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła....

Mgły lekkie słać się poczynają—gwiazdy bledniejąognisko popieleje.... Koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi—a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wicher stepowy od wschodu!...

Egzamin w gimnazyjum Krzemienieckiém.

(z „Ramot“ starego Detiuka)

Otworzyły się publiczne egzamina. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapałem oddawała się naukom. Popisy, szczególniéj z fizyki i chemii, objaśnione doświadczaniami, z wymowy i literatury, okraszone przytoczonemi wzorowemi przekładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczów zachwycały. Zadowoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pastorz, rodzice uwielbiali Czackiego, Czacki ojcowskiéj doznawał radości, i w duchu gorącéj wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił.

Po trzechdniowych popisach nastąpił dzień rozdawania nagród. Biblioteka jeszcze ukończoną nie była, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tylu osób zbierających się na ten akt uroczysty, w gmachu więc wspaniałym, w kościele gimnazyjalnym, uroczystość każdą podobną obchodzono. W środku kościoła, po prawéj ręce od wchodu wzniesione siedzenie biskupa, po lewéj tron z portretem Cesarza, wokoło krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem uczniowie klass i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych widzów. Jeszcze niema Czackiego, Komisarzów i senatu nauczycielskiego. Klasami rozstawieni zajęli swe miejsca, na czele każdéj klasy gromada celujących, należnéj nagrody oczekują. Kursa osobno stają: wszyscy w mundurach, wszyscy weseli, czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba niebiorących przynajmniéj listu pochwalnego, wpośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici; bo tu nie tylko przyozdobiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpusto nawet, wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczycić się pragną. Od drzwi wchodowych dał się słyszéć szelest; wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: „idą.“ Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa; dwóch ostatnich nieśli, jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale; za nimi dyrektor i prefekt, daléj komisarze: Michał Sobański, Wacław Borcyko, ks. Maksymilijan Jabłonowski i Filip Plater, pisarz komisyi, Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski, na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazyjalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła; na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. Biskup zaintował „Veni Creator“ po którego odśpiewaniu Czacki zagaił posiedzenie krótką a piękną przemową. Profesor Choński w uczonéj rozprawie wykazał korzyści uczenia ekonomii politycznéj.

Nastąpiło rozdanie nagród: od pierwszéj klasy aż do trzeciego kursu, każdemu, oddając list pochwalny, coś stósownego, coś przyjemnego Czacki powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza jeśli byli pokrewni medalowego ucznia; nie mającym obecnéj na akcie rodziny, oddawali tę nagrodę ks. Biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniéj Król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale jeżeli matka była obecną, Król zostawiał jéj pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił. „Zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność, dostojny mężu!“ przemówił Czacki. „Zastąp tu im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś; zaszczyć, zaszczyć ich, nim twój syn, dorosłszy lat do nauki sposobnych, odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś młodzieńcy możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czcigodnego krewnego ten znak waszéj zasługi odebrali i starajcie się być jemu podobni. Izydor i Piotr Sobański byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezstronniéj złoty medal nauczyciele przysądzili Józefowi Czackiemu. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie lecz śmiało, ale spojrzawszy na matkę, któréj wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszym spłonął rumieńcem i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu. „Synu mój Józefie!“ rzekł ojciec, „ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz téj szkoły, upewnia mnie, że nie sama ku mnie życzliwość, ani żaden interes w przysądzeniu ci téj nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewniają; wierzę więc, z prawdziwą serca uciechą zasługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam dostojni nauczyciele i przełożeni téj szkoły najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulacyą. Czém on będzie na świecie, wasze to dzieło; a za trudy około niego podjęte nagrodą, moja ku wam wdzięczność, która do grobu serca mego nie odstąpi. Ale mój synu! ukończywszy zawód naukowy wychodzisz na świat; wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem téj szkoły!

Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega.

Na tobie mój synu cała moja nadzieja! Ty się przejmiesz mojemi względem téj szkoły uczuciami; ty z mojéj wdzięczności masz się wypłacić téj szkole, tym czcigodnym współziomkom, téj ziemi rodzinnéj, która cię wydała i wykarmiła. Twojéj i mojéj wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całém twém życiu, postępując drogą wiary i prawości staniesz się godnym szacunku tych życzliwych współobywateli, godnym opieki twojego Monarchy, godnym imienia ucznia gimnazyum Wołyńskiego; na znak, że mi to przyrzekasz, podaj mi dłoń twoją! "A ująwszy syna pod ramię, a drugą ręką medal:—„Pójdź —rzecze—synu kochany, nikt godniéj nie zdoła ozdobić cię tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swojém przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości kraju!“ Nie mógł już więcéj mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką zgiął kolano; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową i gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwéj matki; objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca, i łzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna; a te łzy były łzami radości, niememi tłomaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed spłakanym Pasterzem, który go ojcowskiém sercem na dalszą kolej życia pobłogosławił. Zakończył tę całą uroczystość czcigodny ks. Biskup hymnem św. Ambrożego i powszechném błogosławieństwem.

W wakacye rozproszyły uczniów i nauczycieli; tamci do domów własnych lub rodzin, do własnych kątów się udali; nauczyciele znaleźli przytułek pod gościnną strzechą naszego czcigodnego obywatelstwa.

Jezioro Leman.

Zyg. Krasińskiego.

O milę jeszcze przed Lausanną odkrył się mojemu oko widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzyć

może wzniosłego i pięknego. Jezioro Leman, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennego słońca, jak massa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snuły się jedna za drugą nakształt splotów ognistego węża, a części jeziora, na które padał cień gór nadbrzeżnych podobne były do roztopionego *Lapis lazuli*, w którego łonie osadzono świetniające farbami tęczy drogie kamienie. Ten ogromny obszar wody lekkim wiatrem wzdymanéj, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło igrając w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je, to na szyby lodu, to znowu w fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra. Kiedy wiatr unoszący się ponad wodą zwalniał, odbite w jéj toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojéj, by kąpać się w przezroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, by się odświeżać w zwierciadlanéj toni. Zieloność trawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętéj, białość śniegu wieńczącego wyżyny, mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą. Wioski po bokach rozsypane pełne były ogrodów i drzew, jesienną szatą okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy;—tu lipa zżółkłemi szeleściła listkami za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwiały białe żagle statków jeziora;—tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skał wierzchołki, a po bokach bluszcz i rożnobarwne, wijąc się, rośliny czarodziejskie tworzyły sklepienia. Daléj znowu dziksza poczynała się okolica; naga skała śmiałe czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym, pogardzający murawą i kwieciem;—strumień huczący spada z jéj urwisk i pianą biegnie w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszém już płynie korytem. Świerki rosną tu i owdzie nad chatą, któréj białe ściany zdaleka jeszcze wzrok przyciągają; ciasna ścieżka wije się od jéj drzwi, aż do skał wyższych. Czasem człowiek po niéj dąży, czasem krowy dzwonkami u szyi zawiązanemi brzęczące, przesuwają się powoli wśród dołów i przepaści, i z schyloną głową na wzniosionych gór piętrach, żują ostatek jesiennéj trawy.

Ale nad wszystkie te obrazy uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasmo gór wiecznym lodem skrzepłych cią-

gnie się po drugiéj stronie jeziora:—mgła i pośród najczystszéj pogody zaciemnia ich ściany; chmury w fanta stycznych kształtach się snują po ich szczytach, to jak czołgające się węże, to jak skrzydlate smoki. Śniegi od wieków na ich barkach złożone, błyszczą przy słońca promieniach jak sztaby ze srebra przykute do piątr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy zniżona zapowiada zachód czerwonawą barwą swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka i patrzyć i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niczém są rubinu blaski przy jasnościach rozlewających się po górach, które otaczają jezioro genewskie, kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane; wierzchołki gór purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie,—o ile to może istnieć na ziemi, — tronu Przedwiecznego. Obłoki, podobne do tęczowych skrzydeł serafów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu gromadząc się razem rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie, Genewę w oddali, lasy i gaje—a utworzy się obraz, który łatwiéj uczuć niż opisać.

Za stopniowém zniżaniem się słońca, słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różowéj farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tylu świetnościach i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie kratowane śnieżnemi pasami i uwieńczone różami. Zmrok zapadający miesza z sobą odrębne wprzód kształty i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, pięknie przy wodach Lemanu odbijającą. Księżyc wschodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia widoki, ale słabiéj odznaczone. Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą, milszy czułemu sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały, jak gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przeglądać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistéj nie zniknął oddali. Urocze Helwecyi wdzięki, opuszczają nieco z swojéj wzniosłości i powagi zstępując do rzędu widoków, między któremi już nie drży, nie uwielbia, ale rozpływa się serce. Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwieńczać gór

szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwają i mieszając się do śniegów, zdają się między niemi roztapiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jednę składać krainę, w któréj i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Urywki z Listów Zygmunta Krasińskiego.

„Młodość jest Boską rzeczywiście sferą, jest zapowiedzią tego, co ludzkości kiedyś danêm być ma; jest rajskiém marzeniem, ale marzeniem dopiéro. Młodość jeszcze się nie rozbiła o rzeczywistość, jeszcze jest pełna nadziei i wiary; ale nadzieja i wiara są płonne, dopóki ich rzeczywistość nie sprawdzi. Wiara i nadzieja są lekkiemi cnotami, póki przebywają w marzeniu—ale ciężką cnotą jest miłość.

Tak Konstanty gdzieś napisał: „ciężką cnotą jest miłość.“ Nic piękniejszego o miłości nie powiedziano nigdy—ona dopiéro sprawdza w rzeczywistości to, co wiara i nadzieja zapowiadały; ona dopiéro żąda od nas tego, co tamte obiecywały nam. Jeżeli młodość nie rozbiła się jeszcze o rzeczywistość, to téż z drugiéj strony nie dała jeszcze o sobie w rzeczywistości świadectwa; jest-to piękny poranek, ale sąd dnia wyrzec się może dopiéro u schyłku jego. Nie ubliżajmy młodości, niech wie, że w ręku swoim posiada skarby społeczeństwa, niech wie, że jest jego nadzieją; ale niech nie zapomina téż o tém, że życie jéj powinno być miłością tego, czego się spodziewała, że koniec jéj powinien oddać przyszłym pokoleniom wiarę, którą w początku tchnęła. Biada człowiekowi, narodom, ludzkości, jeżeli młodość w nich umiera, ale biada im także, jeżeli wiecznie jednostronnie żyją jako młodość, to jest jako: zapowiedź, nadzieja, marzenia!.

W istocie, za dni naszych świat nadewszystko młodość wynosił pod obłoki; śpiewał o niéj, mocą ją uznawał pierwszą, a starością pogardzał; ale nadejdzie czas, w którym może naj-

1) Konstanty Danielewicz, kolega uniwersytecki, przyjaciel i towarzysz Z. K.

piękniejszym wiekiem stanie się starość—własnie starosc taka, co nietylko, że nie straciła wiary młodosci, ale tę ze stanu błędnego nadziei,—przeprowadziła do stanu widomego rzeczywistości.

—To jeszcze powiem, że bez wielkiéj energii—i wielkiéj, miłości niéma—„bo miłość jest ciężką cnotą“—więc dla przeprowadzenia jéj przez życie całe, nie lada energii potrzeba.

Ona wymaga ofiar bez liczby i końca; wcześniéj czy późniéj ona zażąda największych poświęceń; a jakże poświęcić się, jesli marmurowych posągów hartu i blasku zarazem niema się w duszy swojéj. Taka miłość na ziemi jedyną podporą, jedyném życiem śród podłości i zbrodni, śród mąk i trwóg, śród niepewności i szałów świata. Tylko na Bogu się oprzéć.—tylko na ukochanych,—a zresztą na niczém, bo wszystko zdradzi, wszystko się usunie, wszystko się odwróci, wszystko szydzic będzie i odmówi pomocy, ratunku, sprawiedliwości. Ale kto kocha, ten silny; komu serce nie umrze w piersiach, ten czoło nadstawi gromom losu spokojne i dziarskie, bo w nim pała iskra życia. A nędzną byłaby miłość, któraby nie przetrwała wszelkich boleści: nie sztuka kochać, gdy za kochanie co chwila wzrok przytomny i słowo obecne nagradzają; ale kiedy czas, przestrzeń, ból, niesprawiedliwość, gorżka ironija dzielą — wtedy kto kocha ten kocha, a wcześniéj czy późniéj muszą mu oddać sprawiedliwość.

Nie inaczéj się dzieje i w historyi ludzkości z tymi, którzy ludzkość nad wszystko ukochali. Płacono im zrazu gwoździami, cierniami, octem, żółcią, późniéj nieskończoną miłością. I oni też w danéj chwili, wiele bólu obecnéj ludzkości sprawili, i oni też ją przywodzili do rozpaczy, przymuszali ją płakać, pościć, bić się w piersi, najsłodszych ułud ją pozbawiali, a sami jakżeż nieszczęśliwi byli! Tylko ojciec, który jest w niebiesiech, wiedział, do czego to wszystko prowadzi.... To, co nie przeszło przez żadną próbę, choćby najśliczniejszemi tęczami pryskało, nie wie samo o sobie czy żyje; to—co dotknęło się próby a nie wytrzymało jéj, tém samém umarło: to tylko prawdziwie żyje co próbę odbyło i z niéj pod wyższą jeszcze postacią się wydostało. I ta prawda tyczy się wszelkiego uczucia, wszelkiéj idei, wszelkiéj powszechności, wszelkiego indywiduum; jedném tylko prawem wszechświat rządzony—lecz wszechświat z wielu

części i cząstek się składa, a każda według własciwości swojéj podlega temu samemu i jednemu prawu. Niechaj-że więc ukochani błogosławieni będą i za szczęście dane, i za sprawiony czasem ból—jedno i drugie wspólném życiem jest, jedno i drugie miłością; miłość albowiem ma się do szczęścia jak duch do ciała i duszy—jest wyższą od obojga, a oboje wiecznie są jéj członkami, narzędziami, cząstkami składowemi. Biada tym, co z jednéj strony *ciało* za całego *człowieka*, a z drugiéj szczęście za całą miłość poczytują; cząstkę oni za całość biorą i prędko też życie ich wymiera—bo tylko *całość* nieśmiertelna jest i być może.

. . . .

Samotność dobrém mi jest nieocenionem. Gdy to piszę, z okien widzę wielki widnokrąg już nagi, już szary, lasy zdaleka już płowe; pogoda cicha, światło słońca blade, żegnające się z tą ziemią, bo za dni kilka chmury śnieżne roztoczą się na długi czas między nią a niém. Jesienny to dzień prawdziwie smętny i spokojny; jakieś umieranie rozlane wszędzie, ale chrześcijańskie, pełne wiary i zdania się na wolę odchodzącego słońca, tego zbawiciela i pana natury. Taką śmiercią chciałbym kiedyś skonać, w taki dzień jesienny podobny dzisiejszemu, ale ukryte są ścieżki Pańskie, co wiodą człowieka od modlitwy do jéj urzeczywistnienia.

Chodziłem wczoraj po ogrodzie i przypatrywałem się jak wszystko widnokrężnie zagasa i kona, począwszy od drzew, które sypią liście zżółkło, aż do słońca coraz mniéj krążącego na niebie. I widziałem, że wszystko w naturze umiéra z instynktem zmartwychwstania: słońce wie, że wróci na wiosnę przyszłą; drzewa cicho płaczą i szumią, lecz nie było w nich rozpaczy; lekko zewsząd podnosiły się mgły i błękit niebios otulały, jakby chciały zachować go do pory odbłękitnienia. Wrony tylko czasem przelatujące krakały obrzydle; w ich krzykach nie znalazłem nadziei, one jedne wątpią zupełnie; to są filozofy przemądre, poważne, flegmatyczne a szpetne, lubiące się zbierać tam, gdzie leży zgnilizna i karmić się pozorami śmierci w świecie. Ale prócz wron, wszystko wiedziało, że życie powszechne nie ustanie, i że znów będzie na wiosnę tym polom, tym wodom i niebu temu. Dziwne uczucie, w najwyższém zna-

czeniu religijne, mnie ogarnęło; byłybm w téj chwili zapragnął spowiednika. któremubym się mógł wyspowiadać ze wszystkich bolów żywota mego... Święta, błogosławiona samotność.

XVII.

Monachium 25 Decembra 1841.

Sam, zupełnie sam wczoraj wiliją jadłem u Otta, gdzie zawsze jadam. Skończyło się na dwóch forellach i naleśniku jednym; a bez opłatka,—a bez siana pod obrusem,—bez nikogo.

Gdym kończył, już pierwsza gwiazda zaglądała przez okno, a wkrótce potém i duży księżyc przyszedł. Wnoc księżycową, bardzo srebrną, roiły się tłumy czarne po ulicy; wszyscy spieszyli na mszę. Jam znów około 10-téj wyszedł od siebie i szedłem do Konstantego. A oto! wszystkie dzwony miasta zaczęły wołać do siebie dobrą rowinę, że się Chrystus narodził, i z moździerzy téż pukano i z dział strzelano za miastem. A mnie było gorżko, żem był sam,—sam taki jeden na téj ulicy, w tém świetle miesięczném. Nie wiem czemu bardziéj sam, o téj chwili zstępującego Boga na ziemi niż innych dni życia? Bo ta chwila, która ma się do całéj ludzkości razem, wymaga zgromadzenia się jéj członków; nie jest to chwila samotności! I gdy te dzwony grzmiéć zaczęły, jak one w noc dnia zadusznego, co tak szły za mną, wszędzie po tych ciemnych polach, aż mi się w sercu cudownie tęskno, nieopisanie tęskno stało do dnia tego i chwili onéj, w któréj Chrystus na tym planecie się rodził. A gdym spojrzał w niebo i w te wszystkie światy, w drogę mleczną, w ogrom, w bezmiar—aż zadrżałem, bom uczuł jakby drugi raz—oto—szedł z niebios ku ziemi i miał stanąć na niej! powiadam ci, coś nadziemskiego mnie zdjęło. Spójrzałem na kręcących się koło mnie ludzi, co biegli do kościołów grzmiących, zdało mi się, że widzę w nich wszystkich *jednego Ducha.*

Wyjątki z Listów z Podróży.

Padalicy.

Któż nie wie, iż na ziemię własną patrzymy zwykle innémi okiem jak na cudzą; że widzim ją przez uczucie, przez

serce, i tego pryzmatu nie przynosim nigdy na miejsca nam obce? Z latami co przeszły na rodzinnych błoniach; ze słońcem, co nas oświecało, z powietrzem, co dmuchało nam w lica; z lasami, co szumiały nam do uszu niewysłowioną piosnką zadumy; słowem—z tém wszystkiem co nas wykarmiło i z nami rosło, jest pewna święta pokrewność uczuć, coś—czego nie oddamy za najpiękniejsze widoki Szwajcaryi, ani klimat włoski! Nie bierzemy w téj chwili uczucia tego w znaczeniu jego najwyższém i mówim niejako o jego pierwszych zawiązkach, o tém dziecęcém przywiązaniu, które nas łączy instynkownie z piastunką i domem. Przywykliśmy widziéć kraj nasz obleczonym w tę majestatyczną a świętą szatę pustyni, gdzie jeszcze poezya zdaje się uosobiać ducha Bożego gospodarzącego w jego lasach i stepach; gdzie człowiek podrzędną miał rolę, a jak wyraził się jeden z naszych poetów „niewidome siły jego samego pilnowały, jak dziecka.“ W takim stosunku człowieka do przyrody, czegóż tu nie tworzyła wyobraźnia, jakiemiż dziwami nie zaludniała kraju! Złotym deszczem pieśni i bajek ludowych oblewały nas w kolebce; przeobrażały się na cudackie postacie w dziecięcéj wyobraźni, potém gadały niewysłowioną mową do serca młodzieńczego, aż rozwidnione dojrzalszym umysłem oblekły się w idealne kontury poezyi. Kto lata swe najpiękniejszego, bo młodego życia, przekołysał w tych przemianach, żadna już siła niweluiącéj cywilizacyi nie zatrze w nim tych wspomnień i nie zmusi go ukochać ją, jak tamte. W wagonie na żelaznéj drodze, w pałacu wystawy powszechnéj, wśród rozmaitych cudów przemysłu i sztuki, jak skoro gwar nużący zmysły, opuści cię na chwilę, ta „mizina,“ serdeczna struna zadrumka w sercu i zrobi ci się tęskno za tamtym obrazem!

Tom I str. 48.

Śliczna to droga z Żytomierza do Zwiala! Lasy, błonia, wioski, zmieniają się w koléj jedne za drugiemi, a wszystkie inny mają wyraz od ukraińskich. Nie mogiły już ani stepy, ale sine taśmy boru wszędzie tu obramiają widnokrąg. Co chwila najeżdżasz na jeziora drzemiące malowniczo wśród lasów, obszyte łozą i wodném zielskiem, oplecione nierozplątaną siecią powojów. Tam młode brzozy tulą się pod ścianą gęstéj jak płot sośniny; tam burzany i kwiaty opłotły ogromny tułów

zwalonego dębu i koralowemi główkami zaglądają bojaźliwie do wnętrza; inne po gałęzi suchéj wspięły się na sam wierzchołek, i jak motyle świecą się ku słońcu, gdy tymczasem z pod próchniejących bioder olbrzyma, przegląda łysa głowa grzyba. Tam drożyna wyjrzała z lasu, stoczyła się wdzięcznie na łąkę, zadrypała się i zamoczyła po kółkach i faszynach grobelki i znów pobiegła szybko przez ukwiecone błonia—a oto rozstąpiły się lasy, i poleska wieś siedzi sobie cicho w pośród trzebieży.

Żerdżiowe płoty opasały jéj ogrody, częstokoły obramiły chaty, słomiane dachy siedzib mieszają się z sobą i w miarę zbliżania zbiegają się, rozstępują, rosną, aż scharakteryzuje je cerkiewka, dom obywatela o białych ścianach i karczma siedząca przy drodze. Tu las zbliżył się do przyczółka wioski; tam dał miejsca na kawałek łanu, a tam znowu rozstąpił się i przyjął w ciemne swe łono zieloną i potoczystą łąkę, która Bóg wie, jak daleko się ściele. Na takie wioski i okolice patrzałem dzień cały, widziałem je w blasku słońca, o zmroku wieczornym i przy promieniach księżyca. Stósownie do wyrazu miejscowości, obudzają w podróżnym rozmaite myśli. Tam, w tych zaroślach, jakież miejsce cietrzewi i słomek! w tych oczeretach lisy być muszą, na tych jarzębinach wieszają się zapewne co rana jemiełuchy i jarząbki, a te sine massy boru,— a te szerokie knieje na łosie i dziki! Wieś poleska, to jedyna jaką znam ustroń dla cichego, a kochającego serca; to nieoceniony zakątek dla hodowania uczuć rzewnych; tu je można wyczerpać do dna, przesiąknąć niemi, zachorować od zbytku. Wszystko tu kocha się, kwitnie, cieszy tym niekłóconym pokojem życia, jakie daje tylko pustynia.

. . . .

Tom. I str. 52.

O czwartéj po południu wyjechałem z Warszawy, a o dwunastéj w nocy stanąłem w debarkaderze częstochowskim, ubiegłszy w ciągu ośmiu godzin 32 mil polskich. Odebrawszy mój podróżny tłumoczek, wynająłem dorożkarza, który mnie odwiózł do miasteczka leżącego o ćwierć mil od debarkaderu, pod górą częstochowską.

Noc była pogodna; księżyc nie wiem dobrze czy już był zaszedł, czy jeszcze nie wschodził, dość że nie świecił i li przy

blasku gwiazd odrysował się przedemną zarys góry i mury klasztorne. Na tle ich matowém pełgała prawéj z strony lampka, którą palą ustawicznie przed zewnętrznym ołtarzem Matki Boskiéj i wyznaję, iż owe tajemnicze światełko oblekało dla mnie to miejsce cudowne w urok pełny religijnego charakteru. Wieża klasztorna bielała cokolwiek, a krzyż na jéj kopule ozłacał się na rąbkach i wysoko górował nad okolicą, jakby zadzierzgniętą zasłoną czarną. Ponad tym płaskim pejzażem zalanym jedną massą cieni, widniała przedemną ogromna tafla nieba, po którém szybko chodziły chmury i rozwelniając się na środku, zgniatały się potém w massę brunatną i ciężką na krańcach horyzontu.

. . . .

Tom. I str. 137.

Przecisnąłem się nie bez trudu do kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiéj. Już zciemniało zupełnie i tylko świece pełgały przed ołtarzem i w rękach modlących się. Kaplica, w któréj znajduje się cudowny obraz Matki Boskiéj jest przedzieloną na dwie części wysoką, posrebrzaną kratą mosiężną.

Długo rozpatrywałem się w obrazie i ozdobach go otaczających, potém modlić się zacząłem i nareszcie pogrążyłem się w myślach, które pod wpływem obecnéj chwili zaczęły mnie jakiemiś fantastycznemi nakrywać skrzydłami. Widok rojącego się do koła mnie ludu zaczął robić na mnie szczególne wrażenie.... Kościół i wnętrze téj kaplicy zdały mi się zupełnie innemi od tych, jakie przywykłem widzieć dotąd. Świece i lampy pod ciemnemi łukami sklepienia malowniczo oświecały grupy modlących się wieśniaków. Głos kapłana ginął w tym tłumie, a natomiast z rozmaitych punktów, z głębi ciemnych kątów, leciały przed ołtarz śpiewy pielgrzymów, rozlegał się szept modlitw, płynęły cicho pacierze i westchnienia. Zlewało się to wszystko w monotonny i wrażliwy szum jeden i nakształt wiosennego, ciepłego deszczu w nocy biło o sklepienia świątyni. Wsłuchawszy się, odróżniało ucho jak z lewéj strony ołtarza odzywały się co chwila monotonne, litanijowe wołania wieśniaczek: „Synu Maryi!“ i tą tęskną, melancholijną nutą pokrywały wszystkie inne śpiewy. Nie zapomnę, o! nigdy nie zapomnę téj nuty i téj litanii! Za kratą, grupa

wieśniaków w szarych siermięgach z podniesionemi rękami klęcząc, wtórowała im zgodnie; obok mnie leżeli krzyżem dwaj starcy o białych włosach i klęczała kobietą pod lampą, od któréj światło kładło mocne cienie na wychudłą jéj twarz i spracowane ręce; nieopodal, kilkunastu parobków oparłszy palce o marmurową tablicę czyjegoś nagrobku, szeptali „Wierzę w Boga“, a pomiędzy tym tłumem tak dziwnie i malarsko zgrupowanym, tak gorąco pochwyconym i jakby skrystalizowanym przez ducha modlitwy, tu i tam stali jak posągi Górale Krakusy, Szlązacy i przesuwały się w głębinach białe postacie Paulinów, przestępując leżących krzyżem, obchodząc klęczących, niby duchy zwiedzające pod czas nocy pobojowisko.

Ten oryginalny wyraz modlitwy przed obrazem Boga Rodzicy, ta świątynia iście ludowa, gdzie kapłan i msza tonęli w massie, ta gorąca prośba posyłana do stóp ołtarza melancholijném, rodzierającém serce wołaniem ludu, ludu, o którym wiesz jak wierzy,—wszystko to robi wrażenie tak silne, że łzy tylko i modlitwa ulgę ci istotną przynieść mogą....

I długo jeszcze potém oparty o kratę, wpatrywałem się w tę gromadę pobożnych i zachwycałem się tym cudownym obrazem zbiorowéj modlitwy, który zdarzyło mi się widziéć po raz pierwszy w życiu i uczuć, i podzielić ją raz pierwszy!...

Ten sam lud, na który gniewałem się z rana za gwarne nachodzenie kościoła, który nie umiał przyzwoicie jak my pod dozorem kościelnych szwajcarów, stanąć przed ołtarzem i modnym sposobem przeszeptać pacierza,—tu cały zamienił się w modlitwę i—o Boże! z jakąż wiarą patrzył się w obraz Boga Rodzicy i spracowaną rękę wyciągał do Niéj,żebrząc opieki.

Tak czytelniku! ze wszystkich osobliwości Jasnogóry, ze wszystkich jéj skarbów i pamiątek, tę wiarę czystą a silną polskiego ludu, rozumiem być osobliwością najwyższą, którą żeby pojąć, żeby ją uczuć i podzielić, umyślnie tu przyjechać trzeba. Raz poczuwszy ją sercem potrafimy zrozumiéć wiele tajemniczych zagadnień historyi naszéj, źródło istotnéj naszéj siły, a może i szczęścia na przyszłość!.,. Podczas gdy cały świat wyziębia jéj ducha lub okazałemi formami stara się wyłącznie uderzać na zmysły,—szczęśliwym się czuję, że oto w téj kaplicy, w téj gromadce ubogiego ludu, Wiara Ojców naszych żyje w całéj swéj pierwotnéj prostocie i czystości,

i istotna potęga cudu, rozpłomienia się w symbol Nadziei i Miłości. Mamyż żądać bardziéj widomych łask i dowodów opieki? Czujemyż potrzebę dotykać trędowatych, i chromych lub ślepych, ażeby w zeznania wiarogodne mnożyć prawdy i tradycyje Kościoła? gdy oto tu, prawie codziennie i w naszych oczach, spełnia się cud wielki, chrześcijański, — cud Wiary i Modlitwy!.

. . . . Tom I str. 147.

Montmerency.

Był to śliczny wiosenny poranek, kiedyśmy wyjechali do Montmorency. Kółko nasze było niewielkie ale serdeczne, przyjacielskie. Otaczają go sady i winnice, a domki malowniczo lepią się na pochyłości góry. Kiedy wam mówię o jakiéj wiosce francuzkiéj i opisuję jéj położenie, nie dopełniajcie tego opisu stosunkiem do miejscowości naszych. Nasza wioska a tutejsza, zupełnie odmienny mają wyraz. Sadyby nasze zwykle są rozrzucone malowniczo nad brzegiem stawu lub ruczaju; chatki leżą odosobnione, obejścia ich umajone w sady, słomiane dachy przeglądają tu i owdzie z massy zieleni, co je nakrywa jak parosolem, a białe facyaty domków ożywiają ten sielski krajobraz; tu wsie jak miasteczka są spojone dom z domem, ściany murowane i piętrowe; zamiast naszych chróścianych płotów i częstokołów, parkany z kamienia lub cegły, obejścia ciasne, ulice wązkie, słowem już—wsie wyglądają na miasta i są właściwie miastami, tylko na drobną skalę. Kiedy się te facyaty domów poubierają w kwiaty; parkany oplotą w powoje i troskliwie opatrzą w wiejskie ozdoby każdy drobny kawałeczek ziemi; kiedy się to umiecie, przystroi i ozdobi gustem i opatrzeniem, jak to umieją robić Francuzi—ma to wdzięk i powabny wyraz, ale dla nas nie przypomina nic naszego; owszem, przypomina te pejzaże z ruinami zamków, które ze sztychów przeszły już na transparenta, tabakierki i tace.

Uwagi powyższe dadzą się zastósować i do Montmorency. Kościołek, co go zdobi, stoi na prześlicznćm miejscu, zkąd szeroki odsłania się krajobraz. We środku, na lewo od drzwi

głównych we framudze frantowéj ściany, leżą obok siebie zwłoki Ursyna i walecznego Kniaziewicza. Nasz Oleszczyński wyciosał dla nich z marmuru pomnik pełen prostoty i prawdziwie artystycznego natchnienia. Wyobraża on anioła zlatującego na węzgłowia tych starców z rozpostartemi rękoma, jakby niósł im z nieba pokój, łzę i westchnienie. Co to za postać! ile tam poezyi i prawdziwego uczucia! ile tam myśli wcielono w te szlachetnie a tak prosto zarysowane kontury!

Za miastem, idąc w górę znajduje się cmentarz kościoła opasany murem. W szeregu prostych grobowców polskich, leży głaz kryjący zwłoki Mickiewicza: Skromny napis i kilka gałązek cyprysu pokrywa kamień. Ma to być grobowiec tymczasowy. Późniéj mają przenieść zwłoki do kościoła, Oleszczyński ma wykonać pomnik i stósowny umieszczą nad nim napis. Lecz czemuż pomnik ten nie będzie w kraju, na ziemi rodzinnéj! Tadeusz i autor Tadeusza, to są dwie tak wielkie i tak ściśle narodowe postacie, że dla nich trzeba rzucić po garstce własnéj ziemi i nasze, sławiańskie, usypać na ich prochach mogiły. Dla wieszcza, co był poetą w najwyższém znaczeniu tego wyrazu, co umiał przetopić na wiekopomne słowa cały złoty pokład uczuć, łez i cnót narodowych, dla wieszcza takiego, powiadam, nie o marmury kararyjskie starać się potrzeba. Albo dać mu rodzinną ziemię na zwłoki i nasze niebo na pokrycie, albo ten prosty i ubogi zostawić kamień na nich, —prosty i ubogi jak był on i całe jego życie...

Któż dziś niéma marmurów, nagrobków, szumnych nadpisów i kamiennych sklepień w kościołach? Magnaci i bankierowie zdobią się bodaj czy nie w najlepsze, a godziż się przymierzać go do nich? Nie dla tego go czcimy, że był genijalny jak Göethe, potężny jak Bajron, wielki jak Milton, lub głęboki jak Dante; nie,—nie mierzym go według modły krytycznéj; ale oceniamy według siły tego ducha, przez który uszlachetnił swych czytelników. W nim się uwidomił naród z całém bogactwem cnót jego rodzinnych i wielkich. Oddziaływał on na nas nie harmonjném brzmieniem wierszy, nie mądrém sformułkowaniem okresów, ale tą jakąś siłą co jak bóstwo w ziemskie oblekła się szaty. Żaden krytyk, dziś nawet, nie odszuka w jego dziełach téj siły, gdy próbować ją zechce na osełce rozumu; ale z uchem przyłożoném do ziemi dosłyszysz wyraźnie jéj pulsacyi. Jakże opiszą takiego człowieka marmury i nadpisy, bodaj najlepsze? Kiedy pewien podróżny przeczytał napuszony nekrolog na grobie Rafaela, zawołał: „Czemuż nie napisano po prostu: „*Tu leży Rafael*“ powiemy podobnie o Mickiewiczu: Czemuż nie przestaniemy na tym prostym głazie, co go widzimy w Montmorency?

Otoczywszy grobowiec, przeszliśmy pod wpływ myśli nie smutnych ale wzruszających. Płakać, że umarł,—żałować, że nie żyje przez wieki, nikt z nas nie był w usposobieniu. Owionął nas żal nie ten, co się we łzy rozpada, co pojmuje boleść rozłączenia; ale ten cichy, który porównałbym do dni spokojnych jesieni, osiadających niekiedy na kraj cały; do tych momentów uroczystych, które według wyrażenia poety, zwiastują przelot anioła milczenia.

W wędrówce mojéj po obczyznie na ileżto już patrzałem grobów! Bodajby najtkliwsze serce, jużby się wyekspensowała z czułości i nie odbierało wrażeń. A jednakże głaz Mickiewicza, owa piędź ziemi, pod którą w proch się obraca to serce, robi na nas wrażenie nieznane dotąd, bo promienie jego geniuszu przesnuły nas i przez ich pryzmat patrzymy dziś na ten kamień.

Listy Padalicy.

. . . . Tom I str. 378.

Wyjątki z Listów Kremera.

O wspomnieniach.

Młodości porannéj wspomnienie, to zielnik stary, bo w niém wszystko przechowano z dawnych lat; co serce niegdyś ukochało, co szczęsna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknéj zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułomkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym. A zmarły roże jak miłości młode; zbladły zawczesne trymfy młodzieńcze jak wawrzynu listki; a uczucia wonne duszy zżółkły jak fiołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały

się same jedne pamiątki cyprysowe, owe niezabudki młodych łez. Młodości lata—one rajskie ogrody strojone kwiatów rodem, pojone niebios rosą, one dziś głuchym rozłożystym cmentarzem; wśród jesiennéj szarugi życia, na grobie czarodziejskiéj ułudy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posągiem troska blada.

One radośne kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyświecają nam gwiazd ogrodem; więc téż człowiek w tęsknocie swojéj tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i powierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy cichą stopką po niebie chodząc słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą dróżką swoją na niebos przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonéj ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc patrz! w miejsce zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygaszą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co doczesne, umarło; co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystek twój wiek.

Tak; komu zacnego ojca uśmiech był jutrznią ducha, a nieskażona cnota wzorem; kto jego błogosławiącą modlitwę wziął posagiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka miłości pełna prawiła o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożéj, o zmarłych braciszkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem pozostałém na ziemi, by było dobre i pobożne; kogo wypiastowały zacność i święty obyczaj domowy, ten zaiste nie będzie samotnym na świecie. bo nieśmiertelna jest spuścizna miłości rodzinnéj i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie; choć mu życie zbiednieje, a nie jedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie samotnym na świecie. W chwilach szarych, ckliwych, cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własném jakby w przenajświętszéj świątnicy istoty swojéj; w cichocie uroczystéj; sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczéj treści ducha swojego da posłuchanie,—i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie;—i stanie przed nim matka i pochwali, i przytuli, zcałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne

od ziemskiéj niemocy odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem—i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jéj radośne obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu i znowu zahuczą ochotą wesołą towarzysze z chłopięcych lat, a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmią światłem i cieniem, barwą i harmoniją jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zrzuci z siebie żebracze szaty, i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące, których się dobierzesz, bylebeś je w imię Boże zaklął miłością i zacną a niestrudzoną nigdy pracą. I tak— pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, skąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów pożyczona? Skąd im ta wieczna młodość, co nigdy nie starzeje, choć się zjawią w najgłębszéj życia twojego jesieni? Skąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiała, nie przygasła, choć one tak długie lata przeleżały w otchłani pamięci twojéj? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twojéj Matki wizerunek święty i to jéj ostatnie pożegnalne spojrzenie, co utonęło na zawsze wiekuistości promieniem w duszy twojéj, już i sam siebie widzieć będziesz w owczesnéj młodocianéj, prawie pacholęcéj postaci; tak to dawno, tak bardzo dawno od owéj boleści pełnéj a uroczystéj chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie;—ten spoczął w małéj jeszcze trumience, tamtego znów wysoko podrzucił świecisty los, ów przepadł gdzieś w mławu; owemu znowu dawno na skon „zadzwoniły konie kopytami a wojacy ostrogami—a wypiła oczy wrona z dalekich stron.“ (Stara pieśń).

Pytasz skąd te dziwy?—pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknością, ty sam w nie

tchnąłeś anielskie wdzięki poczęte we własnym duchu twoim. Tyś sam własnemi oczarowany czary. Ot patrz, w cichéj istocie duszy naszéj składa zewnętrzny świat wizerunki swoje; wmykają się w nią tłumne postacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiéj, więc téż nie dziw, że te postacie a obrazy tak są niby prozaiczne, powszednie, bez barwy, blasku i wdzięku; one tam gdzieś na dnie ciemnéj otchłani duszy leżą zapomniane, przyprószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swojém, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radosne świata rozbudzą dawne, oniemiałe w sercu wesela; wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głębie swojego wnętrza; wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione jakby na kryształowych szkłach malowane figury latarni magicznéj, przepromienione teraz poświatą czarodziejską ducha twojego, zjawią się zewnątrz ciebie i przesuwać się będą poprzed oczy istoty twojéj wiekuistéj; będziesz je widział pływające we falach nieskończonéj niebiańskiéj piękności. Tak—jest-to twoja własna sprawa; te uroki jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiańskiém obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmiłował rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się modlił. Nie pytaj przeto już skąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, skąd one tak anielskie, tak przeczystego uroku;—oto w duszy rzewnie i uroczysto. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian przetłomaczoną na język ziemski.

Tom. II str. 5.

O wrodzonéj poezyi.

Każdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezyją; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia i żale i pociechy jego; a póki lud jest samym sobą, póki jest świadkiem siebie, póty téż i ta wnętrzna poezyja nie umiera, a żyje życiem pełném, choć ją głuszą światowe hałasy, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Tą poezyją jest ona fantazyja powszechna, wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich latach i wiekach; a ta fantazyja choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inną a inną; ona tak mu własną, jak mu własna krew, i uczucie i myśl. Więc choć powiewy przyniosą pieśni urocze ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznéj wiosny przyniosą dźwięki cudowne ale cudze, toć przecież w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tęskno w duszy; przywiane z daleka pieśni a dźwięki ulecą jak woń zbladłéj róży, jako liść laurowy oderwany od gałązki rodzinnéj.

Gdy atoli z własnéj kości, z własnéj duszy, z własnych borów i gór i z własnego nieba urodzi się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń,—wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdéj śpiewno, wrząco, uroczysto, świąteczno i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtoruje mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najczęściéj wloką się ich dni i lata w ckliwéj życia prozie; lecz i w tych szarych, powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom téj poezyi swojéj, byleby był zdrów na sercu i myśli znajdzie tę poezyją swoją, tę fantazyją sobie właściwą w swoich dziejach przedświtowych; w niéj się dopatrzy rozpłynnych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszy głosów niby wołania dzwonka z za boru, co wzywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne. Przecież i każdy pojedyńczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swojego; one mu dzwonią wspomnieniem lubém z poranku młodości, z dziecięcych lat; on niemi się pieści i bawi, niemi się chłodzi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baje i powieści, co mu tak błyszczą tak świecą, jako złote jabłuszka, jako obrazki świecisto. Wtedy znów cudem fantazyi zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno zmarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy żyją wśród czarów, uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajskich ogrodów ułudy; a co wspomnień człowiek uniesie z téj życia wiosny, toć już jego własnością, a skarbem złoży się do grobu;

a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie młodo i tkliwo.

Tom II str. 195.

O miłości do natury.

Miłość do natury i jéj pojawów stanie się dla każdego człowieka i mistrza i niemistrza jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepła serca tę naturę i zrozumie mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczków brzęczących po ziołach i orłów tatrzańskich loty; gdy się nauczy mowy lasów ojczystych, co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew; gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty co mu rosną po łąkach ojczystych i po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hieroglifach co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swojém, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoi zadane od ludzi serca rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na któréj zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych, utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojéj zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie, chroniącym serce od skazy.

Tom I str. 84.

Widok z Wawelu.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste w swych szatach niedzielnych przybrała się w co miała najstrojniejszego a tak jéj

téż dobrze i ładnie w tych sukniach świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze.

Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby rozmaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry czarnym borem poważne,—i wzgórza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie; i wytężone rozłogiem niezmierzonym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równinach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łanów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów

Osiadły téż tu ciżbą wioski i pałace; klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełném sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię czarami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile, osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki,—potoki i zwierzęta, góry, ludzie, i dzwony śpiewają weselem: ale już primadonną téj wielkiéj opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swemi nuci nam tę samą, jéj niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją.

Tom I str. 233.

Wielki Piątek.

Oniemiały dzwony krakowskie; całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, by po staremu cześć oddał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje i jasném spojrzeniem rozpłynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię, a w serce ludzi nadzieją świecąc.

Bóg umarł—a potęga przyrodzenia uśpiona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka niby dzwonek poranny natury ogłosi mu przebudzenie i świt.

Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go cięźéj kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie, póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w któréj i jemu anioł w bieli ciemności otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy téj ziemi, i jéj biedy, i jéj płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onéj wielkiéj zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota i jakby Bożém imieniem pukają rok rocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niém tęskne obrazy upłynionéj młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnéj naszéj istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiéj pielgrzymki człowieka; wzywają go: by się policzył z życiem, ze światem, i z sobą; by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnéj życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ułud złocistych zagasło. Ale im samotniéj, im smętniéj i ciszéj w duszy, im więcéj traci wagi doczesność, tém jaśniéj wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki jakby harmoniją niebiańską wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną, a w sercu świąteczno, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niém płomień nieskończonéj miłości i jakby organy zabrzmi samotne duszy nabożeństwo.

Tom I. str. 173

Kościoły krakowskie.

Z drugiéj strony Sukiennic w głębokich cieniach przyklęknął do ziemi skromny kościołek Świętego Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownéj nocy, zamknął się w sobie; boć w jego sercu gorejo inna a nie pożyczana gwiazda; tam jaśnieje światłość wiekuista widna dla oczów duchowych; z niego wyszedł dzień jasny, Boży, i rozświecił serca ludzi. Z tego kościoła wyszło niegdyś wołanie Anioła głosząc ludowi śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościołka zamknięty kamień z którego niegdyś męczennik święty siał w lud wiarę zbawienia. Wkoło świątniczki wianek zielony topoli, tych cyprysów i mirtów naszéj północy. Spadają i odradzają się ich liście, a świątniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Schną z kolei podstarzałe jéj drzewa, a pokolenia po pokoleniach same odradzając się, dochowują staréj czci i na miejsce zwiędłych, sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Ponad rynek i miasto,—ponad kraj w około unosi się poważnie, uroczysto kościół Maryjacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy, straciły tu ciężkość swoją; materyja bezwładna, tu uskrzydlona pobożności uczuciem zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki Dziewicy na tle głębokiém nieba; on ku nam zwrócił stronę cieniem zalaną; ztąd postać jego, podobna do tajemnicy wiary, co niby okryta urokiem świętym a przecież rozwidniona serca poczuciem, jest wiekuistości zwiastowaniem! Wzbija się wieża jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżéj ziemi, bliżéj doczesności i jéj spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką, a przecież tak poważną, a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy i w nich się nurzy i płynie i pali jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdzę napowietrzną wiary. Znowu wyżéj i wyżéj piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistéj korony, którą ludzie uczcili Boga—Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżéj korony i u podgwiazdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata godło; nad kulą, nad światem chorągiew, miłosierdzia sztandar; na niéj imię Maryi Pośrednicy Ziemi i Nieba! Świątynia czuwa nad miastem jako Orędowniczka jego; w niéj złożone jego nadzieje i miłości i ciche marzenia; w niéj nas krakowian uświęcają chrztem na żywot, w niéj wiążą ślubem „aż do śmierci," w niéj nas Bogu

oddają. W tym Przybytku zamknięte Alfa i Omega wszystkiéj naszéj ziemskiéj wędrówki.

Kościół oblekł się szatą uroczystą nocnych cieni; wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu rozpłynęła się rosa niebiańska a po rosie téj księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich od szczytu wykwitła, jakby w liliją śnieżną, w drobniuchną eteryczną świątniczkę gotycką: ścianki jéj przejrzyste z marmurowéj koronki—cała ta kapliczka zwita z kwiatów, z liści słupków i wdzięcznym splotem przerosła dach, i bieli się i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia.

W Kapliczce próżno; w niéj nie zamieszkał żaden wizerunek święty; ale jest tam Gospodyn, jest! tylko nie widny z dołu; tam w tych śnieżnych, eterycznych, kwiecistych kapliczkach siadają Aniołkowie na straży małych dziatek naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na ziemi. Gdy dziecię chore, matka chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, huśta i płacze i wstrzymuje tchy i przemaga łzy, by nie przebudzić śpiącéj dzieciny; tak! matka chodzi, huśta, do serca je tuli, a nie wie, że już umarło, że aniołek z bieluchnéj kapliczki już całuje i pieści jéj dziecię ulatując z braciszkiem aniołkiem do nieba.

Tom 3-ci str. 160.

Noc księżycowa

Cicho, spokojnie w izbie;—noc głęboka—słychać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru uciekają do wieczności; małe pacholątko śpi w kolebce, a tu księżyc milczkiem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę, aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołyskę: bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę, a ono w téj jasności smętnej takie blade, jakby umarłe; trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zcałowała rumieńców jéj dziecinie i nie wyszała oczek niebieskich.

Co do mnie, jestem mu rad z całéj duszy, bo widzisz, ja

mam z dwóch powodów serdeczną słabość do niego. Zważ tylko—księżyc jest dla nas istną *przypominajką*; jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką, dobroduszną twarz swoją zwróci do biednéj ziemi naszéj i jasném spojrzeniem wyleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy i plącze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą niby srebrne struny arfy anielskiéj—a dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają pokojem, choć na chwilę, myśli ckliwe, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili i cierpi i płacze. Patrz—ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby zarównem kochaniem, jasnością uroczą ustroił i mogiły i świątnice, żyjących i umarłych. On mogiłom i świątnicom, żyjącym i umarłym, na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń o innych światach, kędy niema łez i lęku skonania. A tak, gdy wśród téj pieśni jego, w sercu i w myśli uśnie troska dzienna, gdy choć na chwilę spojrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselszych, szczęśliwszych żywota twojego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmara genijuszów nocnych, skocznych, lekkich, krząta się, zwija i lata i biega; ciałka ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się i śpieszy i lata i biega czeredka, i dźwiga kulisy, kórtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia i szykuje, i jakby mularze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi,—a już i gotowa scena z dawnych lat i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, uciekają, a z głębi duszy twojéj występują aktory, niby lunatyki księżycem obudzone, i odgrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogich; i patrzysz, i weselisz się, i poklaskujesz wdzięcznéj komedyi, któréj sam jesteś widzem i autorem. Tak—niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy i raz jeszcze, choć na chwilkę nawracamy do uczty weselnéj, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mruga i niby mówi: „nie prawdaż? tak samo ci się uśmiechałem—tam! wtedy—pamiętasz? Tak jest,—ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stoją przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy, gdy równie świat się ubierał w te czary

jasności nocy magicznéj. Powiedz tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i łudzi, jednakże pieści a koi.

Tom III str. 154

Wiosna.

Gdy słońce opuści tamtę nam odwrotną kulę naszego planety, gdy pożegna nieskończone jej oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata; gdy jego tarcza, ta pani światłodowcza, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spojrzenie swoje po naszéj północnéj połowie ziemi, już wtedy ogrzane jéj promieniem duchy natury obudzą się po długim śnie zimowym, i—przeciągając się, leniuszki ziewną, spojrzą w około siebie i zabiorą się ochoczo, rzeżko do wydzielonéj im pańszczyzny. Jedni z tych duchów wyrobników imają się łąk, gajów, i gór, i roli, i chuchają na wszystko co rosnące, kwitnące, więc: na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i przędą cieniutko włókienka i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami i tchną na nie wonią—a wnet Karpaty co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jéj objęciu śpieszą na Baltyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmłodniały wiosną i z wysokości swojéj patrzą kwiatkami na błonia i gaje i na grody staro. Ba! wszak i na jednéj z zsiwiałych baszt krakowskich, na jéj samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jéj bukiet ślubny.

—...A cóż dopiéro dzieje się w sercu młodém, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodziuchny podrostek trzyma fijołki w ręku, oddycha ich wonią i duszą rada im się wyspowiadać, ale jéj słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fijołki w jéj piersiach urosły, że to są wróżby, że to one senne obrazy, co jéj się w nocy przyśniły; że to owe marzenia, co ją dniem pieściły, rozbierając serce rzewną, tkliwą tęsknotą —nieskończoném proroctwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha; a ducha przyrody po krzewach, po gajach, ukryły

słowiki, co wyśpiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne. aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jéj sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jéj duszy nie rozsadzą. Nadleciał też i mały wietrznik, siadł tuż przy niéj na kwiatku i rozwinął skrzydełka swoje, i pokazuje jéj hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona duma i myśli i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksiężkie przeczytać—i duma—i myśli i tęskni. Któż jéj rozwiąże owe wróżby i przeczucia, owo wonne i śpiewające proroki? Kto jéj przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify popisane na skrzydełku motylém?

Tom III str. 437.

Babia góra.

Znasz Babią górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku krakowskiego nieba; ta góra—to od czasu do czasu gospoda onéj staréj czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu co młode i piękne, skoczne i radosne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siędzi przyczajona i czyha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziejesz, okryje się płachtą z brudnéj, ciężkiéj mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednéj nocy pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Daremnie broni natura te swoje dzieci lube, wnet i ona urzeczona od staréj złośnicy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi i marzy natura; śni o swoich kwiatach i barwach, woniach i światłach, a śpi póki jéj nie przebudzi powiew wiosny młodéj.

Teraz zima broi na dworze i ziębi; słuchaj jak szumi i jęczy i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno i ckliwo, bo nam podobno gorzéj jeszcze niż naturze drogi bracie mój; przecież do niéj wrócą światła i kwiaty, wrócą i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdyś na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły już niepowrotnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich bo wiesz choć ci czasem samotno i ckliwo, zaproś w gościnę inną czarodziej-

kę, dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne, i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczor zimowy, co tak długi i tęskny, przeminął, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie. Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani: te biedaki są jéj oddane w jęctwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzynią! Ale pozwólno jéj stroić sztuczki, pozwól gadać, bajać, i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jéj figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwinkami za gościnę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawią, umie i zadać niekiedy kropli na odmłodzenie, z fabryki onego hrabicza francuzkiego hulaszczéj pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne, lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj téj bałamutnéj psotnicy, pozwól broić téj wróżce figlarnéj; boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym:—ona nam barwi, co szare, spleśniałe, a złoci co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazya podobna do świerczka w kominie; póki się odzywa, toć znać, żeś nie przemarzł do szczętu, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń téj psotnicy lubéj progów twoich, owszem, niekiedy pomóż jéj dokazywać i broić! A jeżliby ci brakło weny a jejmość fantazya miała się zdrzemać na piękne, to zrzuć pychę z serca i siadaj między dziatwą, poigraj z pacholętami, a fantazya znów się rozbudzi w tobie, a odswieżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz nie jedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, to iście pany na zamkach czarnoksięzkich; ona to w królestwie cudow i dziwów jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządny w świecie ład, w ich duszy złocisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholąt witany. Patrz co się dzieje w ich duszy, gdy sosienka przyniesiona z bielańskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złocone, gdy na gałązkach jéj zamiast szyszek zahuśtają się wiarusy wąsate, warkoczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka i rybki ich z Wisły sąsiadki i swiecą barwiste stoczki, a w pudłach

i pudełkach pełno dziarskich ułanów i grożnych piechorów. Posłuchaj co się tam migoce, mieni w tych główkach małych. W oczach, w myśli przesuwa się światek, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszechnego ładu świata; więc też one tak chciwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dlatego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą życia, siadaj między dziatwą i praw im historyikę.

Tom II str. 351.

Cmentarz rodzinnego miasta.

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby przeżywszy już znaczniejszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianéj, rzewnéj tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tém życiu powszedniém; tych chwil,—w których serce zachodzi bólami całéj naszéj przeszłości i nabrzmiewa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych ojców, przyjaciół, krewnych, —i rozmowić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i przenieść się w dawno upłynione lata, a często umarli uleczą zbołałe dusze żywych.

. . . .

Śmierć—to wielka nauka dla żyjących! jakoż kłopotki i zmartwienie codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fale, lecz gdy znienacka spadnie na ciebie całém brzemieniem skon drogiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojéj topiele,—i z głębin ich wyrzucą na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy, co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją, co ziemskie, doczesne, zblednieje, skurczy się w karła, zniknie, uleci. Wtedy poczucie wewnętrzne ci wróży, że cię sam Bog

nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzącéj gwałtownéj boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne slodyczy rzewnéj. Ale to dopiéro wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoi troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota. Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na téj wczorajszéj wędrowce mojéj, po tym krakowskim cmentarzu!.

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury barwy; sposzarzała te jasne nieba błękity; jéj wichry obdarły z krzewów i drzewów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczo, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwalany, sponiewierany, poszedł na pomiotłę i gry — mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła mokra, gęsta, kłębami przewalała się po świecie, w niéj jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy rozpływając się w kształty zamazane, omdlałe. Daleko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy,—i stary Kraków uderzył w swe kościelne dzwony i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żałoby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i pieśń oniemniała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubéj mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wozek o jednym zbiedzonym koniu; na wózku z prostych dosek trumna, a na trumnie krzyż czarny rozmazany słotą; obok szedł woźnica,—on był sam jeden całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obsłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarły—i woźnica—i ja—składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał,—czasem trumna stukła, czasem zaklekołały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było pod dostatkiem; więc w rychle zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się jednym z gospodarzy na téj świętéj roli Bożéj.—Blizko niego stos liści zżółkłych, nawianych wśród grobów; one, chwycone wiatrem, nagle się zerwały, skręciły się w słup, a słup

wiercąc się i szumiąc poleciał daleko ponad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylca; świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dreszczem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym cmentarzu. A w koło już nie było widać istoty żyjącéj. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń; niekiedy tylko tu lub owdzie zgrzytły drzwiczki blaszane na starych pochylonych krzyżach; niekiedy na grobie sykły zioła zwiędniałe powiewem poruszone, westchnął zwiędniały listek, poruszył się na grobie; niekiedy coś stękło pod ziemią—zapewne załamały się dawno spróchniałe deski. W środku, jakby na rozstajnych drogach, czerniła się kaplica drewniana; ona choć biedna, z desek sklecona, jest jakby stolicą świętą tych grobów ubogich i tych pomników okazałych.

Gdym wracając przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już widać duszy żywéj; zdawało się jakgdyby te długie rzędy grobów jedne po drugich z kolei wybiegały naprzeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżow, pomnikow kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szeregiem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Boży a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i napisu; widać, że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez cały żywot swój,—i na nim też legli w grobowym dole; lecz imiona ich łzawem zaprawdę pismem wyryte, trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi.—Obejdzie się już bez pomników; wszędzie ta ziemia jest święta. Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika téj cichéj historyi rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupłéj skromnéj scenie domowéj, nieznanéj od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł napełnić księgi całe.

Tom 2-gi str. 254.

Wyjątki z „Mogił" Kraszewskiego.

—...I nie czułem jak padłem, nie wiem jakem tak leżał, nie pomnę jak powstałem, aż otwierając oczy, ujrzałem istotę

w bieli i promieniach, która białém ramieniem objąwszy mnie, tuliła głowę zbolałą i z cicha szeptała słowo pociechy, pieśnią spokoju płynące mi do duszy.

A gdym się obejrzał odrywając źrenicę od blasku oczów, które mi świeciły, nie byłem już na ziemi. Widziałem ją jeszcze u stóp moich rozciągnioną szeroko, daleko, owianą mgłami, ale krzyki nie dolatywały uszów moich, i z za chmur świeciło na nią słońce godne poranka.

Cisza wielka owiała nas, a głowie mojéj tak było słodko spoczywać na ramieniu anioła, przytulonéj do czystéj piersi, w któréj nic ziemskiego nie było, żem ust nie umiał otworzyć by snu uroczego nie przerwać. A nie był to sen, ale jaw zachwytu.—Boleść podniosła mnie nad ziemię, a anioł, który trzymał mnie nad nią w swoich objęciach, i słowo jego ziemskie nie powtórzone, powoli balsam lały na rany długiego żywota i potargane myśli sploty i rozranione serce.

Długom tak spoczywał w objęciach anioła a nie słychać nic było tylko szelest skrzydeł jego srebrzystych, tylko słodki szept ust jego, tylko oddech śpiewny, i szatę, którą powiew lekki poruszał—a szata szmerem się swym modliła.

Między niebem a ziemią, nie ubłogosławiony jeszcze, ciałem śmiertelném i nieoczyszczoném podnieść się nie mogąc wyżéj, czułem już spokój szczęścia lepszéj krainy, któréj byłem bliżéj, i widziałem cały zastęp białych aniołów, unoszących się w różne strony koło mnie.... Z uśmiechem lecieli z niebios na ziemię a z ziemi ku niebu.

IX.

Jak w ulu pszczoły robocze, cicho a żywo przesuwały się białe postacie, posłańcy Boży.... i oko moje rozeznawało powoli braci tego, którego ręka podtrzymywała mnie nad ziemią w połuśpieniu potrzebném biednéj zbolałéj duszy mojéj.

Wszyscy braciszkowie witali się z uśmiechem i spotykając, czystym na chwilę łączyli pocałunkiem. Kładąc sobie ręce na ramionach—wszyscy podobni byli do siebie, a blask niebios jaśniał na ich obliczach, i szczęście z nich promieniało i spokój ich otaczał. Jeden niósł w objęciu białych ramion duszę przeznaczoną do jasnego spoczynku u nóg Bożych

i przyciskał ją do piersi, jak matka tuli dziecinę, skroń jéj ocierał z potów śmiertelnych, łzy ustami osuszał, krew szaty dotknieniem obmywał.

Inny na promyku leciał z naczyniem rany gojącego napoju, gdzieś ku czarnéj naszéj dolinie, a spieszno mu było i oczy jego pół płakały, pół uśmiechały się radością.

Inni polowali ze złotych konewek świeżo zasiane pola deszczem urodzaju, rosą użyznienia, inni szaty swe białe rozpościerali osłaniając łany od burzy, inni odgarniali niewidome duchy złoczyńce mieczem ognistym i krzyżem jasnym, ci ściągali promienie, tamci rzucali cień chłodny.

Inni nieruchomi zdawali się oczekiwać rozkazów, patrząc po morzach i lądach, po lasach i polach z założonemi na krzyż rękami, ze zwieszonemi głowy, tuląc się po dwu do siebie od chłodu, którym na nich wiała ziemia.

Jeden niósł matce sen o dziecięciu, co śpiewało chwałę Bożą i śpiewając, w niebiosach po niéj tęskniło, a sam Bóg mu się litował;—drugi z obrazem matki na szacie, leciał ku dziecku do nieba.

Inny z ziemi westchnienie boleści do krzyża Chrystusowego, rozpiętego w niebiosach, dźwigał co żywiéj, podnosząc się wysoko, a szata biała migała na nim długą wstęgą.

Trzeci prośby i modlitwy zabrawszy w połę dalmatyki, jak żniwiarz z pola wracający, spieszył z niemi do Bożéj stodołki, a oko jego spoglądało z litością na szare i czarne, na świecące i starte—prośby ust ludzkich, z których mało było czystych i całych. Jedne podziurawiły namiętności, drugie splamiły łzy ziemskie, inne w proch się rozsypały, tak były lekkie i błahe.

Anioł nad jednemi płakał, nad drugiemi wzdychał z litością, a ciężko mu z niemi było, i zginał się pod ich brzemieniem, aż zbliżył się do strumienia łaski i obmył w nich modlitwy i poniósł je czyste i świecące.

Byli—co nieśli palmy zielone na ziemię i krzyże na ziemię, i krople pociechy.

Był jeden, co promyk nieba jak kwiat jasny piastował w ręku, aby nim czyjąś boleść oświecić i wonią niebios ją orzeźwić.

Był—co łzę jak perła czystą niósł na dłoni do góry.

Był—co pot poczciwéj pracy do Boga odnosił, inni nieśli słowa dobre na czystych kartach złotemi głoskami pisane. I spojrzawszy na ten ruch posłańców, ziemia mi się mniéj straszną, i życie nie tak nierozwikłaną zagadką wydało, gdym zastęp duchów zobaczył—i zapytałem Anioła: zawsze ci jest tak?

X.

Usta jego uśmiechały się z politowaniem marzycielskiém.

—Biedne dziecię rzekł całując wypłakane powieki moje, jakże ci gorzko musiało być w życiu, gdyś tak zwątpił o Bożéj mądrości i opiece! przez jakie przeszedłeś próby? ileś cierpiał po cichu i niesprawiedliwie?

—Ja rzekłem—ja? a cóżem ja jeden? maluczki pyłek na małéj ziemi naszéj... jedno nic wśród tego tłumu, co cierpi cały! serce zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, zwątpiłem o świecie, pojąć swiata naszego nie mogąc. Tyle w nim złego, tyle brudu... tyle czerni, łez tyle... a tak krótko trwa wszystko?

—Wolałżebyś, by boleść dłuższą była?

—Ale jedna ona nie ustaje nigdy—a co najszlachetniejszego, najlepszego, co jaśniejszego, to znika i ginie w chwili jednéj... powiedz mi, dlaczego wszystko ściera się i ginie.

—Aby żyło i odrodziło się w niebiosach. Dziecię moje, ty się uskarżasz na ziemię, ty tęsknisz nad jéj znikomością... a sam ten ból twój jest nieba pragnieniem i stopniem do niego. Dziecię moje, z ziemi na ziemię patrząc, mgły ją zasłaniają; ztąd na nią patrz ze mną, a inaczéj ją zobaczysz. Wszystko tam znikomością, ale nie cała ona tak żałobą pokryta, tak bólem przesiąkła i ciemnościami osnuta. Są i tu chwile jasne, są i tu ludzie bieli, ale nie żądaj nieba bez chmury i z ludzi czystych aniołów. O! niema u was ani szczęścia bez goryczy, ani istot w którychby sercu nie czerniała plama grzechu... chciałżeś od ziemi co tylko niebiosa dać mogą? Chodź ze mną dziecię moje, a inaczéj swiat zobaczysz; ja cię prowadzić będę.

XI.

A gdy to mówił anioł, podniosłem głowę nieco; pokrzepił mnie uśmiechem, uczułem siłę w sobie, i po boleści nastąpiło jakby odetchnienie spoczynku; powieki jeszcze nie oschły, serce bić jeszcze nie przestało, ale gwałtowne cierpienie ustępowało zwolna, i z rezygnacyją spojrzałem teraz na kolébkę naszą, na cmentarzysko... Skrzydła Anioła poruszyły się i poczęliśmy się zbliżać ku ziemi, a on wskazał mi ręką znajomą okolicę.

Wszystko tu zmienne, przechodzące, niestałe, smutek wieje od chłodnego oblicza matki waszéj, ale nie rozpacz... Patrz jak z więzienia tego ulatują dusze wyzwolone, jak tu wszystko splata się, spaja, słońce i burze, uśmiech i smutek, nic niema trwałego, ale i boleść nie żyje na wieki. Całe życie wasze to chwilka, i gdy zamkniesz powieki, błyskiem ci się wyda, co sądziłeś wiecznością gdyś cierpiał. Nie maszże, czém się pocieszyć choć chwilę? Z tych serc skalanych, strzelają niebieskie uczuć kwiaty; w najzepsutszém jest jeszcze białe ziarnko poprawy... tęsknoty... zgryzoty.... A taż właśnie młodość cała jeszcze niebiosami woniejąca, a też serca i oczy płaczące-towarzyszów podróży? a toż przywiązanie ofiar pełne? nie sąż-to obrazy złociste, którym się i anielskie radują serca? A boleści wiele i kału wiele... ale możnaż rozpaczać o ziemi... i odpychać to pobojowisko pogardą? Nie— dziecię moje... niebo jéj strzeże... czuwa nad nią... a żadna łza nie ginie, żaden się jęk nie rozprasza.

Widziałeś ten rój duchów ulatający nad nią w obłokach? Oko ledwie może ich dojrzéć w chwilach, gdy cała dusza oderwana od świata wpłynie w rozszerzoną źrenicę, jak w białej jasności słońca nie widzi siedmiu tęczy kolorów, póki mu ich łza nie rozłoży na siodm wstęg oddzielnych. Ale duchy są wszędzie; otaczają was, wspierają, przynoszą myśli, dźwigają tęsknie wasze i zawołane stają w pomoc niewidome. Człowiek sobie to przypisuje co im winien... i woła: zkąd mi ta siła? i pyta zkąd mi myśl taka?

Otwórz oczy twe i patrzaj, jaki rój istot różnobarwnych zwija się nad wami. Wasza posługa to ich życie; są to siostry miłosierdzia niebios, jak wasze siostry miłosierdzia są aniołami ziemi.., nie żyją dla siebie, służą drugim. Te duchy

jasne, zesłańcy niebiescy, słyszycie ich mowę w szumie drzew, ich śpiew w téj pieśni, którą dusza wasza śpiewa w osamotnieniu. Z niemi rozmawiacie, mówiąc z sobą: oni wam odpowiadają pociechy uczuciem na modlitwie, przyciskają powiekę wezbraną, gdy sami płakać nie możecie, by z niéj łza wytrysła; zwieszają uśmiech niespodziany na ustach, kołyszą do snu dzieci wasze i towarzyszą starcom znękanym do trumny. Od jednych ulatują, płacząc, w niebiosa, gdy czarni niemi owładną, do drugich zbierają się gromadnie w chwili boleści. Im winniście uczucia szczęścia i spokoju, ten chleb niebieski, który wam po cząstce przynoszą posłowie niebios; jeden wam kładzie na sercu szczyptę nadziei, drugi zapala miłość, inny gasi gorżkie wspomnienie i goi powoli ranę serca głęboką. Niewdzięczni odpychacie ich często; a zapieracie zawsze.

. . . .

Stała się noc gwiaździsta i spokojna... niebo nad naszemi głowami osypało się miljonami różnobarwnych swiatełek, które wisiały bliżéj i daléj do koła, drżąc wsród fal powietrznych promykami, które ich życie zdradzały. Gdzieniegdzie jak pasy srebrzyste i drogi wysypane były po niebie, jak pył djamentowy uścielał szlak jakiś bez początku i końca rozpływający się w ciemnościach... to znowu po kilka świateł błyskały jak znaki drożne tu i owdzie różnemi blaski;—i niebo wyglądało jak tajemnicza karta, na któréj głoskami ognistemi Bóg wypisał niepojęte słowo bytu. Wśród gromad świateł różowych, zielonawych, krwawo i sino błyszczących, kiedyniekiedy jakby na znak życia wśród nieruchoméj jednostajności zrywała się ze sklepień niebieskich gwiazda, szalała w przestrzeni, a życie to począwszy, kończyć je musiała gasnąc natychmiast... płacąc śmiercią za trochę swawoli. Smuga ognista zostawała na chwilę, jak warkocz rozpleciony w przestrzeni, rozpływała się, rozwiewala i gasła. Daléj biały obłoczek wędrowny, mieszkaniec różnych krain, strażnik ziemi, jak nocny wartownik powoli się przesuwał i ospale szedł gdzieś gnany niewidomą prądów siłą, póki się w powietrzu nie roztopił. Nad widnokręgiem z wyziewów i par ziemi dobywały się jak z morza głębiny powoli wschodzące gwiazdki i postępujące ku górze coraz jaśniéj błyskaly, jako duch, co się ku niebu podnosi. Widok niebios wśród milczenia był majestatyczny i wielki,

a ta sieć ogni rozwieszonych na nich, nieprzeliczonemi węzły związana, wprawiała w zadumienie—przestrach... Ni początku, ni liczby, ni końca.... Im trwaléj zagłębiało się oko, tém więcéj tam czytało tajemnic i głosek niepoliczonych, a rachując je, mordowało się i upadało pod ciężarem nieskończoności.

. . . .

Nie wiem co się ze mną stało, alem się zbudził, gdy na wschodzie jaśniała jutrzenka różowa, któréj krąg światła roztaczał się powoli krwawiąc obłoki, rozlewając strugami po chmurach, rozpromieniając i roznosząc przebudzenie do życia stworzeniu. Wśród ciszy nocnéj powstał szmer téj jutrzni dnia, a żeśmy się spuścili ponad samą ziemię i kąpali w jéj ciepłym wyziewie, doszły do nas dzwony poranne, szelest lasów, co się budziły gałęźmi, strumienie wiatru przelatującego po-nad polami na dzień dobry i świergot niespokojny ptasząt, i nakoniec jęk boleści ludzkiéj.

—Spójrz, rzekł anioł, jako się cieszy wszystko stworzenie, jako raduje życie; jeden tylko człowiek mający przeczucie lepszéj ojczyzny, otoczon nawet szczęściem, tęskni i płacze, spogląda w niebo i pragnie. - Dla tych istot niéma śmierci, bo jéj nie widzą ani przeczuwają, niéma postrachu przyszłości, bo ich byt cały zamyka się w garści ziemi i prochu;—w człowieku drga dusza nieśmiertelna i czyni go wiekuistym wygnańcem.—Rzuca się on, nie wie jako i czego ma pragnąć, a jęczy i pragnie; przychodzi do źródeł z pragnieniem i odchodzi nienasycony; kosztuje wszelkiego owocu, a głód mu dokucza; próbuje miejsc wszystkich, i wszędzie mu tęskno,—i zawsze czémś boleje. Najnieszczęśliwszy ze stworzeń gdyby się byt jego kończył na ziemi, ale w tém znamieniu boleści Bóg mu dał objaw żywota i szczęścia, powiedział mu, że tu nie koniec jego doli, że bez rozwiązania w niebie życie dlań zawsze zagadką....

Niepokój duszy—jest pokoju niebios zwiastunem.

. . . .

A! uradowałem się matce ziemi, bom jeszcze cząstką do niéj należał, i przyrosłym się czuł do téj kolébki i grobu. Zabiło mi serce żywo, uśmiechnąłem się na widok spokoju, jakim ta chwila jaśniała.

Obraz wielki i piękny stał przed oczyma mojemi.

Mgły ciemne i obłoki czarne kupami rozegnał wiatr, pędząc na drugą półkulę; rzadniały coraz i rozpierzchły się powoli, stały wpółprzezroczyste, a niekiedy promyk słońca rozrzynał je drżąc w wyziewach i malując je w barwy nieskończonéj rozmaitości. Tysiące tęcz kołami swemi malowanemi porozpinały się nad głowami naszemi, i nikły i znów wytryskały a mgła coraz to rzadsza, coraz świetlejsza i bielsza, jak przezroczysty rąbek tylko osłaniała nas, i przez nią już widziałem ziemię w jakiemś świetle dziwném, jakby oblaną płynem, który jéj obrazy ruchomemi czynił. Niekiedy złoto, lazur i purpura zakrywała mi ten widok, to znowu rozbijał je lekki wiatr ciepły, i ostatnie wreszcie obsłony spadły, ostatnie obłoczki biało i leciuchne odleciały po-za nas, a wielka przestrzeń odsłoniła się przed oczami memi. Ujrzałem znów kolébkę moją, ukochaną dolinę łez i żałoby, ale razem wesela i uśmiechów, i uradowało się serce moje... a łza na oku zawisła.

Pięknaż to była ziemia... jak umie być chwilami, gdy ją oko Boże opromieni... są dla niéj dnie jasne, w których świeci cudnie; w taki dzień właśnie ujrzałem ją wychodzącą z łona mroków... przyodziała się dla mnie wiosną, zielonością, złotem, lazurem wód, wszystkiemi klejnotami, co jéj krasę zdobią... a szeroko, szeroko widać ją było rozwiniętą, posłaną jak żywy kobierzec u stóp tronu Bożego. Góry śnieżyste i omszone lasami stały z jednéj strony na strażnicy ze swemi ostremi wierzchołki i pomalowanemi potoki grzbietami, strumienie szumiące płynęły z ich wierzchowin ku dolinom zasypanym głazami, i wonnemi porosłemi rośliny. Daléj ciągnęły się łąki falujące zielonemi wzgórzami i płaszczyzny rozległe, poprzecinane pasami lasów, porozdzielane sznurami rzek, ubrylantowane jeziorami jasnemi. Maluczkie ztąd widać było dzieło człowieka wśród potężnego obrazu ręki Bożéj; ale im bardziéj zbliżaliśmy się ku ziemi, tém widniejszy był na niéj pan i mieszkaniec. Ujrzałem szerokie drogi, któremi chodzi człowiek; miasta dymu pełne w których mieszka, wioski w których się tuli, i domostwa rozsypane po wzgórzach i nad wodami, kościoły strzelające ku niebu i wielkie gmachy, i wszystko co zbudował człowiek.

Westchnąłem mijając widoki różne, które się co chwila odmieniały: tu bitwy zajadłe, tam zajadłą pracę, owdzie spoczynek martwy skostniałych tłumów, zakładane ogrody i sypane mogiły. Wtém duch jakiś biały unoszący się pomiędzy niebem a ziemią przesunął się u stóp naszych i powiewną szatą błysnął w powietrzu. A był tak czysty i jasny, żebym go wziął za anioła, ale skrzydeł nie miał srebrzystych, i czarny warkocz rozplątany w powietrzu zdradził niewiastę, którą siła jakaś ciągnęła ku niebu, a druga przy ziemi trzymała. Jakieś uczucie ziemskie przywiązywało ją do doliny łez, choć anioł nie był nad nią czystszy i jaśniejszy. Postrzegłem ją wirowym ruchem okręcającą się w powietrzu ze złożenemi rękami jakby na modlitwie, a potém zstępującą na ziemię.

W kolébce spało dziecię siérotka, i nikt nad niém nie czuwał... duch matki zstępował ku niemu... Bóg pozwolił jéj saméj być niewidzialnym aiołem-stróżem dziecięcia, które odlatując rzuciła;—wymodliła sobie niepokoje i boleści dla dziecięcia, które się obawiała powierzyć duchom nawet niebieskim. Wiemyż my co się w koło nas i z nami dzieje, kto niewidomie nas wspiera? kto myśl przynosi? kto zasiewa ziarno dobrego, kto popycha, kieruje, wspomaga? W życiu nieraz czujemy siłę co nami rządzi, któréj się wypieramy często i zaprzeczamy jéj w ostatku.

Cały świat niewidomy nam błądzącym w cieniach, widziałem ztąd jasno. Nikt z ziemi nie dostrzegł tego cienia matki, która porzuciła niebo, by z dzieckiem swojém pozostać, a ofiaręby jéj policzono, bo duch jéj z ciała uleciał wprzód do Boga i roztopił się w jasności Jego, skosztował szczęścia i spokoju, a jednak powrócił na plac walki i bojaźni, aby stróżować u wezgłowia siéroty.

I widziałem życie ducha, co zawisł nad tą kolébką dzieciny, jego pracę i łzy, ruch każdy policzyłem.—Siérotka opuszczona szła jedna, widząc cień matki nad sobą; ludzie go nie postrzegali. Z drogi dziecięcia kamyki odsuwała dłoń matki, pielęgnowała je, zasłaniała, broniła, a ludzie się dziwili opiece niewidoméj wytłomaczyć jéj nie mogąc. Było to życie, które pospolite oczy cudem zowią.... rzucona bezbronna siérotka, zdawała się przeznaczoną na pastwę wszystkiemu co człowieka prześladuje:—chorobom, wypadkom, zdradzie, prześladowaniu, uciskom; zdawało się, że stérać się musi, że zginąć powin-

na, że w głowie jéj myśl zagaśnie na wieki, w sercu złe tylko rozkrzewi się bujnie.... Ale nad dzieckiem z grobu czuwała matka; szedł za niém krok w krok cień jéj, i gdy spoczęło, usiadł nad sierotą, szepcząc jéj do ucha myśli poczciwe, wlewając uczucia święte. Duch czytał w sercu, odgarniał co w niém złego wyrosło, wypielał chwasty, a ludzie dziwili się podrastającéj dziecinie, która kwitła piękniéj, niż inne ziemskiemi pielęgnowane rękoma. I poczytywano cudem, co było zagrobową miłością macierzyńską i poświęceniem.

Duch macierzy nie opuszczał dziecięcia, czuwał nad niém nieustannie, szedł krok w krok, ludzi odpychał, serca skłaniał, siły szkodliwe rozbrajał, bronił, ogarniał i zsyłał moc Bożą na podźwignienie.

—Patrz, rzekł anioł, to najwyższa, najczystsza miłość na ziemi; bo w niéj największe poświęcenie, niéma nad nią świętszéj, ani trwalszéj, ani silniejszéj,—jedno serce matki tak kochać umie, jak Bóg kocha dzieci swoje; jedna to miłość co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmożona, wielka, trwa do końca. Niewdzięcznością odpłacona, płacze, ale przebacza; odepchnięta, powraca; zdradzona, wzmaga się, życie traci i z za życia jeszcze promienieje. Dlatego błogosławieństwo matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelném.

Ludzie przywykli upatrywać moc i potęgę w tém tylko, co ciała dotyka, nie rachują tajemnych sił co ich otaczają. Takiemi dźwigniami są miłość, modlitwa, słowa błogosławieństwa i przekleństwa słowa, uczucie silne ku jednemu wymierzone przedmiotowi. Znacież ich moc i potęgę! widzicie cuda czasem, i te zakryte dla was drogi, któremi spływają na człowieka szczęście i niedola. Często słowo jedno mocniejszém jest od rąk stu ludzi; jedno wejrzenie zabija i żywi, jedna wola silna rozprasza lub skupia. Niebaczni, szafujecie tém, co macie najdroższego, nie znając skarbów swoich; zdaje się wam, że rychléj może podścignąć dłoń niż dusza, a gdy Pan mówił, że wiara góry przenosić może, choć tajemnicę wam odkrył, wyście Mu nie uwierzyli. Myślicie o podobieństwie, a w słowach Jego prawda, któréj skutki widzieliście dokoła,—przyczyny nie nauczyliście się dotąd.

Wyjątki z pism Gabryeli.

Obraz wioski polskiéj.

Ciężko mi było i duszno, a w około nas rozwijał się przecudny, prawdziwie polskiéj wioski krajobraz. Przechylone ku wieczorowi słońce z poza rozigranych obłoków rzucało smugi to światła, to cienia, na całą, jak serce poczciwego człowieka, okolicę. Z jednéj strony gościńca woniała świeżo skoszona łąka; nad dużym stawem, czyli nad małém, jak tu mówią, jeziorem, roje komarów i drobnych muszek cieniutką piosnkę dzwoniło, a chrabąszcze warczącym basem jéj wtórowały, lub raz po razu uderzając ciężkim swoim lotem o drzew nadbrzeżnych gałęzie, głuchy takt biły, niby owéj zmieszanéj, milijonowych brzęków, muzyce. Z drugiéj strony, rozległą przestrzeń wielcy artyści nasi, chłopi rolnicy, pokratowali w różnowzore, jakby umyślnie dobierane kobierce. Między ciemno-zieloną pszenicą, a jasno-zieloném żytem, kilka morgów gryki bialutkim śniegiem przyprószać się zaczynało; wzdłuż złocistego rzepaku wstążka lnu błękitnego jak niebo kwitnęła; przy dużym płacie różowéj koniczyny, płat jeszcze większy górującego nad młodym owsem habru się szafirował, a tu i owdzie, jak tło uwydatniające jaskrawość innych przedmiotów, łany całe świeżo zaoranego gruntu ciemniły się owym sobie tylko właściwym, prawdziwie pożywnym kolorem, co im daje podobieństwo do wielkiéj skiby razowego chleba, na wyżywienie wszystkich dziatek Bożych odkrajanéj. Za łanami, za polami część widnokręgu łączyła się ze stropem dotykającego ją nieba, a część znowu jak półkole dworskiego płaszcza wystrojonéj księżniczki, w wypustkę szmaragdową majowéj brzeziny objęte, strzępiło się jeszcze sutą, aksamitną, sosnowego lasu falbaną. Od téj brzeziny, od tego lasu, echo w zmiękczonych tonach niosło ku nam nawoływania pastuchów i przeciągłe ligawki zadęcia. Wszystko to razem składało się w jakąś piękność swobodną choć uroczystą.

Tom 4 str. 26.

O pięknie natury.

Pierwszy raz przyszło mi na myśl, że piękność natury wcale od pewnéj, umówionéj piękności krajobrazów nie zawisła. Kto wie, czy ta właśnie, co się nigdy pędzlem pochwycić nie da, czy ta z powietrza i przestrzeni złożona jedynie, najgłębszych wrażeń duszy nie zostawia? Cóż było nad Liwcem do widzenia? Świeżo pożęto rżysko, skoszone łąki, wąska i dość błotnista rzeka; a jednak ogarnęła mię dziwna, bezprzyczynna, od ludzi i zdarzeń niezależna błogość, uciecha jakaś młoda i czerstwa wprost do serca płynęła. Im mniéj przedmiotów nas otacza, tém wierniéj wszystkie ich szczegóły na mózgu się odbijają i w przecudownych pryzmach tęczują.—Po stokroć niegdyś widywano przedmioty nagle: „zobaczyłem," zrozumiałem, uczułem pięknemi. Oh! bo piękność jest we wszystkiém, co wyszło z ręki Bożéj, tylko nam do jéj ujęcia talentu, lub téż pewnego przysposobienia brakuje. Gdzie góry, skały,—wąwozy, potoki, tam wszyscy już wiedzą, że myśl głębiéj spromienić trzeba i ducha odpowiednio wrażeniom nastrajają; lecz gdzie owych uprzywilejowanych składowych części nie dostaje, tam baczność mniéj pilna, zastanowienie się mniéj samemu sobie przytomne, i tam częstokroć, bezświadomie przyjętych wpływów, źródła nawet nie znamy. Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszemi stopami rozesłanéj, lecz wyobraźnia, jakby nie wiedziała wcale, że kochamy każdy jéj zagon falujący po niwie, każdą jéj morgę odmienném zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą. Jest nam spokojnie wśród boleści, pogodnie wśród wichrów, ogarniamy czasem wiekuistość jakąś bezbrzeżną wśród najciaśniejszéj teraźniejszości chwilek, a niepamiętamy, ile się na to jasne duchowe błyskawice złożyło i takich uroczystych sierpniowych wieczorów, i takiej gwarnéj ciszy na ziemi i takiego pogodnego błękitu na niebie.

Tom 4 str. 78.

Siła uczucia i wyobraźni.

Pamiętam, było-to po śmierci ojca i po przebytéj choro-

bie; nie zupełnie jak widać otrząsnęłam się z jéj skutków: co dusza czuła, to bezkarniéj na jaw się wybijało.

Całe domowe towarzystwo siedziało w bawialnych pokojach, a mnie drzémiącą na sofce zostawiono spokojnie w odległym, na ogród wychodzącym, gabineciku. Gdy się zbudziłam, głęboka cichość panowała do koła; przez okno otwarte lały się wszystkie promienie lipcowéj pełni dorastającego księżyca; ze świeżym chłodem wieczoru falowała w powietrzu jakaś woń upajająca róż pod oknem kwitnących, i te—liści na drzewach ogrodowych i trawników rosą zwilżonych, te zapachy, te promienie, ta cichość nadewszystko, oczarowała mnie zwolna, dałam się jéj zamagnetyzować; wszystkie myśli niewolnicze wypuściłam na swobodę i sama z siebie uciekłam daleko.

Zdawało mi się, jakobym występowała po-za własne ciało, ja druga, ja prawdziwsza, zarysem kształtów zupełnie sobie podobna, tak blada, i tak czarno ubrana, ale giętsza, lżejsza, sprężystsza, bogatsza skarbami uczuć i władz niepojętych, doskonalsza nadprzyrodzoném zmysłów rozwinięciem. Czułam się wszędzie obecną, piłam nektar z kielicha floxa, kołysałam się na białéj jaśminu gałązce, płynęłam z tchnieniem wiatru nad ciemnym szpalerem, ale mi było smutno, smutno, bo chciałam mieć ojca przy sobie, bo i ojciec tęsknił do mnie, a był daleko, wysoko, wyżéj niż księżyc, niż gwiazdy. To co przedstawiam w obrazach—dla mnie nigdy obrazem nie było; nie złudzenia wzroku, lecz w poczuciu mojém rozgrywające się opowiadam fenomena; istotnie—przytomność rozsądkowa nie opuściła mię ani na jednę chwilę; wiedziałam, że leżę na sofce, że o kilka pokojów odemnie matka herbatę nalewa, jednak żyłam pod dziwném wrażeniem innych miejsc, innych zdarzeń. Jak pająk na wiotkiéj nici, którą z własnéj piersi ciągnie, tak ja na smutku moim zawisłam w przestrzeni i wzmagałam się, wzmagałam, by do góry ciągnąć, a mój smutek, moja nić pajęcza, to był niby srebrny promień księżyca między mém sercem i niebem drgający. Ojciec zstępował do mnie na tym promieniu, ja się do niego zbliżałam i byliśmy już razem, razem przez siłę wzajemnéj tęsknoty, przez miłość naszą, przez promień księżyca. Gdyby mnie ojciec mniéj kochać począł, lub gdybym ja go coraz więcéj kochać nie mogła, tobyśmy się rozłączyć musieli; czułam postrach takiéj groźby

w przyszłości; jasna przędza chwiała się czasem pod niewidzialnych postaci brzemieniem, lecz we mnie czucie potężniało i nie ojca ściągałam ku sobie, tylko sama za ojcem wzbijałam się coraz wyżéj; wtém niespodzianie chmura przeciągnęła; wszystkie promienie księżyca wstrząsnęły się od razu i doświadczyłam rozpaczliwego zwątpienia: zaczęłam się osuwać, czułam, że ziemia blisko, że ojciec znów daleko i gorżkie łzy twarz mi zalały...

Biała Róża str. 321.

Wyjątki z Poganki.

Życie rodzinne

Już wiecie pod jakim wpływem,—w jaką atmosferę niejako, dostałem się na tę ziemię—zstąpiwszy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych—a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań. Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojéj wiedzy, jak ja rozwijałem się w tém cieple uczuć, w téj pogodzie szczęścia,—jak mi cała treść mojéj istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnéj, oh! gdybym mógł pamiętać!—ale ja nic —nic nie pamiętam—a jednak to było już życie moje—to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jéj owoc w głębi ducha mego i stał mi się tém, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą.

Każdy mnie kochał,—ja się ocknąłem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je,—pije;—przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku; lecz nie dosyć na tém—ci wszyscy moi po-za mną kochali jeszcze wszystkość w różnych objawach—w różnych jéj kształtach, a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów; każdy coś kochał na swoją własność szczególną.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie, —a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada,—a mój brat Józef kochał ziemię, któréj uprawą się trudnił, a moja siostra Ladwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane,—a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę dwururkę,—a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo, —a mój brat Cypryan kochał obrazy,—a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi—i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

. . . .

Nie pamiętam która to już była rocznica mych urodzin; przypadała jak widać w téj chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa. Księżyc znowu był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś zdala od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemnozielonéj przestrzeni, jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza, albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi,—unoszących się orłów.— Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczemi postaciami; czasem niby anioł w długiéj powłóczystéj szacie, bo i czegoż ja tam nie widziałem! aż siostra wzięła mię za rękę.

—Benijaminie, rzekła, czy słyszysz?

—Oh! słucham ciągle siostrzyczko, wszakże-to łąki i drzewa tak grają.

—Benijaminie, czy widzisz? spytała znowu i wskazała do góry.

—Oh patrzę ciągle siostrzyczko, bo to piękniejsze niż wszystkie Cypryana obrazki.

—Benijaminie, a czy czujesz co w twojéj własnéj piersi? i przyłożyła mi rękę do serca.

—Ja czuję, odpowiedziałem po chwili, że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weź-

mie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę wsadzi,—i lepiéj jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płaczę, i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jedném objęciem uściskać i wszystkiemu jednym rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czém to jest siostrzyczko...

—A ja ci powiem Benijaminie—tylko pamiętaj na całe życie swoje:—to co słyszysz w téj chwili,—co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie,—to wszystko—śpiewne, piękno, jasne, szczęśliwe, to wszystko jest Bóg . . . .

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała na całe życie moje; i przerzuciłem wiele ksiąg mądrych i niemądrych,—kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcéj jeszcze; lecz w każdéj chwili i po każdém przejściu, wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego: zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im.

Byłem zmartwiony a bolejący—lecz choć nie czułem, widziałem przynajmniej zawsze, że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe,—to Bóg; że mądrość—to Bóg; że szczęście to Bóg; że miłość—to Bóg . . . .

. . . .

O moim ojcu jużeście słyszeli; mój ojciec—taki poważny, taki uczony,—taki dobry i łagodny.

W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem tak wszystko cicho dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszéć.—Ja w tém wzrosłem—i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał.—Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najczęściéj, lub które sobie nieruchomie z robótką w kąciku zasiadało.

. . . .

Ale wy moi drodzy dziwicie się zapewne czemu dotychczas o matce mojéj nic nie nadmieniłem jeszcze. Ah! bo dla mnie w każdém wspomnieniu, ona tak była obecna, tak ją czułem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niéj tylko, albo do niéj mówił.—Matka . . . . . Czy wy wiecie dla czego ja z takiém uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta? —czy wiecie wy dlaczego nieraz w kościele, a nadewszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościołku, mnie się łzy w oczach zakręcą, gdy postrzegę zdala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? Czy wy wiecie dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął,—koło smutnego—bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka—bym go wyrazem pieszczoty nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnéj piersi nie rozgrzał, lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? czy wiecie wy dlaczego? oto dlatego, bo miałem matkę! . . bo w każdéj chwili podobnéj zawsze ją widzę przed sobą, tkliwą, anielską, błogosławiącą . . . tak wszystko czyniącą, jak ja przy niéj czynić nawykłem.

Z Książki Pamiątek.

Wpływ wielkich boleści.

Dla wybranych Pańskich, dla serc czystych i żywo czujących, śmierć ukochanych jest chwilą boleści wielkiéj, strasznéj, ale nie może być nigdy całego życia zmartwieniem. Przez tę chwilę śmierci oni na dalsze trwanie swoje tu na ziemi wradzają się do naszéj istoty;—gdyby umarły nie zostawił po sobie nikogo, coby go uprzytomnił wspomnieniem, nikogo coby miał pamięć jego jako natchnienie, przyczynę, dopełnienie wszystkich zdarzeń późniejszych, toby taki umarły drugą śmiercią umarł wśród ludzi i zostałoby mu tylko wieczność nieokreślona, nieznana. Lecz on odżywa ciągiem miłości—i on nie zginie, i nic nie zginie, póki my żyjemy,—bo póki żyjemy, póty kochamy, a póki kochamy, póty wszystko ukochane trwa, prawdą i rzeczywistością jest.

Umarli nasi trwają w nas;—każde spełnione dobro, każde poczucie piękna, każda przez nas osiągnięta doskonałość

ich doskonali, ich wznosi, ich wzbogaca, a ciąg żałoby naszéj jest dalszym ciągiem zaczętéj przez nich pracy, dalszym ciągiem ich cnót, ich myśli, ich duchowego życia. Ja takim stosunkiem, taką modlitwą nasz związek z umarłemi najlepiéj pojmuję, a ja mam prawo mówić o tém, bo ja na dwóch płakałem już grobach, bo ja straciłem ojca....

. . . .

Gdyby człowiekowi nie było dano smucić się, toby nie miał tyle łez do krwi swéj wsączonych; ale on może, więc —musi płakać; bo może, więc musi oddychać; bo może, więc musi widzieć—bo może—więc musi żyć, gdyż zawsze musi, to co może. Ale martwego cierpienia, płonnéj boleści niéma w prawie Bożém, tylko się czasem zdarza—w złości ludzkiéj woli. Boleść święta, boleść z nieba idąca, nie marnieje w czcze skargi, nie kamienieje w bezużyteczność;—nie jest ani namiętnością, ani grzechem, ani złém żadném; ona tylko między dobrem co minęło i między dobrem, co ma przyjść, kolebką dla ducha naszego, zawisnęła. Z téj kolebki zawsze geniusz myśli lub anioł cnoty się wykołysze. Smutno było Mojżeszowi na puszczy, nim krzak cudu rozgorzał; smutno Chrystusowi w Ogrójcu nim ludzkość męką swoją zbawił,—smutno nam wszystkim wysokim i drobnym, póki mamy w przeczuciu jakieś myśli niewcielone, póki siły nie skierowane, póki czyny zamiarem jeszcze drzémiące. Tobie—dziecku jeszcze wiekiem i postacią, może na przygotowanie jedynie innych, potężniejszych zdolności, tak wielka zdolność cierpienia w samym wstępie do życia wydzieloną została. Powiedz, czy nigdy nie zadrżało ci serce objawem pięknéj, wielkiéj przyszłości?...

. . . .

I taki żal nie będzie nieszczęściem; przypomniemy sobie zawsze, że ci, którycheśmy ukochali, naszą pamięcią i naszém życiem żyją. Wtedy nie skalamy serc naszych bezcelném rozkwileniem, nie zmarnujemy naszych myśli na ciągłe powtarzanie przeszłości, ale miłość, w któréj oni przez nas kochają, roztoczymy na okoł po świecie i zbogacimy wszystkiém co piękne, dobre, szlachetne; ale myśl, w któréj oni przez nas pojmują, wypełnimy światłem, poznaniem, mądrością,—

i będziemy, czém oni być chcieli—i w godne czyny przesnujemy dalszy wątek ich własnych wydarzeń.

. . . .

Z Książki Pamiątek

Wiara kobiéty.

Nie mówcie do mnie, wy, których usta brzmią ciągle słowem wiary, a jeszcze imieniem Boga nie zabrzmiały, nie chcę waszego przekonania, nie chcę waszéj wiary, ja nie umiem długiém dowodzeniem przeświadczać was, że są potrzebne kościoły na ziemi,—duchy światłości w niebie,—ale czuć umiem i czuję, żebym żyć nie chciała i w najszczęśliwszéj stronie świata, gdzieby mi drzwi przybytku Pańskiego otworem nie stały, gdziebym nie mogła ufną prośbą niebu się pomodlić o żądaną pomyślność, o odwrócenie przeczuwanego nieszczęścia; nie chciałabym wiedzieć o przyszłości, którąby mi nie świeciła koroną Świętych, ku któréjbym iść musiała bez anioła stróża niepokalanego przewodnika méj duszy;—nie chciałabym nieba, na którego wysokościach nie byłoby ani tronu Boga ani promiennych cherubinów, ani Matki Dziewicy z Synem swoim na ręku, uśmiechającéj się litością i pociechą do nas kobiet, co jak Ona kochać i siedm mieczów boleści w sercu nosić musimy; oh! nie mówcie do mnie;—ja chcę wierzyć tą wiarą, któréj mnie matka nauczyła; chcę się modlić tą modlitwą, którą w dzieciństwie na kolanach za jéj głosem powtarzałam z uwagą,—zostawcie mi moją wiarę i modlitwę moją! zostawcie mi religiją cudów, pieśni i wonnych kadzideł, co z przed ołtarzy ku Bogu ducha naszego czystym obłokiem unosi,—zostawcie mi ją—ja was słuchać nie chcę!

Z Podróży kobiety.

Wyjątki z Obrazów Litewskich Ig. Chodźki.

—„Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy zdaleka

Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie
Dziś dla starca zmarłego dał pod głową w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorżka łza nie ciekła
Księże! kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!“

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia wchodząc po długiém oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go niegdyś z pieszczotą tuliły do serca? Komuż nie będzie słodszą jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zorwana, z którego gdy był dzieckiem, piastunka lub stary dziadulek go karmił? Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych a obecnych sercu i pamięci obudwóch? Jakże mu błogim i szanownym będzie ten pomnik błogiéj przeszłości! z jakąż rozkoszą rozmawiać z nim będzie i uczyć się na nowo tegoż wszystkiego, na co dziecinném kiedyś poglądał okiem! Przybywam do domku mojego dziadka:

„ Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami i te od niego w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegła stopa, a co najbardziéj-tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceni pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy za jego życie, on za naszą szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek, który tu był zamieszkał ogałacając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał—głazu i te jedynie przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

. . . .

Piękną jest szeroka Litwa nasza! zawołałem ja w serdeczném a głębokiém uczuciu przywiązania do ziemi ojczystéj i w rozważeniu piękności, jakiemi Bóg ją obdarzyć raczył!! Oh! któż bo nie kocha kraju w którym się urodził, gdzie spoczywają prochy naddziadów i rodziców jego, gdzie każda stopa ziemi urocze mu i miłe przywodzi wspomnienia, w których obłąkana myśl jego przepływa cicho i spokojnie, kojąc natrętne troski życia, lub gorżkie serca cierpienia!

Lecz te tkliwe, pełne słodkiego rozrzewnienia uczucia nie zależą bynajmniéj ani się wzbudzają wspaniałemi ani pięknemi krajobrazami zdobiącemi ziemię. Pod nizką strzechą, którą dla ciebie dziadek twój zbudował, w ogródku wiejskim, w którym cię niańka do gałązki gronem rumianych wisien bogatéj podnosiła; na małéj łączce na któréjś między kopami wonnego sianka biegał; na jakiéjś samotnéj drożynie, gdzie twe młodzieńcze snułeś ideały, miłość ta obudzi się w duszy każdego poczciwego człowieka. Ogarnie go w czułe, że tak powiem, objęcia, jak matka ukochane dzieci; utulać go będzie i pieścić, tkliwemi łzami obleje mu lica. Ach! oddalonemu, tęsknotą jak kamieniem, ciężyć będzie na sercu!

Miejsca takie, są to miłe dziedziny rozkoszy, wydzielane cząstkami dla ludzi, do codziennéj dla nich pociechy, do samotnego, a słodkiego pokarmu duszy. Ale dla jéj wyższego wzniesienia, dla jéj swobodnego polotu w niebiosa, Bóg sam zda się poznaczał miejsca na globie, na które wstąpiwszy człowiek, czuje się dostojniejszém dziełem rąk Jego.—Myśl wzniosłą ku Niemu rozwija, poznaje Go i wielbi w pięknościach i doskonałościach natury i oddycha piersią przepełnioną rzeźwém życiem oblewającém go do koła.

W takie wspaniałe miejsca, bogatą jest Litwa nasza.... Przed wieki cała pokryta i zarosła lasami, w dzikiéj swéj i ponuréj piękności mocarzom swoim pasującym się dzielnie ze srogiemi żubry, odkrywała ona co dzień nowe i coraz piękniéjsze miejsca, na twierdze i grody, na gmachy dla nich samych, na bałwochwalcze świątynie ich bogom.

Dziś otwartsza i roztrzebiona kraina w połączeniu pozostałych leśnych obszarów i niw żyznym urodzajem okrytych, i siół i dworów tu i owdzie rozrzuconych, i rzek i jezior ruchomemi zwierciadłami wyściełających ziemię, przedstawia nader częste widoki i krajobrazy zachwycającéj piękności szczytnego rozmiaru lub niewymownego wdzięku.

. . . .

Brzegi Wilii płaskie dotąd i równe, zbliżając się ku Żodziszkom coraz się podnoszą i piętrzą; podrywane wiosenną

powodzią poformowały się w rozpadliny, szczerby i urwiska, które nakształt skał wydatnych długą i wysoką ścianą sterczą z obu stron. Ścianę tę rozdzierają w niektórych miejscach głębokie i daleko w brzegi zachodzące parowy; po dnie ich biegną szumne i bystre potoki z nadbrzeżnych krynic wynikłe i spienione swe nurty do Wilii wlewają. Wąwozy te na wzniosłych swych i nierównych bokach nawisłemi jodły, karłowatą brzeziną i krzaknmi gęstéj leszczyny porosłe, świeżą zawsze i różnie cieniowaną pokryte zielonością w rozmaitych swych zakrętach, przepaściach, wzgórzach i kątkach, zachowują tysiące miejsc powabnych, tysiące niespodziewanych, a tak prawdziwie pięknych widoków, że od nich oka i serca oderwać niepodobna, że ich obcymbyśmy zazdrościli krajom... czemuż we własnym nie znamy?....

. . . .

Byliśmy natenczas o sążni kilkanaście wyżéj nad Wiliją i o tyleż może od brzegów odlegli, na małéj równinie na wierzchołku góry, na którąśmy się wdrapali, a u podnóża wyżéj nad nami się podnoszącéj. Góra ta wyższa, wyraźnie ręką ludzką szeroko aż do dna wydrążona, z wysokich boków swoich zlewa kilka czystych strumieni. Z nich utworzyła się u spodu okrągła i obszerna sadzawka, która jak zwierciadło optyczne na dnie kalejdoskopu zbiera w jeden obraz rozpierzchłe po bokach przedmioty. Teraz w głębi jéj na tle błękitném, jaśniała twarz księżyca, a z pomiędzy dokładnie odbitych zrysowanych nadbrzeżnych drzew i krzewin, błyszczały gwiazdy, jak topazy zdobiące malowidło jakiegoś świętego oblicza.

Woda z sadzawki roztwartym przekopem toczy się obfitą strugą przez równinę, na któréj staliśmy; przebiega ją i szumną kaskadą spadając na dół, rozbija się i rozpryska w milionowe krople, o stare mchem okryte belki i pale, jakby na umyślną tam zawadę rzucone i wbite: a na dole znowu w rzeczkę zebrana wbiega do Wilii, która cały ten uroczy krajobraz szerokim na prawo i na lewo obwodzi szlakiem, lecz go nie ogranicza wcale, bo wzrok rzucony za jéj biegiem długo jeszcze i daleko łamie się po parowach, zawisa na drzewach, przekrada się drożynami wijącemi się po brzegach; uderza gdzie nie-

gdzie o rzekę, aż nakoniec gmatwa i tonie w odległej i zamglonéj mieszaninie.

Noc jasna, miesięczna, nie kryła tych wszystkich piękności rozwiniętych przed nami; bladą je tylko oblewając światłością, łagodziła ostre kształty załomów i łagodném także zadowoleniem napawała zmysły.

. . . .

Gęsta mgła ranna, rozwlekła nad ziemią i nad rzeką przyjmowała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które wpadały w nią z góry i tonęły, lecz przebić jéj i rozproszyć się nie mogły. A tak my, jak w obłoku utajeni, posuwaliśmy się po wodzie spokojnie i cicho, szepcąc każdy poranną modlitwę i nie widząc ani rzeki, która nas niosła, ani jéj brzegów. Kiedyniekiedy tylko rybołów szerokiém, białém i błyszczącém skrzydłem rozciął horyzontalnie jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece i wyrwał z wody płotkę, z którą znowu we mgle utonął.

—Tymczasem mgła się w górę unosiła i wzbijała się w powietrze; ranek letni z całą pięknością, z całą świeżością i wdziękiem zajaśniał; z wdziękiem tylekroć opisywanym, tylekroć malowanym, a zawsze w istocie milszym nad wszystkie opisy i malowidła. Któż bowiem wydać potrafi tę wesołość i świeżość orzeźwionéj spoczynkiem natury? Kto wyda to mnóstwo i bogactwo jéj powabów blasku i cieniów, farb i woni, łagodnego szumu drzew otrząsających rosę z gęstych gałęzi i głosów ptasząt w nich ukrytych, brzęku pszczółek, pluskania rybek, mgnień motyli?.. Któż to wszystko razem i w jednym wyda obrazie, tak, jak wszystko razem i w jedno zlaném harmonijném uczuciem, chórem czy zdrojem napływa do serca, ożywia krew naszą, krąży z nią, i też samą wesołość i świeżość przenosząc do głębi naszego jestestwa, szczęściem rozkoszą, i uniesieniem nas poi.

Zakończenie Obrazów Litewskich.

Dopisawszy ostatniéj kartki tego tomiku kończącego moje Obrazy Litewskie, złożyłem pióro.... i spojrzałem na cały ich zbiór z zadowoleniem obejmującém zwykle każdego pracu-

jącego, po skończeniu pracy. Z rozrzewnieniem i wdzięcznością, myśliłem o pobłażliwém przyjęciu przez ziomków téj mojéj dla nich ofiary i tkliwém, a jakby ostatniém wspomnieniem żegnałem się ze snującemi się po mojéj wyobraźni osobami, pod których—to opieką, to wpływem, pielęgnowała się niegdyś młodość moja,—i których z za grobu po kolei do siebie wzywałem na wzory cnót i obyczajów ojców naszych, mających być przykładem nam i potomkom.

Lecz czyliż pisma te moje dojdą rąk potomków? Czyliż mają dość wartości i wdzięku, aby odpowiedziały pospolitemu głodu *utile dulci* 1) ale najwłaściwszemu każdéj podobnéj książce i zapewniającemu jéj długotrwałą między ziomkami pamiątkę? Czyliż trafię do serc wszystkich? Wszystkich!.... to niepodobna! do serc przynajmniéj wybrańszych, nie zarażonych wpływem mętnych idei—i takich, którym cnoty naddziadów, ich wiara i prostota miłe są i drogie; którzy je pielęgnować we własnych sercach pragną i którzy pojmą i uczują, że pisząc te obrazy, za każdym prawie wierszem, sercem się także swojego radził. Serca—w którém miłość przeszłości poczciwéj z gorącém życzeniem dobra moralnego dla współczesnych ziomków ściśle połączone. Ta wątpliwość, to pognębiając moją miłość własną, to na niéj wsparta chyląc się ku nadziei, znużyła niepewne myśli moje jakby ojca, usiłującego odgadnąć przyszłe losy ulubionych swych dzieci. Znużenie to objęło ciało i duszę: pierwsze usnęło, druga nie przestała marzyć jakby na jawie,...

I ujrzałem się w domku mojego dziadka.

Taż sama nizka strzecha, też okna rożnoszybne, ten ganek staroświecki i od niego w różne strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa. Ten ogródek zakwitły pod oknem w siarczyste gwoździki i nagietki, zdobiące dawniéj w Niedzielę i uroczystości głowy wiejskich dziewic i ramy świętych obrazów w pokojach.

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło.

---

1) Pożytek z przyjemnością.

Dzień zniżał się ku zachodowi i w oddaleniu dawał się słyszéć odgłos dzwonu kościelnego. a bliżéj w domku, jakby zaczynane i przerywane znowu tony i słówka dawnych piosnek, to pobożnych. to światowych, których echa odzywały się w przeszłości mojéj i które pamięć moja i serce kończyły...

A co najbardziéj, tenże sam krzyż, pod którym tylekroć z dziadkiem moim proste a gorące odmawiałem paciorki i pod którym teraz.... jego samego ujrzałem!

Siedział na kamieniu, w téj postaci, jak go raz ostatni za życia widziałem; oparty na nieodstępnéj swéj podporze, kiju prostym, mosiężną skówką pokrytym, zdawał się życzliwém okiem poglądać na mnie, zbliżającego się ku niemu nieśmiało... „Czegoż się trwożysz moje dziecię?“ rzekł on „chodź do mnie po dawnemu i usiądź obok, a niespokojne twe myśli zbierz w jedno westchnienie do Boga, o szczęśliwy skutek usiłowań twoich.

Czas wielkiéj próby przyszedł na plemię wasze moje dziecię; zepsucie otacza was zewnątrz i weszło wewnątrz was i trawi tam wszystkie wasze cnoty rodzinne, przy których gdybyście w téj próbie wytrwali, wyszlibyście z niéj z niepokolaną duszą, czystą i usposobioną do wszelkich odmian i wypadków, jakie czas spełniający przeznaczenie Boskie na ten świat sprowadza!.

Dlaczegoż ten domek mój, w którym cię wypielęgnowałem stoi dotąd mocno i wytrwale? bom go na dawnych i odwiecznych fundamentach postawił; bo ich nie wyruszyłem z głębi ziemi do której wrosły; bo ich nie zastąpiłem kruchą i niewytrawioną gliną, którąby się już dawno rozsypała i domekby mój upadł.

Wieki i lata przemijają moje dziecię, a w nich zmieniają się myśli ludzkie, zamiary, postanowienia, nadzieja i losy.... Ale są rzeczy i zasady, które się nigdy zmienić nie mogą, których płone usiłowania ludzkie nie wzruszą, bo one są pod opieką Ducha Bożego, który jest duchem prawdy wieczystéj i nieodmiennéj,—którego my, wyznając i wielbiąc w szczerości serca i duszy, prostaczkowie w porównaniu z waszém rozumném pokoleniem, nie odstępowaliśmy właśnie tych odwiecznych zasad Jego mądrości, danych ludziom, dla ich prawdziwego tu na ziemi i tam w niebiosach szczęścia. Nie poniewierajcie więc

przykładami naszemi. W doskonałości waszéj, coraz jakoby wyższéj, którą się chlubicie, nie zapominajcie, że my—w gorliwéj wierze naszéj, w cnotach z niéj wypływających, to jest w miłości powszechnéj i braterskiéj między sobą, w skromnéj mierności i prostocie domowego pożycia, w szlachetnéj prawości postępków, znajdowaliśmy tę swobodę i spokojność umysłu, —w biedach i przygodach to zaufanie w opiekę i wolę Boską, jakich wy, w głębokich dociekaniach waszych i w wątpliwém mędrkowaniu nigdy nie znajdziecie!...



PYTANIA Z KURSU CAŁEGO.

Stronica.

O sztuce pisania.

O Stylu.

Stronica.

O Wewnętrznych stylu przymiotach.

Stron.

O ozdobach stylu.

O postaciach retorycznych.

O prozie i jéj rodzajach.

Podział stylu ze względu na epokę.

TREŚĆ I PORZĄDEK PRZEDMIOTU.

Stronica

Sprostowanie.

Zamiast.	Czytaj.	Strona.	Wiersz.
Nowościai	nowościami	II	4
Kóreby	któreby	7	23
wołało	wołał	24	10
spuścina	spuścizna	50	3
sinych	sinym	51	10
Kompromitacyja	kompromis	53	21
umiłować	imitować	55	19
puszcziąc	puszczając	69	22
różene	różne	81	7
całej	małéj	88	17
rsonifikacyja	personifikacyja	129	22
wrzaliwego	wraźliwego	133	25
Czarnecki	Czarniecki	135	16
Borcyko	Boreyko	217	27

Sprostowanie pomyłek drukarskich.

Zamiast	czytaj.	stron.	wiersz.
cos	coś	I	15
nowościai	nowościami	II	4
kóreby	któreby	7	24
i tak	tak i	9	6
srogi	srogi	14	5
mich	moich	18	25
dobrże	dobrze	21	19
wołało	wołał	24	10
mimowalnie	mimowolnie	24	11
małuczkością	maluczkością	25	12
delirum	delirium	25	22
chłubne	chlubne	29	20
żału	żalu	26	32
przyżbą	przyżbą	36	3
użałamy	użalamy	46	9
spuścina	spuścizna	50	3
Sinych	Sinym	51	10
kompromitacyja	kompromis	55	1
umiłować	imitować	55	19
Puszczjąc	puszczając	69	22
éj	jéj	80	21
rozwłekłość	rozwlekłość	81	6
różeno	różne	81	7
umyśł	umysł	84	5
chwiła	chwila	87	13
niezwykle	niezwykłe	87	13
całej	małej	88	17
żrenica	źrenica	95	19
wyobrażni	wyobraźni	101	8
w następujących	gdy w następujących	106	1

Zamiast.	czytaj.	stron.	wiersz.
gróźby	groźby	108	26
żału	żalu	108	35
łodź	łódź	116	15
bołesną	bolesną	126	29
próźbą	proźbą	130	5
rsonifikacyi	personifikacyi	129	22
wrźaliwego	wraźliwego	133	25
Czarnecki	Czarniecki	135	16
rokiém	rokiem	136	11
będącéj	będącą	143	14
Kółka Rodzinnego	Kółka Domowego a dziś Kroniki Rodzinnej.	146	21
ówcześnie	ówcześni	149	21
rozumie	rozumnie	152	30
jedla	jedła	155	30
mocnege	mocnego	161	7
zemtsę	zemstę	170	6
prziyaciela	przyiaciela	174	30
dolum	idolum	175	33
uroczystych	uroczysty	199	18
cofnęło	cofnęła	200	11
chódź	chodź	201	28
wa i	wali	213	35
gorącój	gorącéj	216	34
Borcyko	Boreyko	217	27
rowinę	nowinę	225	13
przynosim	przenosim	226	1
opłotły	oplotły	226	38
przeniość	przenieść	231	13
cofnio	cofnie	233	33
bołeści	boleści	233	38
wyszała	wyssała	241	35
krzaknmi	krzakami	269	8
sercem	sercam	271	18

